

Guareschi

Blady wymoezek

z rysunkami Autora

przełożyła Magdalena **DutkiewiczLitwiniuk**

PALABRA

Wydawnictwo Misjonarzy Klaretynów

&

Instytut Wydawniczy PAX

Warszawa 1994



Taki jestem

Moje życie rozpoczęło się 1 maja 1908 r. i jak się zdaje, trwa jeszcze na dobre i na złe. Kiedy się urodziłem, moja matka już od dziewięciu lat była nauczycielką w szkole podstawowej i nie przestała nią być aż do 1949 r. Proboszcz z miasteczka, w którym mieszkała do 1950 r., ofiarował jej w imieniu miejscowej społeczności budzik i matka po pięćdziesięciu latach nauczania w szkołach pozbawionych światła elektrycznego i bieżącej wody, za to obficie wyposażonych w karaluchy, muchy i komary, spędzała czas na oczekiwaniu, aby Państwo uwzględniło jej podanie o emeryturę. I kiedy z upodobaniem przysłuchiwała się tykaniu budzika, ofiarowanego jej przez miejscową społeczność, nadeszła śmierć i zabrała ją.

Natomiast mój ojciec, kiedy przyszedłem na świat, interesował się wszelkiego rodzaju maszynami, od młocarni po patefon; miał krzaczaste wąsy, bardzo podobne do tych, które ja teraz noszę. Miał je aż do 1950 r., ale powoli przestawał się czymkolwiek zajmować i spędzał czas na czytaniu gazet. Czytał także i to, co ja pisałem, ale nie podobał mu się mój sposób pisanania i myślenia.

W gruncie rzeczy miał najzupelniejszą rację, bo mnie też ani trochę nie podoba się to, co piszę.

W swoim czasie mój ojciec był człowiekiem z wielką fantazją i poruszał się samochodem już wówczas, kiedy w całej Italii ludzie wędrowali od wsi do wsi, żeby zobaczyć taką dziwną maszynę, która sama jeździ.

Jedyną pamiątką po tych dawnych luksusach jest stara trąbka samochodowa - jedna z tych trąb z gumową gruszką. Ojciec przykręcił ją u wezglowia łóżka i używał jej od czasu do czasu, zwłaszcza latem.

Ja natomiast posiadam motocykl o pojemności siedemdziesięciu pięciu centymetrów sześciennych, samochód małowitrazowy o pojemności pięciuset centymetrów, żonę i dwoje dzieci, których pojemności nie jestem w stanie określić; są mi oni jednak bardzo przydatni, ponieważ wykorzystuję ich w wielu historyjkach drukowanych przeze mnie w pewnym tygodniku, któremu bardzo zależy na współpracy ze mną, pewnie dlatego, że jestem jego dyrektorem.

I właśnie w tym tygodniku, który nazywa się "Candido", publikowałem co tydzień opowiadania zebrane częściowo w pierwszym tomie Don Camilla.

Rodzice zdecydowali, że zostaną budowniczym okrętów, więc skończyło się na tym, że studiowałem prawo i w krótkim czasie stałem się bardzo znany w Parmie jako twórca plakatów reklamowych i jako karykaturzysta.

Ponieważ w szkole nikt nigdy nie uczył mnie rysunku, było więc logiczne, że musiało mnie to szczególnie fascynować, i tak, po plakatach i karykaturze, sporo czasu poświęcałem drzeworytnictwu i scenografii.

W tym samym czasie pracowałem jako portier w cukierni albo pilnowałem rowerów w przechowalni, a ponadto udzielałem lekcji gry na mandolinie kilku wiejskim chłopakom, nie znając się absolutnie na muzyce. Wykazałem się również jako doskonały urzędnik w czasie spisu powszechnego. Przez rok byłem wychowawcą w szkole z internatem, potem poszedłem pracować jako korektor w miejscowym dzienniku. Żeby dorobić do skromnej pensji zacząłem pisać opowiadania, później zająłem się kroniką miejską, a ponieważ niedziele miałem zupełnie wolne, objąłem kierownictwo ukazującego się w poniedziałek tygodnika żeby było szybciej, pisałem go w trzech czwartych sam.

Pewnego pięknego dnia wsiadłem do pociągu i pojechałem do Mediolanu, gdzie zdołałem wkroczyć się do nowego tygodnika humorystycznego zwanego "Bertoldo". Zostałem jednak zmuszony do tego, żeby przestać pisać, pozwolono mi natomiast rysować; skorzystałem z tego, rysując białą kreską na czarnym papierze, powstawały przez to w gazecie duże plamy przyciągające i, co trzeba też przyznać, zniechęcające czytelnika.

Urodziłem się na Nizinie Parmeńskiej, niedaleko Padu, a ludzie, którzy się tam rodzą, mają czaszki twarde jak żelazo, zdołałem więc zostać redaktorem naczelnym "Bertolda", tego samego tygodnika, w którym Steinberg, studiujący wówczas architekturę w Mediolanie, przedstawiał swoje pierwsze rysunki i w którym pracował aż do wyjazdu do Ameryki Północnej.

Z przyczyn ode mnie niezależnych wybuchła wojna, a w 1942 roku kompletnie się urzynałem, bo mój brat właśnie zaginął w Rosji i niczego nie mogłem się o nim dowiedzieć. Tamtej nocy strasznie hałasowałem na ulicach Mediolanu i wykrzykiwałem słowa, które następnego ranka, po aresztowaniu mnie przez Urząd Polityczny, znalazłem zapisane na dwóch stronicach protokołu. Mnóstwo ludzi wstawiło się wtedy za mną i udało im się uzyskać moje zwolnienie. Ale żeby się mnie pozbyć, powołano mnie do wojska; 9 września 1943, kiedy zaczęło się całe zamieszanie, zostałem wzięty do niewoli przez Niemców w Aleksandrii. A ponieważ nie odpowiadało mi nieposłuszeństwo wobec mojego króla, odesłano mnie do polskiego lagru. Potem przechodziłem przez różne lagry niemieckie, aż do kwietnia 1945. Wtedy to spod administracji niemieckiej przeszedłem pod angielską i po pięciu miesiącach zostałem odesłany do Włoch.

Pobył w więzieniu był okresem największej aktywności w moim życiu. Przede wszystkim musiałem starać się przy nim utrzymać i prawie całkiem mi się to udało, dzięki narzuceniu sobie ścisłego programu streszczającego się w hasło: "Nie umrę, nawet jeśli mnie zabiją".

Nie jest łatwo utrzymać się przy życiu, kiedy zostało się zredukowanym do worka kości o wadze 46 kilogramów i nosi się w sobie pełno wszy, pluskiew, pcheł, głodu i smutku.

Po powrocie do Włoch zastałem wiele spraw zmienionych. A zwłaszcza zmienili się Włosi i straciłem mnóstwo czasu, żeby pojąć, czy zmienili się na lepsze czy na gorsze. W końcu odkryłem, że wcale się nie zmienili, i wtedy ogarnął mnie smutek, więc zamknąłem się w domu i robiłem ilustracje do mojej Bajki na Boże Narodzenie, którą napisałem w 1944 roku, aby rozweselić trochę smutne Boże Narodzenie moje i moich towarzyszy z lagru.

Potem założyliśmy tygodnik "Candido" i zanurzyłem się po uszy w polityce, chociaż byłem wtedy, tak samo jak i teraz, całkowicie niezależny.

Z tego okresu, to znaczy z tych pierwszych lat powojennych, pozostał napisany pospiesznie opasty tom z dokumentami na wklejkach, zatytułowany Włochy tymczasowe.

W roku 1950 przywódca włoskich komunistów, pan Palmiro Togliatti, w publicznym wystąpieniu w La Spezii, dał się ponieść nerwom i nazwał "potrójnym idiotą" tego mediolańskiego dziennikarza, który wymyślił bohatera o "trzech nozdrzach". Tym idiotą, i to potrójnym, byłem ja i uznałem to za największe wyróżnienie w mojej karierze dziennikarza politycznego.

"Trójnozdrzowiec" albo człowiek o trzech dziurkach w nosie wszedł już do obiegowego słownictwa we Włoszech. Stworzyłem go w szczęśliwym momencie satyrycznego natchnienia i, prawdę mówiąc, jestem z niego dumny, bo to wcale nie najgorszy wynalazek tak nakreślić sylwetkę komunisty minimalnym pociągnięciem pióra (dorysowując mu pod nosem trzy zamiast dwóch dziurek). To był dobrze działający wynalazek.

I dlaczego mam być skromny - doskonale funkcjonowały również inne historyjki, które napisałem albo narysowałem podczas przygotowań przedwyborczych, ale to nie ma nic do rzeczy; na strychu leży worek pełen wycinków z gazet, które mówią o mnie źle, kto chce dowiedzieć się czegoś więcej, może je sobie przeczytać. Opowiadania Małego światka odniosły we Włoszech wspaniałą sukces: wielu ludzi napisało artykuły na temat książki i bardzo wiele osób przysłało do mnie listy o tym lub innym opowiadaniu, przez co trochę mi namieszali; teraz, gdybym musiał sformułować sąd o Małym światku, byłbym raczej w kłopotcie.

Miejscem opowiadań są moje strony: Nizina Parmeńska, równina emiliańska nad brzegami Padu. Tutaj namiętności polityczne nasilają się często niepokojąco, choć tamtejsi ludzie są sympatyczni, gościnni, szczodrzy i mają wyjątkowe poczucie humoru.

To pewnie słońce, przeklęte słońce, które praży umysły przez całe lato. Albo mgła, posepna mgła, która przygniata je przez całą zimę.

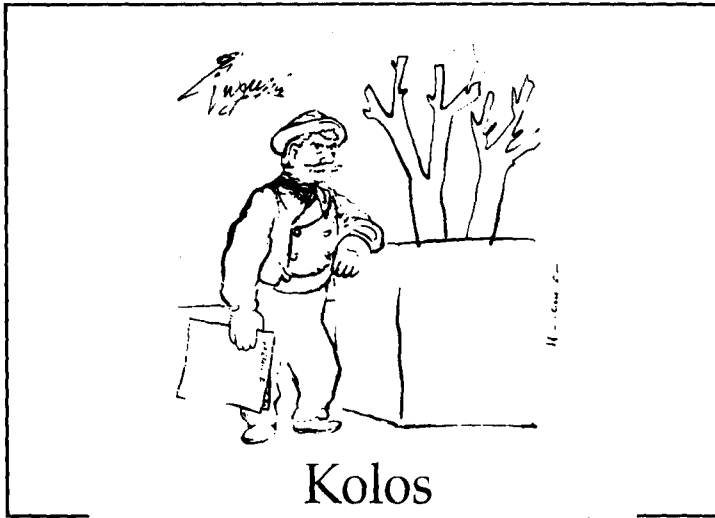
Postacie są prawdziwe, a sytuacje tak prawdopodobne, że nie upływał miesiąc albo dwa od wymyślenia jakiejś historii, a przydarzała się ona naprawdę i czytało się o niej w gazetach.

Zaiste rzeczywistość przerastała fantazję: kiedy bowiem napisałem historię Peppona, który dla pozbycia się samolotu, zrzucającego podczas wiecu dywersyjne ulotki, wyciąga ze

stodoły karabin maszynowy, to jednak nie pozwoliłem mu wystrzelić. "Dajmy się ponieść fantazji" - mówiłem sobie. Ale dwa miesiące później w Spilimbergo komuniści nie tylko strzelali do samolotu, który zrzucał antykomunistyczne ulotki, ale go wręcz zestrzelili.

Nie mam nic więcej do powiedzenia na temat Małego światka; nikt nie może wymagać od przyzwoitego człowieka, żeby po napisaniu książki musiał ją jeszcze rozumieć.

Guareschi



Kolos na glinianych nogach

W warzywniku na plebani był tylko jeden rząd winogron na muszkatel, a Don Camillo właśnie do nich miał wyjątkową słabość.

No więc kiedy spostrzegł, że jakiś typ zatrudnia ręce i usta przy jego ulubionych winogronach, wściekł się. Stał przez chwilę zaczajony za żaluzjami kuchennego okna, mając nadzieję zobaczyć twarz zuchwalca; była to usprawiedliwiona ciekawość, usprawiedliwiona jeszcze strachem, że nie zdąży pochwycić tego bezczelnego zbieracza.

Ale bandyta w dalszym ciągu pokazywał plecy pozbawione jakichkolwiek znaków szczególnych, więc don Camillo opuścił swoje obserwatorium i delikatnymi, ostrożnymi kroczkami wszedł do warzywnika i zaczął się podkradać.

W pobliżu przejeżdżał traktor, robiąc niesamowity hałas, co. pozwoliło don Camillowi zakończyć szczęśliwie całą akcję.

Przepraszam, przeszkadzam?

Głos don Camilla wstrząsnął zbrodniarzem, który powoli odwrócił się; był to Chudy. Don Camillo wpatrywał się w niego chwilę, aż wreszcie wykrzyknął:

- Skąd się tu wzięłeś?

- Przechodziłem obok, więc przystanąłem, żeby trochę poskubać. To księdza?

- Powinieneś się tego domyślać, biorąc pod uwagę fakt, że winorośl znajduje się w warzywniku przy plebanii.

- Byłem zamyślony i nie spostrzegłem się.

Don Camillo pokiwał poważnie głową.

- Rozumiem. Musiałeś rzeczywiście być bardzo zamyślony, jeśli nie zauważyłeś, że przeskakujesz przez metalową siatkę ogrodzenia.

- Nie przeskakiwałem przez żadną siatkę - wyjaśnił Chudy, oskubując dalej grono, które trzymał w rękach.

Wyglądało na to, że obecność don Camilla nie interesowała go ani trochę; był nad wyraz spokojny! Nagle jednak czmychnął w winne krzewy, jakby go ziemia pochłonięła.

Był zwinny niczym jaszczurka i przemykając wśród zarośli, dotarł w kilka sekund do pewnego miejsca, gdzie metalowa siatka unosiła się na dobre dwie piędzi od ziemi i prześliznął się pod spodem.

Ale na nieszczęście don Camillo był czujny i rzuciwszy się w pogoń, zdołał złapać Chudego za stopę.

Pociągnął energicznie za nogę i Chudy zawrócił na wstecznym. - W gruncie rzeczy miałeś rację - powiedział don Camillo, kiedy już złapał Chudego za frak i ustawił w pozycji pionowej.

- Żeby tu wejść, nie przeskoczyłeś przez siatkę. Ale to znaczy, że przez nią przeskoczysz wychodząc. Popierajmy lotnictwo sowieckie!

- Wielebny księżu - odrzekł Chudy, któremu ani trochę nie odpowiadało, żeby ktoś go łapał za kark i spodnie, a potem wysyłał drogą powietrzną ponad żelazną kurtyną. - Niech ksiądz nie robi politycznych spekulacji z przypadkowego wydarzenia.

- Więc to tak! Nazywasz przypadkowym wydarzeniem zakłócanie domowego spokoju połączone z kradzieżą?

- Nie tragizujemy, nie dopuściłem się kradzieży. Ograniczyłem się jedynie do wzięcia zaliczki. Bliski jest dzień odwetu proletariatu i wszyscy wydziedziczeni otrzymają swoją część!

Ale don Camillo już przeszło.

- Chudy - powiedział - jeśli sprawy tak się mają, to weź sobie następną zaliczkę. A gdybyś chciał zaliczkę w winie, to mam butelkę białego słodkiego i chłodnego w studni.

Było popołudnie w końcu sierpnia i nie poruszał się ani jeden listek, nawet gdy się na niego dmuchało. Upał taki, że można zdechnąć.

Don Camillo poszedł do studni, wyciągnął wiadro z butelką w środku i wszedł do domu.

Chudy podążył za nim, a kiedy don Camillo odkorkował butelkę i napełnił dwie szklaneczki stojące w kuchni na dużym stole, zapytał:

- Proszę księdza, do czego ksiądz zmierza?

- Chudy, chcę po prostu usiąść i napić się szklaneczkę chłodnego wina. Jeśli chcesz, to siadaj i napij się i ty. W sierpniu, o trzeciej po południu nie uprawia się polityki.

Chudy siadł i jednym haustem wypił szklaneczkę. - Jeśli nie zatrute, to dobre - zauważył.

Don Camillo nie słuchał go, wypił swoje wino i ponownie napełnił szklaneczki. Wyciągnął z kieszeni cygaro toskańskie, przeciął je paznokciami kciuków i podał połówkę Chudemu.

- Nie - wyjaśnił Chudy. - Palę tylko papierosy. Nawet i pety. Don Camillo wstał, pogrzebał w dwóch czy trzech szufladach i rzucił Chudemu paczkę nazionali.

- Trzeba trzymać w domu nawet to, zawsze się znajdzie jakiś frajer, który woli papierosy od cygar.

Chudy nie zareagował; miał wino i papierosy. Cała reszta tyle była ważna, co zeszłoroczny śnieg.

Zapalił i wypił.

- Gdyby Peppone wiedział, że tu jestem! - zawołał w pewnej chwili.

- Bądź spokojny. Ja na pewno nie polecę mu tego opowiadać. A zresztą od wieków już ze sobą nie rozmawiamy. Tak między nami mówiąc, trochę mi przykro. Nie jest najgorszy, mimo tych wszystkich swoich wad. We wsi spotyka się głupszych od niego. I nie tylko wśród was, szaleńców. Chudy nie odpowiedział; wypił duży łyk wina, a potem westchnął.

- Ech tam!

To "ech tam" sprawiło, że don Camillo nastawił ucha, znów napełnił szklaneczkę, a potem powiedział ocierając pot:

- Nie chce mi się wstawać, z drugiej jednak strony butelka jest już pusta, po następną trzeba by iść. Drzwi do piwniczki są tam. - Białe czy czerwone? - spytał Chudy wstając.

- Czerwone.

- Ja byłbym za białym, żeby nie mieszać.

- Znajdziemy złoty środek: czerwone i kielbasa na przekąskę.

Chudy uwinął się migiem i wrócił z butelką i kielbasą.

- Chleb jest w środku, w kredensie. Znajdziesz tam również deskę i nóż - zakomunikował zmęczonym głosem don Camillo.

Kiedy na Nizinie jest prawdziwy sierpień, gardła są wysuszone przez pragnienie i trzeba pić. A żeby móc pić jak się należy, nie ma nic lepszego nad dobrą kielbasę, która dopiero wznieca piekielne pragnienie.

Kielbasa była nadzwyczajna i don Camillo zauważył:

- Może byś tak wziął mój rower i skoczył po Peppona? Jestem pewny, że przy takiej kielbasie dojdziemy do porozumienia.

Chudy pokręcił głową.

- Chudy - zawołał don Camillo - nie zrozum mnie źle. Nie mam najmniejszej ochoty na brzydkie żarty. W porządku: jutro poderżniemy sobie gardła, wyprujemy z siebie flaki, a tymczasem kto nam zabroni zjeść w towarzystwie dwa plasterki kielbasy? Powiedz prawdę, czyżbyś sądził, że ja ciągle tylko myślę o brudnej polityce?

Chudy pokręcił głową.

- Proszę księdza, to nie to. Niech ksiądz da spokój z Pepponem. Nie mówmy o tym więcej.

Don Camillo spojrzał na niego.

- Nie wiedziałem, że się pokłóciliście. Jeżeli tak, to nie było rozmowy.

- Nie pokłóciliśmy się! Gdybyśmy mieli się kłócić, to raczej on ze mną, bo ja nigdy bym się z nim nie kłócił. To co innego. - Chudy, wypijmy i zmienmy temat, dzisiaj polityka mnie nie interesuje.

Chudy wypił, ale poczuł się w obowiązku sprostować:

- Tu nie chodzi o politykę. To sprawy osobiste. Głupstwa bez znaczenia, ale które komuś takiemu jak ja, dają się we znaki.

Don Camillo pokiwał głową.

- Naprawdę przykro mi. Nie wiedziałem, że w pewnym momencie i dla przyjaciół okaże się bydlakiem. Nicpoń z ciebie, ale wobec Peppona znowu zachowałeś się bardziej niż jak przyjaciel. Niewdzięcznik, że cię źle traktuje.

Chudy zaprotestował:

- Nie zrozumieliśmy się, to nie to, że mnie źle traktuje. Zachowuje się wobec mnie tak samo jak przedtem. Proszę księdza, jak mam to wytłumaczyć? To tak, jakby ksiądz był bliskim przyjacielem światowej klasy mistrza kolarskiego. Nic się nie dzieje między księdzem a światowej klasy mistrzem kolarskim, przyjaźń jest taka sama, traktowanie takie samo. Ale dochodzi do tego, że światowej klasy mistrz kolarski robi się wołowaty i zaczyna przegrywać wyścigi. I przyjaźń, jaką ksiądz go darzy, nie jest już ta sama co przedtem.

- Gdybym rozumował twoim pokręconym umysłem, to może i tak - odparł don Camillo. - Ale ponieważ ja rozumię normalnie, moja przyjaźń nie zmienia się, bo jestem przyjacielem człowieka, a nie mistrza. Co więcej, im bardziej jest nieszczęśliwy, tym bardziej czuję się jego przyjacielem.

- Tak! -wykrzyknął Chudy. - Ale jednak jest księdzu przykro, że tamten traci mistrzostwo! To tak, jakby żonie wypadały zęby. Wciąż się ją kocha, a jednak przykro, że je traci!

Don Camillo pokręcił głową:

- Peppone nie jest mistrzem kolarskim ani twoją żoną. Według mnie dostałeś porażenia słonecznego.

Chudy zaczął wrzeszczeć:

- Proszę księdza, czy to możliwe, żeby ksiądz nie rozumiał?

Jeżeli chcesz, żebyś zrozumiał, to mów jaśniej! - odparł cieżko don Camillo.

Chudy przełknął jednym haustem szklaneczkę wina i zaczął mówić jaśniej: - Proszę księdza, powodem wszystkiego jest ten łotr, który żonie Peppone nakładł do głowy, żeby odnowić jadalnię ...

Było duszne sierpniowe popołudnie. Kolejne rozżarzone sierpniowe popołudnie. Don Camillo oblewał się potem, ale ani drgnął - stał zaczajony za żywopłotem od ponad godziny. Widział, jak tamten mężczyzna wchodził i chciał zobaczyć, jak będzie wychodził.

A kiedy dobry Bóg dał, że mężczyzna wyszedł i zamierzał wsiąść na rower, znalazł się oko w oko z don Camillem. - Dzień dobry, panie wójcie.

Peppone spojrzał na don Camilla podejrzliwie. - Dzień dobry, mości księżu.

Don Camillo wzruszył ramionami.

- Nie sądziłem, że panu uchybię, pozdrawiając go - poskarżył się

- Ksiądz jest z takich, co uchybiają ludziom zawsze, cokolwiek by zrobili. Ksiądz jest permanentną prowokacją.

Don Camillo wznosił oczy ku niebu.

- O Panie! - wykrzyknął. - Czy to możliwe, żeby ci ludzie zawsze byli na służbie? Czy to możliwe, żeby ci ludzie każdą rzecz widzieli tylko przez pryzmat polityki? Panie, co oni myślą, kiedy widzą wschód czy zachód słońca albo zaćmienie księżyca? Co myślą ci ludzie, kiedy wiosną spostrzegają, jak kwitną czereśnie? I nawet wobec wybuchu wulkanu, trzęsienia ziemi, tajfunu czy lawiny ludzie ci nie mogą mieć w głowach innych myśli ponad te dotyczące partii i jej ostatnich wytycznych?

Nachmurzony Peppone słuchał potoku słów don Camilla, aż wreszcie odezwał się:

- To nie ksiądz powinien mi robić taki wykład, ale ja księdzu.

Tak, bo to ksiądz ma krew zatrutą polityką.

- Peppone - wyjaśniał cierpliwie don Camillo - od wieków już cię nie widziałem, cieszę się, że cię znalazłem w doskonałej formie, a jedynym moim błędem było to, że okazałem szczere zadowolenie. - Proszę księdza, skąd można wiedzieć, kiedy ksiądz jest szczery, a kiedy nie?

Don Camillo był pieszko, więc Peppone szedł obok niego prowadząc rower.

Z gościńca wznosiły się tumany kurzu i ten kurz wiszący w powietrzu wysuszał gardła.

Don Camillo naprawdę sprawiał wrażenie, że przepelniony jest najuczciwszymi zamiarami, więc Peppone powoli tracił wszelką nieufność i rozmowa stawała się coraz przyjemniejsza.

Rozmawiali o sprawach nadzwyczaj ogólnych, a kiedy doszli do plebanii, don Camillo uznał za naturalne zaprosić Peppona, żeby wstał napić się szklaneczkę orzeźwiającego białego wina. A Pepponowi wydało się naturalnym przystać na to.

Wypili butelkę, a kiedy wychodzili, don Camillo zwrócił się do Peppona:

- Muszę iść do Bicciego, odprowadzę cię do domu.

Poszli na skróty okropną ścieżką, która, choć upał wykańczał ludzi, była błotnista, bo biegła w zagłębieniu, dokąd spływała woda z okolicznych pól.

Kiedy dotarli do domu, Peppone widząc, że don Camillo ciężko dyszy, uznał za naturalne zaprosić go na szklaneczkę.

W sieni było mroczno i chłodno.

- Siądziemy tutaj? - spytał don Camillo.

- Nie, chodźmy dalej.

Dalej, to znaczyło do jadalni. Do tego pokoju, który na Nizinie zwał "salonem". Są tam meble takie, jak w jadalni, powiększone fotografie zmarłych krewnych oraz pełno rozmaitej tandety, wygranej na loteriach i otrzymanej w prezencie. Zazwyczaj jest to pokój, do którego nikt z rodziny nigdy nie zagląda, bo onieśmiela tymi wszystkimi wspaniałościami, a poza tym jest najsmutniejszym i najmniej przytulnym pomieszczeniem w całym domu.

Ale kiedy Peppone otworzył drzwi, don Camillowi szczęka opadła z wrażenia.

Nie spodziewał się - choć Chudy mówił mu o tym - czegoś takiego: odnowione ściany, epokowy żyrandol, nowe meble, w oknach haftowane firanki i cud nad cudy: posadzka z lastrykowych płytek. Posadzka, która błyszczała, jakby była kryształowa. Niewiarygodnie gładka, niewiarygodnie jasna i czysta.

- No co? - spytał Peppone widząc, że don Camillo nie śmie wejść.

- Peppone! - wykrzyknął don Camillo. - Toż to nadzwyczajne! Taki piękny i nowoczesny salon trudno byłoby znaleźć nawet w pałacu w mieście!

- Nie przesadzajmy! - roześmiał się Peppone. - Proszę, proszę! Niech ksiądz nie robi ceregieli. Don Camillo wszedł ostrożnie i Peppone zamierzał wejść za nim, ale w tej samej chwili rozległ się prawie że nie ludzki wrzask i pojawiła się żona wójta. Wczepiła się w niego i przytrzymała na progu.

Potem spojrzała z przerażeniem na zakurzone i zabłocone buty i przeraźliwie zawodząc wydała z siebie krzyk rannego orła.

Peppone cofnął się więc o krok, a kiedy pojawił się z powrotem, miał sukna pod nogami. Te przekłete prostokąciki sukna wymyślone przez zaradne mieszczańskie gospodynie, żeby tylko zachować błysk posadzki.

Don Camillo patrzył na Peppona, który posuwał się niczym łyżwiarz. Taki duży i silny, z ciemnoczerwoną chustką zawiązaną pod szyją, rozwianymi włosami klejącymi się do czoła i wielkimi jak łopaty łapskami pociemniałymi od słońca i smarów samochodowych, powinien wzbudzać śmiech, a jednak przykro było na niego patrzeć.

Don Camillo przyszedł tutaj, żeby się pośmiać, ale wcale nie było mu do śmiechu. Zawrócił więc, stanął na suknach czekających przy progu i pozęgłował po błyszczącej posadzce.

Bez słowa usiedli przy stole z blatem lśniącym jak podłoga i siedzieli tak w milczeniu, póki nie zjawiła się żona ze szklaneczkami i butelką na tacy.

Kobieta postawiła wszystko na stole, napełniła dwie szklaneczki, a na odchodnym zadysponowała stanowczym tonem:

- Butelka ma być na tacy, a szklaneczki na podstawkach. Don Camillo przed napiciem się otarł dno szklaneczki rękawem, a potem z gracją odstawił ją na sam środek podstawki. Żaden z nich nie wiedział, od czego zacząć. Ale na szczęście w drzwiach pojawił się Chudy z dużą żółtą kopertą. - Szefie, polecony z kierownictwa.

- Dawaj go tu - rozkazał Peppone otrząsnąwszy się.

- Nie, zostawię tutaj - odpowiedział Chudy, zamierzając położyć kopertę na wyściełanym krześle stojącym przy drzwiach. Peppone odzyskał gromki głos z dawnych dobrych czasów: - Chudy, dawaj go tu! Chudy wahał się przez chwilę, po czym władował się na trzecią parę sukien leżących w pobliżu progu i pozegłował w stronę szefa po lśniącej posadzce.

- Siadaj i pij! - wrzasnął Peppone, napełniając szklaneczkę. Chudy zacisnął zęby i usiadł.

- Butelka na tacę, szklaneczka na podstawkę! - wrzasnął znowu Peppone, rzucając mu przed nos haftowaną serwetkę.

Potem przeczytał list i schował go do kieszeni. Jednym haustem wypił wino i po dłuższej chwili kompletnej ciszy stwierdził:

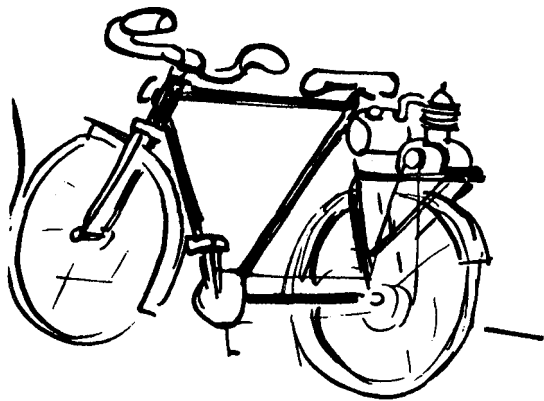
- Proszę księdza, niech ksiądz dobrze sobie wbije do głowy, że w dniu rewolucji proletariackiej pomaszerujemy bez sukien!

- Tak jest napisane w liście od Partii? - spytał don Camillo.

- Tak jest zapisane w historii ludu! - odpowiedział Peppone.

I powiedział to z taką dumą i wzniosłą stanowczością, że Chudy poczuł się podniesiony na duchu tą wiarą w ostateczne zwycięstwo.

- Tak jest, szefie! - przytaknął.



Loteria

Chłopom, jak posłuchać, co gadają, to zawsze jest źle. Jak pada, to po co pada, a jak nie pada, to dlaczego nie pada, jak zarobią dziesiątkę, to dlaczego nie dwanaście. A jak wyciągną dwanaście, to dlaczego nie piętnaście.

Don Camillo wiedział o tym doskonale i nigdy nie robił sobie złudzeń, kiedy musiał iść pukać do drzwi po pieniądze na tę błogosławioną świetlicę parafialną, która została już założona i siłą rzeczy musiała dalej istnieć.

Jednak tym razem don Camillo miał serce przepełnione optymizmem: rok był niezwykle urodzajny dla wszystkich upraw, a cena sera poszła w górę. Ale kiedy zapukał do drzwi trzech kolejnych domów, znał już całą śpiewkę: pomidory nie obrodziły tak, jak powinny, a buraki dały niski plon.

A poza tym winogrona jeszcze wisały na krzewach.

Zaraz więc postanowił zmienić taktykę. Żeby zebrać potrzebne pieniądze, należało sięgnąć po środek ostateczny - słynną loterię z cennymi fantami.

Zadał więc sobie trud, żeby zgromadzić te cenne nagrody. Jeśli chodzi o zwykłe loterie i loterie fantowe na cele dobroczynne, to na wsi odbywa się to dokładnie tak samo, jak w mieście: korzysta się z okazji, żeby oczyścić dom z najbardziej szkaradnych ozdóbek. I w końcu ciągle te same nieszczęsne przedmioty krążą podczas festynów dobroczynnych. Każda dzielnica w mieście i każda wieś ma swoją kolekcję, bo kto wygra jeden z tych przedmiotów, spieszy, by go ofiarować "ze szczerego serca", jak tylko pojawią się ludzie zbierający fanty na kolejną loterię dobroczynną.

Don Camillo pracował dwa tygodnie i w końcu plebania zamieniła się w targ w Senigallii.

Gdyby tylko miał dość odwagi, skorzystałby z okazji, żeby oczyścić wieś z tych śmieci. I prawdę mówiąc czuł nieodpartą chęć rozłożenia na dziedzińcu całego tego kramu i przejechania po nim walcem drogowym; potrafił się jednak opanować.

W każdym razie, jak już była cała góra normalnych nagród, należało znaleźć dwie albo trzy wyjątkowe. Bo bez takich nikt by nie kupił losu.

Miał przed sobą jeszcze dwa największe podejścia: Filottiego i gminę.

Ale Filotti z miejsca odpowiedział, że nie może dać więcej niż pięćdziesiąt butelek białego wina, bo pomidory się nie udały, buraki też nie i tak dalej, i tak dalej.

Don Camillo pokładał resztę nadziei w gminie i poszedł prosić o audiencję u wójta.

Peppone nie dopuścił go nawet do głosu.

- Proszę księdza - powiedział - wiem wszystko. Przytułek beznadziejnie potrzebuje pieniędzy, dokładnie tak samo jak gmina, z tą małą różnicą, że podczas gdy przytułek może organizować loterie, żeby zebrać fundusze, to gmina nie może. Jesteśmy więc w gorszej sytuacji.

Don Camillo zrobił wdech długi jak Tunel Simploński i gdy już był napompowany, wybuchnął:

- Więc pan wójt chce powiedzieć, że gmina odmawia wniesienia swojego wkładu?

- Nie, pan wójt chce powiedzieć, że gmina daje to, co może. Otworzył *szufladę* biurka i wyciągnął kilka garści drobiazgów objaśniając:

- Pięćdziesiąt ołówków "Superbus", trzydzieści gumek myszek, dwadzieścia pięć zeszytów z protokołami i pięćdziesiąt piór "Perry". Jako mój osobisty dar, dam wam pięć pudełek pasty do posadzek marki Atompasta.

- Możesz ją sobie ...

- Proszę księdza - przerwał mu ostro Peppone - niech ksiądz nie zapomina, że rozmawia ni mniej ni więcej, tylko z panem wójtem. Artykuły piśmienne sam ksiądz sobie zabierze, czy mam przysłać księdzu do domu?

Don Camillo nawet mu nie odpowiedział, zrobił w tył zwrot i skierował się do drzwi. A kiedy był na progu, odwrócił się. - Wiesz co ci powiem? - krzyknął.

- Niech ksiądz mówi.

- Że wszyscy wzbudzacie obrzydzenie. Biedni, bogaci, komuniści i antykomuniści.

- Chwileczkę, *proszę* księdza! Postawmy kropkę nad "i". Don Camillo zawrócił do biurka i wbił wzrok w Peppona.

- Jeśli chcesz postawić kropkę nad "i", jestem. Coś ci nie odpowiada?

- Nie odpowiada mi, że ksiądz gada głupstwa. Komuniści, zgodnie z obowiązującą ich zasadą, nie są obrzydliwi. W każdej sytuacji zachowują się w sposób doskonały.

Don Camillo złapał paczkę z ołówkami i podetkał ją Pepponowi pod nos wrzeszcząc:

- Pięćdziesiąt ołówków "Superbus", najohydniejszych na świecie, dar administracji komunistycznej!

- Dar administracji komunalnej! - sprostował Peppone. - Komuniści nie mają tu nic do rzeczy. Więc zanim ksiądz powie, że komuniści wzbudzają obrzydzenie, niech ksiądz posłucha, co mu odpowie komórka partii komunistycznej.

Don Camillo odłożył ołówki na biurko i podparł się pod boki. - A co, według ciebie, odpowiedziałyby mi komórka partii komunistycznej, gdybym ją poprosił o fant na loterię?

Peppone wzruszył ramionami. - No, zastanówmy się - mruknął. - Według mnie, gdyby się ksiądz zwrócił do komórki komunistycznej, to ofiarowałaby ona na przykład rower "Stucchi lux", nowiuteńki, z oświetleniem i przerzutką "Simplex". I być może z miękkim siodełkiem, podpórką i bagażnikiem.

Don Camillo patrzył na niego przez chwilę z otwartymi ustami. - Zebrało ci się na żarty! - wykrzyknął w końcu.

- Mnie może i tak, ale nie miejscowej komórce partii komunistycznej. Kto chce dostać luksusowy rower "Stucchi", nowiuteńki i tak dalej, musi tylko skierować krótką pisemną prośbę do tej właśnie komórki.

Don Camillo zaśmiał się szyderczo.

- No właśnie, a ty mi odpowiesz: "Niech ksiądz pisze do św. Piotra!"

Peppone pokręcił głową.

- Wcale nie, proszę księdza, ksiądz skrobnie dwie linijki z prośbą i dwie godziny później rower przyjedzie na plebanie jeszcze w oryginalnym opakowaniu. Ale oczywiście przy eksponowaniu fantów musi stać na honorowym miejscu i mieć przyczepioną tabliczkę czterdzieści na trzydzieści centymetrów z wielkim napisem drukowanymi literami: DAR WŁOSKIEJ PARTII KOMUNISTYCZNEJ. Żeby księdza odciążyć, przysłemy tabliczkę już gotową.

- Nie trudź się - odpowiedział oschle don Camillo. - Zatrzymaj i tabliczkę, i rower. Nie pracuję w reklamie.

- Proszę księdza, a jeśli do super luksusowego roweru "Stucchi", doczepimy motorower "Mosquito", również nowiuteńki? - Nie, nawet gdybyś doczepił motor Fiata 1900 z hydraulicznym sprzęgłem!

- Przykro mi, ale niech się ksiądz zastanowi.

- Już się zastanowiłem.

Don Camillo wrócił do domu z gotującym się motorem i poszedł wyładować się przed Chrystusem z głównego ołtarza. - Panie Jezu - wysapał - wśród tych wszystkich nieszczęśników, kto jest najbardziej nieszczęsny? - Ty - odparł Chrystus.

Don Camillo spojrzał do góry zdumiony. - Ja? A to czemuż?

- Bo masz serce przepelnione gniewem.

- Panie Jezu - błagał zdesperowany - czy można się nie wściekać po tym wszystkim, co mi się przytrafiło? - Tak, don Camillo, bardzo możliwe.

Don Camillo napływały łzy do oczu.

- Panie Jezu, pukałem do dziewięćdziesięciu dziewięciu drzwi i nigdzie mi nie otworzono. W setnych mi otworzono po to, żeby się ze mnie nabijać - jak mogę się zachowywać spokojnie?

- Don Camillo, ja pukam codziennie do stu tysięcy dusz i żadna się nie otwiera, i wtedy się smucę. Ale jeżeli po tych stu tysiącach znajdę jedną, która otwiera się szeroko, radość rozpiera mi serce, nawet jeżeli za progiem napotykam jedynie szyderstwo. Sto tysięcy razy gorzej jest ignorować obecność Boga, niż wyśmiewać się z Niego. Kto nie zna Boga, jest ślepcem, który nigdy nie dojrzy światła. Ten kto nie zna Boga, nie będzie nigdy żył jak człowiek sprawiedliwy, bo ten, kto nie zna Boga, nie jest człowiekiem.

W don Camillu wciąż wrzało i próbował się wytłumaczyć:

- Panie, jeżeli jestem głodny i dziewięćdziesiąt dziewięć osób odmawia mi kawałka chleba, czy nie jest najbardziej przewrotna setna osoba, która mi go daje i to w nadmiarze, nakłaniając mnie przy tym do popełnienia występku?

- Oczywiście, don Camillo. Jeżeli Peppone próbował nakłonić cię do popełnienia czynu niezgodnego z prawem Bożym, to jest on największym nikczemnikiem.

Don Camillo otarł czoło ociekające potem.

- Panie, nie można z całą pewnością stwierdzić, czy nakłaniał mnie do popełnienia czynu niezgodnego z prawem Bożym. Chociażby dlatego, że w prawach Bożych nie występują szczegółowe wzmianki na temat rowerów "Stucchi" i loterii na cele dobroczynne ... W każdym razie pewne jest to, że nie mogę zrobić czegoś, co byłoby korzystne dla idei wyznawanej przez Peppone. Idei, która jest potępiona jako przeciwna idei chrześcijaństwa. Nie wydaje ci się, Panie?

- Don Camillo, nie wiem, co ci właściwie odpowiedzieć. Ja też nie znam się dostatecznie dobrze na rowerach i loterii na cele dobroczynne.

Don Camillo skłonił się.

- Jezu - powiedział smutnym głosem - kto wie, jak by się cieszył Peppone, gdyby wiedział, że i Ty sobie ze mnie żartujesz.

Wrócił na plebanię, by dokonać przeglądu zgromadzonego lichego towaru. Wkrótce nadszedł Chudy i położył na stole w sieni ołówki i resztę chłamu.

- Od zarządu gminy - wyjaśnił. - Jeżeli uda się księdzu zatemperować jeden z tych ołówków, to będzie mógł ksiądz użyć go jako punktaka.

- Podziękuj panu wójtowi. Powiedz mu, że niepotrzebnie się trudził.

- Wcale się nie trudził. To prawdziwa przyjemność, kiedy można się przysłużyć wielebnemu prałatowi. Jeżeli ksiądz zechce, żebym mu pomógł zanieść te odpadki na śmietnik, to bardzo chętnie służyć. Don Camillo wyciągnął ze stosu okropnego malowanego kota z gipsu i posłał go drogą powietrzną w kierunku głowy Chudego. Ale ten typ był już gotowy do obrony i złapawszy gipsowego kota w locie, postawił go delikatnie na stole.

- Lepszy kot dzisiaj niż motorower jutro - zauważył czmychając. Don Camillo roztrzaskał o ziemię alabastrową wieżę z Pizy, która wyglądała jak z wylizanego cukru.

Wystawa fantów na rzecz świetlicy parafialnej i ogródka, mimo że na eksponowanym miejscu umieszczono butelki od Filottiego, wyglądała przeraźliwie zniechęcająco. Po raz drugi don Camilla ogarnęła ostra pokusa rozwalenia całego tego obrzydlistwa, ale zdołał się jeszcze opanować i poszedł porozmawiać z Chrystusem w głównym ołtarzu.

- Jezu - powiedział - czy cel uświęca środki?

- Nie, don Camillo, ze zła może narodzić się dobro, ale ty nie możesz świadomie posługiwać się złem, żeby uzyskać coś dobrego. Bo ty musisz zawsze postępować zgodnie z prawem Bożym, a prawo Boże zabrania ci czynić zło.

- Jezu, strychnina to straszna trucizna, ale aptekarz stosując odpowiednią dawkę może z niej uzyskać skuteczne lekarstwo.

- Don Camillo, moralność chrześcijańska nie pochodzi z apteki.

Don Camillo spuścił głowę i odszedł.

"Wszyscy są przeciwko mnie" - westchnął, siadając przy biurku w saloniku. Potem wziął kartkę i napisał podanie.

Rower z motorkiem pojawił się w godzinę później przywieziony furgonetką przez Chudego.

Była też tabliczka z ogromnymi drukowanymi literami.

- Proszę księdza - ostrzegł Chudy. - Niech ksiądz pamięta - honorowe miejsce.

Wystawa fantów na loterię została otwarta następnego dnia i ludzie tłumnie zapełnili wielki pokój.

Ofiarowany przez Partię Komunistyczną rower z motorkiem zrobił wielkie wrażenie.

Spiletti całkowicie potępił całą akcję:

- Proszę księdza, ja bym ani nie prosił tych ludzi o dary, ani ich nie przyjmował.

- Ja też nie, gdyby pan i wszyscy inni, zamiast wpychać mi gipsowe albo pozłacane blaszane szkaradziejstwa dali mi coś, co nadawałoby się na loterię.

- Jeżeli nie było fantów, to nie trzeba było robić loterii.

Uniknąłby ksiądz wstydu. - Słusznie - zawołał don Camillo. - Jeśli ktoś ma parchy, to nie każe mu się zdejmować publicznie rękawiczek, tylko pozwala mu się mieć zakryte ręce, a ludzie mówią: "Och, co za piękny paniczek, elegancki i czyściutki!"

Oczywiście, wszyscy czerwoni przyszli podziwiać swój oszalałający rower z motorkiem i chodzili nadęci jak indory.

W dzień ciągnięcia losów przyszedł również Peppone ze swoim sztabem głównym. Wielka sala i placyk przed kościołem były pełniuteńkie.

Zostały sprzedane ostatnie bilety i wrzucono do urny odpowiadające im kupony.

Rozpoczęło się ciągnięcie; don Camillo zdołał zgromadzić jedynie pięćdziesiąt przyzwoitych nagród. Miały być rozlosowane poczynając od najlepszej, resztę postanowiono rozdać po jednym fencie na każdy bilet, tak aby nikt nie wrócił do domu z pustymi rękami.

- Pierwsza nagroda: rower z motorkiem! - zapowiedział don Camillo.

Jakieś dziecko wyciągnęło kupon z urny.

- Osiemset czterdzieści siedem! - wrzasnął don Camillo. - Kto ma numer osiemset czterdzieści siedem, wygrywa rower.

Nikt z obecnych nie miał takiego.

- Rower pozostaje w depozycie dla tego, kto ma numer osiemset czterdzieści siedem! - wrzasnął don Camillo. - Kompletna lista wygranych zostanie ogłoszona jutro. Kosz z pięćdziesięcioma butelkami białego wina. Numer ...

Chłopaczek wyciągnął kupon: dwieście trzydzieści. Mężczyzna, który miał numer dwieście trzydzieści, wysunął się do przodu machając biletem i z pomocą przyjaciół odebrał kosz z butelkami śmiejąc się. Właściwie loteria była już zakończona, bo jedyną rzeczą, która interesowała ludzi był rower z motorkiem. Reszta, prócz kosza z butelkami, to takie trochę lepsze rupiecie. Ale nikt się nie ruszył, póki nie rozdano wszystkich "lepszych" pięćdziesięciu nagród.

A kiedy zostały już odebrane, ludzie zaczęli szemrać. To ciekawe, że wśród pięćdziesięciu zdobywców nie było akurat tego od roweru. - Ja - powiedział jakiś młody chłopak - kupiłem bilet numer osiemset czterdzieści sześć i to tutaj, w ostatniej chwili, i widziałem, że w bloczku zostały jeszcze cztery bilety: osiemset czterdzieści siedem, osiemset czterdzieści osiem, osiemset czterdzieści dziewięć i osiemset pięćdziesiąt. Chętnie zobaczyłbym ten bloczek, nie chciałbym, żeby do urny wsadzili nie sprzedany bilet, zamiast kuponu.

Ktoś powiadomił don Camilla, który przybiegł sapiąc.

- Nie ma żadnego oszustwa! - wrzasnął. - Włożyliśmy do urny tylko kupony. Oto ten wylosowany. A to bloczek. Wszystkie bilety zostały sprzedane.

- A kto to udowodni? - burknął chłopak.

- Sierżant karabinierów i notariusz tu obecni!

- A skąd będą wiedzieli, czy bilet został sprzedany? A jeśli ktoś go wyrwał i wsadził sobie do kieszeni? To, że kupon znalazł się w urnie, o niczym teraz nie świadczy.

Don Camillo pobałdł.

- Tym kimś mógłbym być tylko ja, bo ja sprzedałem ostatnie cztery bilety.

- Ja nie mówię ... - zawołał chłopak. - W każdym razie, jeżeli bilety zostały sprzedane tutaj, to dlaczego nie zgłosił się ten, kto kupił numer osiemset czterdzieści siedem?

Don Camillo miał ogromną ochotę złapać młodzieńca za gardło i cisnąć nim o ścianę, ale musiał zachować spokój.

- Proszę państwa! - krzyknął. - Numer osiemset czterdzieści siedem został sprzedany przed paroma minutami. Ten, kto go kupił, musi tu być. Proszę popatrzeć do kieszeni, trzeba tę sprawę natychmiast zakończyć. Ten, kto ode mnie kupił przed chwilą bilet, niech poszuka w kieszeniach.

Grzebali wszyscy, nawet ci, którzy nie kupili biletów, aż w pewnej chwili dało się słyszeć, jak ktoś mamrocze: - Ja go mam.

I wystąpił Peppone, który podał bilet don Camillovi.

Don Camillo wydobył z siebie głębokie westchnienie ulgi.

- Wszystko w porządku? - spytał wesoło. - Młody człowiek przekonany? Bardzo dobrze; z prawdziwą przyjemnością wręczam pierwszą nagrodę panu wójtowi. Nic bardziej sprawiedliwego: ofiarowana przez Partię Komunistyczną to i dobrze, że wraca do Partii Komunistycznej.

Ludzie śmiali się.

- Niewiele się natrudzili - burknął stary Cibia. - Dali rower, a potem go sobie odebrali. Oni to potrafią dawać gęsiom pić, jak deszcz pada!

Peppone odwrócił się czerwony jak rewolucja październikowa. - Co za głupoty wygadujecie! Kupiłem bilet, jak wszyscy inni.

Co mam z tym wspólnego, że pierwszy los wypadł na mnie? - Masz, bo gdybyś nie kupił biletu, to byś nie wygrał.

Wtedy wtrącił się Chudy, złapał rower za kierownicę i powiedział do Pepponea:

- Szefie, niech gadają, mamy prawo i jesteśmy w najlepszym porządku.

Ruszył w stronę wyjścia, a za nim zgrzytając zębami szedł Peppone.

- To sowiecki system - wyjaśnił uśmiechając się don Camillo.

- Wielkie obietnice, a potem figa z makiem. Mydlenie oczu!

Peppone usłyszał to i odwrócił się.

- Niech ksiądz przyjdzie jeszcze kiedyś o coś poprosić, to zobaczy, jaki mu piękny prezent wyszykuje!

- A tu wasza tabliczka - odpowiedział śmiejąc się don Camillo. - Zamiast DAR PARTII KOMUNISTYCZNEJ trzeba było napisać PŁONNA OBIETNICA PARTII KOMUNISTYCZNEJ.

Peppone odszedł w pośpiechu, żeby nie dać się sprowokować, a kiedy triumfujący don Camillo udał się, by podziękować Chrystusowi z głównego ołtarza, Chrystus powiedział:

- Znów jesteś najpodlejszy.

- Wiem, Panie - odpowiedział don Camillo rozkładając ręce.

- I przykro mi z tego powodu, ale w polityce niegodziwość jest bolesną koniecznością, bo w polityce ma się do czynienia nie z ludźmi, a z partiami. A partie nie są stworzeniami dobrego Boga. Amen.



Blady wymoczek

Peppone potrzebował na gwałt metra jednocalowej miedzianej rury, a ponieważ nikt ze wsi nie był mu w stanie takiej dostarczyć, a robota musiała być skończona następnego ranka, wskoczył więc do autobusu i pojechał szukać szczęścia w mieście.

Pojechał, jak już dzwoniło na południe, więc musiał czekać aż do trzeciej. Ale sprawa nie skończyła się z otwarciem sklepów, bo w żadnym składzie żelaznym nie było jednocalowej rury, i Peppone musiał przejść się po warsztatach.

W końcu, kiedy znalazł już tę przeklętą rurę, zapadał wieczór.

A na dodatek uciekł mu autobus.

Trzydzieści kilometrów to nie fraszka, z drugiej jednak strony nie mógł przełożyć roboty, bo chodziło o kocioł z przetwórnicy pomidorów, i ci z przetwórnicy mieli przyjść nazajutrz o czwartej rano odebrać zreperowane urządzenie.

Ruszył więc w drogę z nadzieją, że znajdzie się jakiś samochód, który go podwiezie.

Na głównej szosie nie warto było tracić czasu ani sił na zatrzymywanie samochodów; taką drogą przejeżdżają ich setki i bądź tu teraz mądry, który z nich jedzie do tej czy tamtej wsi.

Należało dotrzeć co najmniej do bocznej drogi, gdzie jeździły samochody już wyselekcjonowane i we właściwym kierunku.

Doszedł do niej piechotą i od razu za zakrętem pojawiła się ciężarówka. Toczyła się wolniutko i kiedy kierowca zauważył wymachującego Peppona, od razu przystanął.

Nie jechał do wsi, ale w każdym razie przez siedem kilometrów miał jechać tą samą drogą co Peppone, więc ten wsiadł. Siedem plus trzy (od miasta aż tutaj) to dziesięć; lepiej dwadzieścia niż trzydzieści.

Na zakręcie przy kolejnym moście Peppone wyskoczył z ciężarówki i pożegnawszy kierowcę ruszył w drogę *pedibus calcantibus*.

Zapadł już prawie wieczór i jakby tego jeszcze było mało, zaczął padać deszcz. Nie opodal była kapliczka pod daszkiem i Peppone mógł się tam schronić.

"Przepraszam, że stoję do Ciebie tyłem" - mruknął, zwracając się do Madonny i przykładając rękę do daszka czapki. "Ale nie mogę spuścić z oka drogi. Jestem na piechotę z powodu tej przeklętej rury i muszę znaleźć kogoś, kto by mnie podwiózł."

W miarę jak gęstniał mrok, padał też coraz większy deszcz i spoglądając na rozmiękną i kompletnie opustoszałą drogę miało się niezbyt pocieszające wrażenie, że już na zawsze zostało się wykluczonym z tego świata.

Peppone czekał pół godziny, godzinę, wreszcie stracił cierpliwość. "Przepraszam! - zawołał do Madonny - jeżeli już więcej nic nie przyjedzie, to powiecie mi, co mam robić?"

Madonna nie powiedziała, więc Peppone zawył.

Ale i oto dostrzegł reflektory samochodu nadjeżdżającego z dobrej strony. Wpadł w podniecenie i przygotowywał się do skoku, stając pod skrajem daszku, bo należało złapać samochód, ale starać się przy tym również nie zmoknąć.

Kiedy samochód, który jechał powoli z powodu ulewy i błota, znalazł się kilka metrów przed kapliczką, Peppone wyskoczył na środek drogi. Samochód, szare 1400, zahamował; Peppone jednym skokiem dopadł drzwiczek i wsadził głowę przez okno, a deszcz spływał mu strumieniami po plecach i całej reszcie.

Kierowca zapalił w środku lampkę i Peppone dojrzał twarz bladą jak prześcieradło.

- O co chodzi? - wybełkotał kierowca.

- O nic - odpowiedział Peppone. - A niby o co miałyby chodzić? Chodzi o to, że mi przemaka siedzenie! Dokąd pan jedzie? - Do Torricelli - wyjaśnił kierowca, który był szczupłym, drobnym i, jak się wydawało, bardzo nieśmiałym młodym człowiekiem.

- Wspaniale! - wykrzyknął Peppone, otwierając drzwiczki i ładując się na siedzenie obok młodzieńca. Wierząc się, żeby się wygodnie, końcem rury trącił go w pierś, a ten cofnął się i podniósł ręce do góry.

Peppone przez chwilę był mocno zdumiony tym dziwnym zachowaniem, lecz gdy spostrzegł, że oczy nieszczęśnika wbite są w miedzianą rurę, zrozumiał.

- Myśli pan, że co to jest - zawołał. - Karabin maszynowy?

Nie widzi pan, że to kawałek miedzianej rury zawiniętej w czarny pergamin?

Z drobnej klatki piersiowej młodego człowieka wydobyło się nie kończące się westchnienie.

- Proszę mnie zrozumieć - wyjaśnił rozeźlony. - Jak się zobaczy na ciemnej drodze wśród pół wyskakującego nagle wielkiego faceta, takiego jak pan, który zatrzymuje cię z podobnym narzędziem w rękę, to przychodzą niezbyt wesołe myśli. Teraz, w tych czasach ...

Peppone obruszył się.

- A co innego miałem zrobić? Od godziny czekam, bo uciekł mi autobus, muszę być w domu dziś wieczór, a tu leje jak z cebra. Trzeba zdawać sobie sprawę z położenia, w jakim znajduje się jednostka.

- Zdaję sobie sprawę - odparł młodzieniec, wrzucając bieg i ruszając. - Ale to wszystko zależy od tego, z której strony się na to spojrzy. Nawet najbardziej opanowany i spokojny człowiek, kiedy ma kompletnie przemoczone siedzenie, staje się nerwowy.

- Łatwo tak mówić, jak się jedzie wygodnie samochodem mając wszystko w nosie! - ryknął Peppone wyjątkowo rozsierdzony. - Ale kiedy trzeba wypruwać sobie żyły od rana do wieczora, żeby żyć, to co innego.

- Ja nie jeżdżę dla przyjemności - usprawiedliwił się nieśmiało młody człowiek.

- Nikt w to nie wątpi! - zaśmiał się dziko Peppone. - Gdyby pan jeździł dla przyjemności, to by pan nie wybierał takiej drogi i takiej pogody. Faktem jest, że choć jedzie pan do pracy, to jednak samochodem, a ja też do pracy, ale na piechotę i w strugach wody. A kiedy przyjadę do domu, nie będę mógł się położyć do łóżka, tylko będę walił młotem w warsztacie do drugiej w nocy. Jak dobrze pójdzie!

Młodzieniec skupiony na prowadzeniu samochodu nie odpowiedział, a Peppone więcej się nie odezwał.

Przejechawszy dwa czy trzy kilometry w kompletnym milczeniu, Peppone poczynił w duchu istotne spostrzeżenie:

"Kretyn ze mnie" - pomyślał. "Zatrzymuję tego nieszczęsnego wymoczka sprawiając, że o mało nie umiera ze strachu, wskazuję mu do samochodu, jakby to nie była jego własność, tylko gminna. Potem, zamiast mu podziękować, że mnie nie wykopał, serwuję mu krytykę antymieszcząską i stawiam go w stan oskarżenia. Trzeba trochę podnieść na duchu tego biednego wymoczka z miasta, bo inaczej będę go miał na sumieniu."

Samochód przejechał obok cmentarza w Borghetto, którego brama wychodziła na drogę obok latarni dającej skąpe oświetlenie wsi. Peppone zdjął czapkę i wydało mu się, że młodzieniec bardzo docenił ten gest szacunku dla zmarłych.

- Biedni, ale chrześcijanie! - wykrzyknął Peppone. - Nasze wsie nie są piękne, ale są cywilizowane.

- Wiem - odburknął miastowy wymoczek niezbyt przekonany.

- Zna pan te okolice? - spytał Peppone.

- Nie, przejeżdżam tędy po raz pierwszy, ale wiem, jacy są ludzie Niziny ... Czerwony Sokół, Karabin Maszynowy i Rewolwerowiec nie pochodzą przypadkiem z tych stron? Pepponowi wydało się, że w głosie wymoczka słyszy wyraźny ton sarkazmu, zwłaszcza kiedy wymawiał pseudonimy trzech najsłynniejszych bojowników czerwonej ekstremy z Niziny, więc zaoponował:

- Drogi panie, Czerwony Sokół, Karabin Maszynowy i Rewolwerowiec nie są ludźmi Niziny. To trzech przeklętych postrzelców, którzy się tutaj tylko urodzili, a mogliby przecież urodzić się w każdym innym miejscu. Nie może pan osądzać mieszkańców Niziny po trzech łobuzach, którzy do polityki wmieszali się jako złodzieje świń i którzy siedzą teraz w

więzieniach, bo na to zasłużyli. Musi pan sądzić po innych. Co pan sobie myśli, że tu na Nizinie rządzą gwałtownicy, bezbożnicy i niegodziwcy?

- Nie, nie! - zaprotestował gwałtownie blady wymoczek. - Nie to chciałem powiedzieć. Wymieniłem tych trzech, bo dużo o nich pisały gazety ...

- Gazety! Nie powinien pan patrzeć do gazety, żeby zrozumieć Nizinę; trzeba patrzeć na nas!

Samochód przejechał przed kapliczką w Crociletto i Peppone złożył Madonnie uszanowanie zdejmując czapkę.

Blady wymoczek, który nie miał czapki, skinał głową.

- Z przyjemnością *widzę*, że jest pan porządnym chrześcijaninem! - zauważył zadowolony Peppone. - A kiedy *się* jest dobrym chrześcijaninem, to zawsze istnieje porozumienie, nawet jeżeli ma *się* odmienne poglądy.

Wymoczek rzucił mu tak zakłopotane spojrzenie, że Peppone, podciągając do góry kołnierz od marynarki, zręcznie wyciągnął odznakę z butonierki, myśląc sobie: "Jak ten maminsynek tylko *się* domyśli, że jestem komunistą, to dostanie apopleksji ze strachu".

- Kiedy jest *się* chrześcijaninem, jest *się* również dobrym ojcem rodziny, a zatem dobrym patriotą, nieprawdaż? - zawołał w uniesieniu Peppone.

- Oczywiście - odpowiedział blady wymoczek. - Bóg, Ojczyzna, rodzina. To podstawa.

- Doskonale! Dobrze powiedziane! Wierzyć, słuchać i walczyć. Peppone zreflektował *się*, że powiedział coś, czego nie chciał wcale mówić. Ale spoglądając kątem oka na towarzysza podróży, dostrzegł na jego wargach wyraz zadowolenia. Jasne, on jest taki, jak go sobie Peppone wyobrażał. Ale chciał na to potwierdzenia.

- *Widzę*, że z panem można mówić swobodnie, więc bądźmy szczerzy. Dwie osoby mogą mieć poglądy, jakie chcą, ale jeżeli są ludźmi honoru, muszą uznać to, co jest prawdą. Historia jest historią. Bujdy są bujdami. A więc nie można całkowicie potępiać jakiegoś człowieka i twierdzić, że to wszystko, co zrobił, było błędne. Popełniał błędy, ale, bądźmy uczciwi, dokonał również dobrych czynów. I jeżeli ktoś temu zaprzeczy, jest niegodziwcem! Dobrze mówię?

- Tak jest! - zawołał wymoczek. - Jak najbardziej *się* z panem zgadzam. To byłby wyjątkowy człowiek. Wyjątkowy pod **względem** zalet i wad, ale wyjątkowy. Nie ma już takich ludzi na świecie.

Tymczasem przestało padać i przejeżdżając przez osadę Fraschetto, młodzieniec musiał zwolnić, bo przed Domem Ludowym był zator; ludzie gapili *się*, jak dwaj młodzieńcy rozwieszali odezwy o przygotowywanym strajku rolnym.

Młody człowiek odwrócił *się* zatroskany w stronę Peppone, ale ten go uspokoił:

- Niech *się* pan nie przejmuj! - zaśmiał się. - Przyklejony papier nie nadaje się nawet do pakowania kartofli! Nie ma żadnego znaczenia. Wie pan, co tu się stało parę dni temu, jak był strajk generalny?

- Nie - odparł młodzieniec.

- Manifesty, transparenty, rozkazy, odwołania rozkazów, przemowy, by przygotować się do strajku generalnego, a potem wszyscy pracowali. Wszyscy, rozumie pan, czerwoni, czarni, zieloni, biali i żółci. Taka jest Nizina i trzeba patrzeć na fakty, a nie na gadaninę.

- No właśnie! - przytaknął zadowolony młodzieniec. - Gdyby miało się zwracać uwagę na politykę ...

- Polityka jest zakałą rodzin! - zawołał Peppone. - Dlatego mam swoje poglądy i trzymam je dla siebie, i nie muszę się zapisywać do żadnej partii! A pan?

- *Idem!* Nie potrzeba legitymacji partyjnej, żeby mieć poglądy.

A nawet często ci, którzy mają legitymacje, nie mają poglądów, i *vice versa*.

- Święte słowa! - wykrzyknął Peppone.

Ale akurat prawie już byli na miejscu i przy wjeździe do wsi samochód zaczął podskakiwać z powodu dużych dziur, od których aż roilo się na głównej drodze.

- Niech diabli wezmą tego przeklętego wójta i wszystkich urzędasów! - zaklął młodzieniec. - Niech pan spojrzy co za dziadostwo!

Potem nagle przestraszył się, że popełnił gafę, i zapytał słabym głosem:

- Jaki tu zarząd?

- Komunistyczny - odparł Peppone.

Młodzieniec odetchnął z ulgą.

- Spodziewałem się tego. Lepiej by się zajęli drogą, a nie polityką.

- Pewnie! - przytaknął Peppone.

Potem poprosił młodzieńca, żeby stanął.

- Jestem na miejscu - wyjaśnił wysiadając. - Bardzo panu dziękuję. Szczęśliwej drogi.

Zrobił dwa kroki, ale młodzieniec przywołał go: - Pański karabin! I wysunął miedzianą tuleję.

- Gdyby wszystkie karabiny były takie jak ten, to wszystko szło by lepiej - odparł ze śmiechem Peppone, odbierając rurę.

Samochód odjechał, a on stał i patrzył za nim. "Cóż jest piękniejszego" - pomyślał. "Cóż jest piękniejszego nad pocieszenie biednego kretyna? Oto idiota, który dziś w nocy będzie spał spokojnie, a jutro, powróciwszy do miasta, opowie swoim przyjaciołom, takim samym wymoczkom, że niebezpieczeństwo komunistyczne nie istnieje i że ta słynna Nizina jest śmiechu warta." Peppone, żeby skończyć robotę, walił młotem do czwartej rano i spał do jedenastej. Spałby jeszcze dłużej, gdyby Chudy nie wezwał go o tej właśnie godzinie.

O jedenastej dwadzieścia Peppone znajdował się już w Domu Ludowym.

- Szefie, przyjechał inspektor z okręgu - wyjaśnił Chudy.

- Czeka na ciebie w twoim gabinecie.

Peppone wszedł do swojego własnego gabinetu i oczywiście nadział się na tego bladego wymoczka z poprzedniego wieczora.

Zdumiał się, spotykając go tu, a tamten był równie zdumiony, widząc przed sobą faceta od rzekomego karabinu.

Wymoczek otrząsnął się pierwszy:

- Jestem inspektorem okręgowym - przedstawił się.
- A ja szefem komórki i wójtem - odparł Peppone. Uścisnęli sobie dłonie.
- Okręg chce wiedzieć, jak się udał strajk generalny w gminie.
- Doskonale. Całkowite wstrzymanie pracy.
- Gratulacje, towarzyszu. A jak się zapowiada strajk rolny?
- Jeszcze lepiej niż strajk generalny.

Wymoczek uśmiechnął się:

- Świetnie, towarzyszu. Słyszałem o was, ale nie znałem osobiście. - Miło was poznać.

Usiedli.

Chudy przyniósł butelkę z dwiema szklaneczkami i odszedł, dokładnie zamykając za sobą drzwi. Peppone nalał wina. Wypili. - To była interesująca podróż wczoraj wieczór. Jesteście wspaniali, towarzyszu Bottazzi, umiecie perfekcyjnie maskować prawdziwe uczucia - zakomunikował wymoczek.

- Wy także, towarzyszu inspektorze, potraficie perfekcyjnie maskować prawdziwe uczucia.

Wymoczek zakończył uroczyscie:

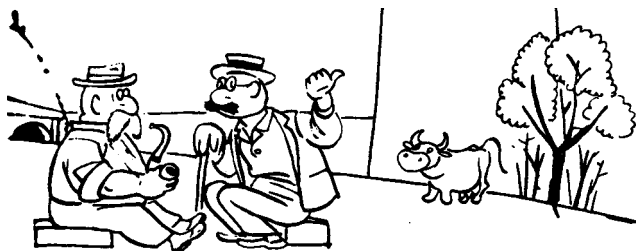
- Obaj jesteście nieźli. Partia może być z nas zadowolona. Peppone pokiwał głową:
- Teraz - burknął - trzeba by zobaczyć, czy my możemy być z niej zadowoleni.

Wymoczek napełnił szklaneczki i odezwał się: - Da się wytrzymać, towarzyszu Bottazzi.

I na to konto wypili.

A potem całkowicie zgodzili się co do tego, że lambrusco to doskonały aperitif i udali się do Molinetto.

I na to konto sobie podjedli.



Koci przesmyk

Prawie od wieku Gnappi byli dzierżawcami w Fossie, a Fossa wchodziła w skład gospodarstw, które prawie od wieku należały do Barottich.

W zasadzie więc Gnappi mogli być uważani przez Barottich za rodzinę, a jednak za każdym razem, kiedy stary Bia, głowa rodu Gnappich, pojawiał się w Villabianca, doktorowi Barottiemu temperatura skakała do czterdziestu stopni.

I podobnie za każdym razem, kiedy doktor Barotti wchodził na podwórze w Fossa, wszyscy Gnappi dostawali czterdziestostopniowej gorączki.

Doktor Barotti nigdy nie zajmował się polityką i nie miał najmniejszego zamiaru się nią zajmować, natomiast zajmowali się nią Gnappi i to wystarczyło, żeby każde nieporozumienie między właścicielem a dzierżawcą przeradzało się w ostrą kwestię polityczną.

Fakt, że doktor Barotti nie zgodził się na przykład na propozycję wycięcia szpaleru drzew morwowych, nie miał nic wspólnego z polityką, a jednak doktor miał się na baczności, żeby nie zrobić z tego sprawy politycznej. I podczas gdy jemu chodziło tylko o szpaler drzew, to Gnappi potraktowali to jako epizod z walki między kapitalistycznym wyzyskiwaczem a wyzyskiwanym pracownikiem.

Jasne, że Gnappi ulepieni byli z twardej gliny, a i Barotti też nie byli mięczakami, więc stosunki między właścicielem a dzierżawcą stawały się coraz bardziej napięte.

Aż w pewnym momencie Barotti nie czuł się już na siłach rozmawiać logicznie z nielogicznymi ludźmi i gwałtownie przerwał dyskusję:

- W końcu ziemia jest moja i zamierzam uprawiać ją tak, jak mi się podoba. Jeżeli wam to nie odpowiada, poszukajcie sobie nowego chlebobdawcy.

Stary uniósł ostrzegawczo palec:

- Zamiast tak mówić, lepiej okazałby pan trochę szacunku komuś, kto nosił pana na rękach. Proszę pamiętać, że czterdzieści pięć lat temu, kiedy był pan takim małym pędrakiem, dokuczył mi pan wiele razy.

- To nie powód, żebyście mi teraz wy dokuczali - odpowiedział opryskliwie Barotti.

- Byłoby lepiej, gdybym wrzucił was do kanału, zamiast nosić na rękach niby drogocenny skarb - wrzasnął w odpowiedzi Bia, który miał sześćdziesiąt osiem lat, ale kiedy przychodziła nagła potrzeba, potrafił pyskować jak nastolatek.

I kiedy tak się rzeczy miały, naprawdę niepotrzebna była jeszcze ta sprawa z kocim przesmykiem. Ale diabeł machnął ogonem i przydarzyła się tragedia.

Ziemia należąca do Fossy ciągnęła się w dół do kanału, który przecinał gospodarstwo na dwie części i poprzez koci przesmyk wpadał do Canalnuovo.

Kanał, dochodząc do wschodniej granicy majątku, spotykał się z rowem granicznym. Rów ten należał do właściciela sąsiedniej posiadłości, więc żeby woda z ziemi Barottiego mogła spływać do Canalnuovo, musiała przepływać pod granicznym rowem. Właśnie w tym miejscu znajdował się ów słynny koci przesmyk, czyli podziemny kanał z kolankiem, długi na dziesięć czy dwanaście metrów, zbudowany z solidnego betonu. Nazywają te urządzenia kocimi przesmykami dlatego, że jest to otwór jak dla kota, jako że koty mają siedem przegubów no i kości z gumy i potrafią prześliznąć się przez każdą dziurę.

Nikt nie nazwałby ich "psim przesmykiem", bo choć kocie oczko ma pół metra średnicy, to szlam, patyki i temu podobne rzeczy, które gromadzą się niestety w każdym takim kolanku, zmniejszają w pewnym momencie jego światło, a co za tym idzie i przepustowość.

Pies doktora Barottiego nie był zorientowany w tych sprawach i pewnego dnia, kiedy towarzyszył swojemu panu podczas inspekcji pól, zobaczył, że jakiś kot skoczył na dno prawie suchego rowu i wśliznął się do wlotu syfonu, więc rzucił się za nim w pogoń.

I w ten sposób dostawszy się łatwo do kociego przesmyku, oblepił się tam błotem i nagromadzonymi żdźbłami słomy i nie mógł się już wcale ruszyć.

Minęła godzina, zanim Barotti zorientował się, że jego psu przytrafiła się ta nieszczęśliwa przygoda; przywołało go żalosne wycie dochodzące z wlotu do kanału. Poleciał więc szybko po pomoc do domu Gnappich, ale powróciwszy z dwoma czy trzema ludźmi, mógł już jedynie złożyć wzruszający hołd ku czci nieszczęsnego psa; ktoś w górze Canalnuovo, po skończeniu nawadniania, otworzył zapory i woda wpłynęła z powrotem do kanału i zalała koci przesmyk.

- Amen - burknął stary Bia. - Zdechł tak, jak powinni zdechnąć niektórzy.

Doktor Barotti wrócił do domu wielce zmartwiony i dni mijały, a on nie mógł zapomnieć biednego psa, który zdechł niczym szczur. Potem, kiedy zaczęło padać, musiał się jeszcze bardziej nagłowić, bo po dwóch dniach ulewnych deszczów przyszedł do Villabianca stary Bia, by ostrzec, że kanał odpływowy wylał i pola zamieniają się w lagunę wenecką.

Barotti zdziwił się:

- A to co znowu? Canalnuovo już nie daje rady?

- Canalnuovo tak - wyjaśnił Bia. - Ale koci przesmyk nie.

- Nie pierwszy raz tak się dzieje! - krzyknął Barotti. - Jeżeli koci przesmyk nie ciągnie, to go przetkajcie. - To do nas nie należy - odparł zimno Bia. - Tylko do was. To wy go zatkaliście.

- Ja?

- Tak, pies nie był nasz, tylko wasz. Pies nie był wcale dzierzawiony.

- Aleście sobie wymyślili! Błoto, kamienie, gałęzie też nie są dzierzawione, a jednak zawsze bez gadania czyściliście przepływ.

Bia pokręcił głową.

- Coś tu jest nie tak. Kamienie, błoto, gałęzie to są naturalne przyczyny, takie jak grad, susza czy mgła. Ani z waszej, ani z naszej winy. Ale jeżeli jutro wasz pies odgryzie nogę mojemu najmłodszemu wnukowi, to za nogę zapłacimy wedle warunków dzierzawy? Za waszego psa wy jesteście odpowiedzialni, bo to jest sprawa, która nie ma nic wspólnego z tym majątkiem. To wasz pies zapchał odpływ, więc go sobie przepychajcie. A jak go nie przepchacie, to szkód, jakie wyrządzi woda, nie pokryjemy po połowie, tylko wy za wszystkie zapłacicie.

Rozumowanie starego Bii trzymało się kupy i Barotti, który był doktorem prawa, musiał to przyznać; zrobił tylko jedno zastrzeżenie:

- Tak, wszystko jest logiczne. Ale gdybym zobaczył, jak wpadacie do kanału, to nawet wzięwszy pod uwagę, że to nieszczęście nie ma nic wspólnego z warunkami dzierzawy, i tak bym was wyciągnął.

- Ja natomiast, jakbym zobaczył, że wy wpadacie do wody, wcale bym was nie wyciągał - odparł zimno Bia. - Wypełniam jedynie to, co jest zapisane w umowie.

- W porządku, od dzisiaj ja też tak będę robił.

Doktor Barotti posłał do Fossy pięciu mężczyzn z poleceniem przetkania kociego przesmyku za wszelką cenę. No i został przetkany, a woda popłynęła znaną sobie drogą; jednak od tego czasu, za każdym razem, kiedy szedł na inspekcję upraw w Fossie, zabierał ze sobą dwóch świadków.

I za każdym razem, kiedy natknął się na jakąś nieprawidłowość, komunikował to Gnappim nie ustnie, ale za pośrednictwem listu poleconego. Kiedy Gnappi dostali piąty list, wściekli się i najstarszy z synów Bii pokazał Pepponowi prowokacyjny dokument mówiąc:

- Szeffie, następnym razem, jak Barotti pojawi się na podwórzu, przegonię kopniakami jego i tych przeklętych świadków, których ze sobą prowadzi.

- Następnym razem to ty nikogo nie skopiesz - odpowiedział mu Peppone. - Jeżeli on postępuje jak ostatni drań, ty też tak zacznij postępować. Ty też wysyłaj polecone.

Gnappi spojrział na niego zdumiony. - A co ja mu napiszę?

- To wszystko, co jest nie w porządku. O naprawach, jakie trzeba zrobić, o instalacjach sanitarnych, o nękaniu, niesprawiedliwościach, nadużyciach, łamaniu kontraktu i tak dalej.

Zdawało się, że to wyjaśnienie nie rozproszyło wątpliwości Gnappiego.

- Szeffie, Barotti to drań, ale umowy dotrzymuje.

- Myślałby kto, że przeklęty obszarnik może dotrzymywać umowy! - odparł Peppone, śmiejąc się szyderczo. - Umowa to nie tylko to, co napisane w kontrakcie, istnieją obowiązki, których nie wpisuje się do kontraktu, a są najważniejsze. Czy na przykład zapisane jest, że chlebodawca zapewnia ci zlew bez karaluchów?

- Nie.

- A masz karaluchy w zlewie?

- Na miliardy!

- Więc twój chlebodawca jest w zgodzie z postępowaniem socjalnym?

- Nie.

- No właśnie, zacznij od karaluchów. Świadkowie i polecony. Jeżeli nie załatwi zreperowania odpływu zgodnie z normami sanitarnymi, wyślij list do wójta, a ja przyślę ci do domu urzędnika z wydziału sanitarnego i pójdzie nakaz.

Gnappi wrócił do domu i obmyślono pierwszą akcję odwetową z zaleconymi karaluchami.

Cztery dni później Gnappi wrócił do Peppone. - Jest odpowiedź.

- I co pisze? - Żeby raz na tydzień wysypywać biały proszek koło odpływu i w szpary w ścianach klozetu. Przysłał również biały proszek. Działa bardzo dobrze. Karaluchy zniknęły.

Peppone pozieleniał z wściekłości.

- Pozwalacie, żeby się z was nabijał jak z półgłówków! - wrzasnął. - W każdym razie atakujcie dalej. Teraz od strony kibla. Jaki jest wasz kibel? Gnappi rozłożył ręce.

- Taki jak wszystkie inne, ohyda.

- Dobrze, piszcie polecony, jeśli się tym nie zajmie, od nas pójdzie nakaz.

Gnappi napisali, a Barotti odpowiedział natychmiast:

Przyjmuję do wiadomości wasze słuszne uwagi. Przystępuję bezzwłocznie do zamówienia kompletu urządzeń sanitarnych. Jak tylko gmina doprowadzi bieżącą wodę, powiadomcie mnie, a ja przystąpię do instalacji. Gdyby gmina nie zamierzała założyć wodociągu, poczynię odpowiednie starania, aby można było czerpać wodę przy pomocy prądu elektrycznego, pod warunkiem jednak, że gmina wskaże mi, gdzie mogę znaleźć niezbędne cztery miliony na pociągnięcie trzech kilometrów linii elektrycznej. Gotów jestem także zainstalować studnię do wydobywania wody za pomocą silnika spalinowego albo ręcznej pompy ssąco-tłoczącej, jeśli tylko gmina zobliguje również pozostałych właścicieli do uczynienia tego samego.

To była pod każdym względem skomplikowana sprawa i Peppone postanowił ją odroczyć. Poradził Gnappim zaatakować zwyczajowe datki w naturze.

- Oddajecie coś w naturze?

- No pewnie, kurczaki, jajka i tak dalej, jak wszyscy.

- Datki są prawnie zabronione. Nie wiedziałeś?

- Wiedziałem, ale daje się je chlebowodawcy ekstra, poza umową, ponieważ kury i prosiaki są własnością dzierżawcy, a nie wspólną. - To nie ma znaczenia; jest coś w kontrakcie, co ci zabrania trzymania kurczaków i prosiąt? - Nie.

- To jest ważne. Kiedy skończy się umowa, zobaczy się.

Gnappi przedyskutowali między sobą kwestię daniny i wszyscy stwierdzili, że to doskonały pomysł. Czekali, aż upłynie pierwszy termin, i zaczęli działać. Wysłali polecony: Dowiedziawszy się, że zwyczajowa danina w naturze jest zabroniona, dzisiaj, zamiast wymaganych od nas nielegalnie dwóch kapłonów, przesyłamy niniejszy list. Proszę go użyć do ugotowania rosółu, będzie cienki, ale sprawiedliwy. Barotti źle to przyjął, nie z powodu kapłonów, których miał w nadmiarze, ale z powodu małościowości. I postanowił z tym skończyć. On również wysłał polecony: Dowiedziawszy się, że oprócz mojego folwarku dzierżawicie za pośrednictwem opłaconych ludzi folwark w Pioppetcie od innego właściciela, przestajecie być uznawani za bezpośredniego użytkownika. Dlatego też będąc zmuszonym do zatrudnienia takowego, stoją wobec konieczności przeprowadzenia waszej eksmisji.

Odtąd doktor Barotti nie pokazywał się więcej w Possie, a Gnappi wpadli we wściekłość.

Sprawa zaczęła się komplikować z dnia na dzień, bo Peppone i czerwoni uznali ją za swoją własną.

Pokazały się odezwy porozlepiane na rogach, artykuły w gazecie, a na pilastrach bramy w Villabianca jakaś tajemnicza ręka napisała smołą: "Barotti, wyzyskiwaczu ludu, twoja godzina nadchodzi!"

Ale prawo było po stronie Barottiego. Był w prawie i miał kopie poleconych. Wojna trwała cały rok, a na świętego Marcina Gnappi musieli się wyprowadzić i przenieść do folwarku, który wdzierżawił Bia. Nadszedł dzień świętego Marcina i ostatni wóz załadowany rzeczami Gnappich wyjechał z podwórza w Fossie. Prowadził najstarszy syn Bii; przejechał przez mostek na drogę i zgasił silnik.

- Ej tam, pospieszcie się, bo zaraz zacznie padać! - wrzasnął do ojca stojącego pod daszkiem razem z mężczyzną, którego Barotti zobowiązał do przejęcia inwentarza żywego i martwego. Stary Bia ruszył z miejsca; prowadził za rękę kilkuletniego malca, najmłodszego wnuka, za nimi szedł Togo, sędziwy kundel. Stary Bia wyszedł na środek opustoszałego i wyludnionego podwórza i zatrzymał się.

- Nie ruszę się stąd - powiedział - jeżeli ten tam nie przyjdzie mnie pożegnać. Człowiek od Barottiego stanął z rozdziawionymi ustami.

- Ale ... - wybełkotał - jak to zrobić? Nie sędzę, żeby w tym przypadku ... Z góry traktora wtrącił się Gnappi syn:

- Tato! - krzyknął. - Chodźcie! Zaraz będzie padać. Dajcie spokój z tym przeklętym!

- Siedź cicho!- odparł twardo starzec.

Potem zwrócił się do człowieka od Barottiego:

- Ja się stąd nie ruszę, póki ten tam nie przyjdzie mnie pożegnać - powtórzył twardym głosem.

Drobny deszcz zaczął teraz rzęsiście padać; stary wsadził sobie malca pod płaszcz, a pies skulił się pod jego nogami.

- Gnappi opuszczają Fosę po stu latach - powiedział.

- W ciągu wieku musieli chyba zrobić coś dobrego dla Barottich.

Człowiek Barottiego widząc, że stary zastygł na deszczu niczym posąg, wskoczył do fiacika i ruszył pełnym gazem w stronę Villabianca.

Doktor Barotti siedział przed kominkiem w swoim gabinecie. - Bia chce pana widzieć - wyjaśnił mężczyzna od progu.

- Niech idzie do diabła on i całe jego plemię! - odparł Barotti.

- Stoi tam na środku podwórza z dzieciakiem i psem. Na deszczu. Mówi, że jeżeli nie przyjdzie go pan pożegnać, to się nie ruszy. Najstarszy syn czeka z ostatnim ładunkiem na drodze. Na pana miejscu nie szedłbym. Ten jego syn to wariat, wie pan.

Barotti wstał.

- Proszę zostać. Sam pójdę.

Barotti, dojechawszy do mostku w Possie, zatrzymał samochód i wysiadł. Gnappi syn, który wciąż siedział za kierownicą traktora, odwrócił twarz w drugą stronę w geście pogardy. Barotti wszedł na mostek i spostrzegł starego Bię w czarnym płaszczu, stojącego nieruchomo na deszczu pośrodku wielkiego opustoszałego podwórza. Kiedy doktor Barotti znalazł się na mostku, czarny płaszcz starego poruszył się i wyjrzał spod niego malec. Togo, który leżał, podniósł się. Barotti po chwili wahania ruszył zdecydowanie w stronę starego.

Bia rozpiął płaszcz.

- Po stu latach Gnappi opuszczają Posę - powiedział.

- Przyszli jak ludzie honoru i odchodzą jak ludzie honoru, z podniesionym czołem.

Spod płaszcza wyciągnął prawą rękę, która w połowie drogi spotkała się z ręką Barottiego.

Uścisk był mocny, długi, chłopski.

Kiedy prawa ręka starego wróciła z powrotem do płaszcza, pojawiła się lewa, ściskająca za łapki dwa duże kapłony.

- Każdemu, co się należy, każdemu jego przeznaczenie - powiedział podając je Barottiemu.

Barotti stał jak słup z dwoma kapłonami w ręku, a stary Bia ruszył powoli z dzieckiem i psem w stronę mostku.

Kiedy do niego doszedł, odwrócił się i szerokim, uroczystym gestem zdjął kapelusz.

Szerokim i uroczystym gestem zdjął swój kapelusz również Barotti. Bia nasadził kapelusz z powrotem, zrobił w tył zwrot i wszedł na wóz.

Traktor zapyrkotał, ruszył i odjechał. Wszystko teraz było opuszczone i puste: droga i wielkie podwórze.

A na samym środku wielkiego opuszczonego i opustoszałego podwórza stał wciąż doktor Barotti nieruchomo jak głaz, z kapeluszem w prawej ręce i kapłonami z daniny w lewej.

I nie wiedział, czy słyszał odgłos oddalającego się traktora, czy bicie własnego serca.

Bo coś bardzo stukotało.



Wspominając starą wiejską nauczycielkę

- Wydaje się, że tego roku dyrektor ma ochotę zrobić uroczystość w wielkim stylu z powodu roślin - wyjaśnił Chudy.

- Jakich roślin? - spytał Peppone, siedząc za biurkiem w swoim gabinecie i podpisując papiery.

- Szkolnych roślin - burknął Chudy. - No, święto roślin.

- Na rośliny szkolne mówi się drzewka - sprecyzował Peppone. - Więc święto roślin to święto drzewek.

- Rośliny czy drzewa, tutaj chodzi o to, że jutro rano zwali się do wsi pełno miejskich nudziarzy: inspektor, zastępca prefekta i tak dalej.

Peppone przestał podpisywać.

- Może sobie nawet papież przyjeżdżać, ja i tak się nie ruszę - stwierdził zdecydowanie.

- Nie mam czasu do marnowania na takie głupstwa.

Chudy wzruszył ramionami.

- Szefie, według mnie rośliny to nie głupstwa.

- Rośliny nie, ale władze miejskie tak - zawyrokował Peppone. - Potrafimy zasadzić drzewa, nawet jeżeli nie zjadą ci z miasta, żeby nas tego uczyć. Władze ruszają się ze swoich stołków tylko wtedy, gdy trzeba posłuchać śpiewu dzieciaków ze szkoły albo kiedy jest jakaś wstęga do przecięcia na otwarcie czegoś, co już zostało zrobione. Ale z pewnością nie ruszą się, jakby były jakieś kłopoty. Do diabła z nimi.

Chudy starał się jeszcze nakłonić Peppona do logicznego rozumowania.

- Szefie, w porządku, wszystko to nędznicy, od inspektora po woźnego. Ale ty jako wójt masz obowiązek ...

- Jako wójt mam obowiązek myśleć o poważniejszych sprawach! - krzyknął Peppone, kopiąc w biurko.

Więc Chudy czmychnął i dobrze się pilnował, by nie wracać do tematu, dzięki czemu tego wieczora Peppone poszedł spać, zapomniawszy zupełnie o drzewkach, uroczystościach i władzach.

Następnego ranka przypomnieli mu o nich Szary i Ostry.

- Zjeżdżają się władze, we wsi panuje nastrój oczekiwania, a droga prowadząca do szkoły jest zapchana ludźmi. Pospiesz się, wiele stracisz, jeśli się spóźnisz.

Peppone - wójt musiał się ubrać, ogolić, posłać do szewca po odbiór nowych butów i od razu stracił cierpliwość. Narobił piekielnego zamieszania bluźniąc i wrzeszcząc, że aż dachówki podskakiwały, i gdyby Szary i Ostry mu nie pomogli, nigdy w życiu nie zdołałby się wyszykować tak, żeby się móc ludziom pokazać.

Dzięki Bogu w końcu mógł wyjść z domu, ale już wszystkie władze przyjechały i tłum na szkolnym podwórzu był tak zbity, że aby się tam dostać musiał przemienić się z wójta w czołg.

Władze stały już na podium przystrojonym na biało-czerwono-zielono i Peppone, który zobaczył, że dyrektor wyciągnął plik kartek i szykował się do wygłoszenia przemówienia, ogarnęło przerażenie; będzie zgubiony, jeśli nie zdoła dostać się na podium, zanim ten pacan zacznie mówić.

Nie dał rady, dyrektor z miejsca otworzył kram i Peppone, który swoim przepychaniem się wywołał wiele wściekłych syków, zatrzymał się pełen złości. Dyrektor mówił doskonale; należał do tych fenomenalnych mówców, którzy potrafią wyrzucić z siebie pół miliona pięknych słówek, nic nie powiedziawszy. Tacy najbardziej podobają się tłumowi, bo ludzie słuchają ich jak śpiewaków i wcale się nie trudzą, żeby śledzić wątek.

Peppone słuchał z otwartymi ustami, kiedy ktoś z tyłu szepnął mu do ucha:

- Wspaniale, pierwszy obywatel, a przychodzi ostatni. Peppone nawet się nie odwrócił.

- Jeśli już, to przedostatni - mruknął półgębkiem. - Zdaje się, że jest ktoś, kto przyszedł po wójcie.

- Przyszedłem przed wszystkimi - wyjaśnił don Camillo.

- Stałem tutaj, bo wolałem nie siedzieć na podium dla władz razem z niektórymi osobnikami. W każdym razie zapamiętaj sobie, że wystawiłeś wieś na pośmiewisko. Najwyższe władze powiatowe zaszczycają gminę, biorąc udział w tym święcie, a tu nie ma ani śladu wójta czy jego zastępcy, żeby ich powitać.

Peppone zdjął kapelusz i otarł pot.

- Zajmijcie się swoimi sprawami! - powiedział przez zaciśnięte zęby. - Bo o swoje to ja sam dbam.

- To są również moje sprawy, bo ja też należę do tej społeczności - odparł don Camillo.

- Księża nie mają ojczyzny! - odparował Peppone.

Don Camillo stał za nim i w pierwszym odruchu chciał mu dać kopniaka. Ale zrezygnował z przyczyn oczywistych, a przede wszystkim z braku miejsca. Z boków napierał na niego tłum, z przodu blokowały go plecy Peppone, a z tyłu siatka otaczająca rozległy ogród

szkolny.

Tymczasem dyrektor wciąż przemawiał, ale już zbliżał się do końca i kiedy był przy ostatniej kartce, podniósł wzrok w stronę don Camilla, spostrzegł Peppona, uśmiechnął się i włączył do przemówienia następujące słowa:

- A teraz chciałbym podziękować władzom, co czynię niniejszym w imieniu grona nauczycielskiego. A w imieniu obywateli uczyni to ze swej strony wójt. Mówca wskazał zachęcającym gestem na Peppona i ten poczuł na sobie natychmiast miliard oczu.

Potem usłyszał ostatni popis dyrektora i brawa, którymi go nagrodzono. Potem nie słyszał już nic. A to dlatego, że wszyscy wstrzymali oddech i czekali, aż wójt zabierze głos.

Wszyscy, oprócz tych z czerwonej bandy, oczekiwali z dziką radością, że Peppone zacznie pleść te same co zawsze androny, z których będą mogli się naśmiewać przez dwa lub trzy miesiące w kafejce albo w domu.

Peppone pocił się, był strasznie wzburzony i nie mógł otworzyć ust.

- Proszę! - powiedział do niego z podium dyrektor uśmiechając się. - Prosimy do mikrofonu, panie wójt. Proszę uprzejmie zrobić przejście.

Nie można było dłużej zwlekać.

- Dziękuję - odparł Peppone. - Lepsiejsze będzie powiadać stąd ... Reakjoniści podskoczyli z radości; "lepiej" i "powiadać", sprawa zapowiadała się bardzo obiecująco.

Był zimny listopadowy poranek, lekka mgiełka napełniała płuca jak roztopiony lód; don Camillo podciągnął kołnierz pod same oczy i skulił się pod ciepłym czarnym okryciem.

"Możemy mówić znacznie lepiej stojąc tutaj" - powiedział płaszcz don Camilla.

- Możemy mówić znacznie lepiej stojąc tutaj - powtórzył Peppone.

"Bo tu chcieliśmy pozostać" - podpowiedział płaszcz don Camilla.

- Bo tu chcieliśmy pozostać - powtórzył Peppone.

"Żeby poczuć się jak kiedyś, jak jedno z tych dzieci stojących wokół nas" - podpowiedział płaszcz don Camilla.

- Żeby poczuć się jak kiedyś, jak jedno z tych dzieci stojących wokół nas - powtórzył dokładnie Peppone.

"Na tym samym podwórzu braliśmy udział w sympatycznym zwyczaju sadzenia drzewek, a niebo i wieś były takie same jak zazwyczaj, ale w powietrzu unosiło się coś jakby bajkowego." Peppone był wspaniały, powtórzył słowo w słowo długą tyradę, a płaszcz don Camilla podpowiadał dalej:

"I była z nami nasza stara nauczycielka."

Peppone zawahał się przez chwilę, a potem zdjął kapelusz i powiedział zmienionym głosem:

- i była z nami nasza stara nauczycielka.

"A dzisiaj, po tylu latach - podpowiedział płaszcz - to niezwykle wrażenie znów

powraca”

Ale Peppone nie połknął haczyka, lecz powiedział:

- Nasza stara nauczycielka była z nami tamtego poranka. Stara Signora Giuseppina, której nikt z nas nie znał jako młodej, bo może nigdy nie była młoda. Stara Signora Giuseppina, która umarła, ale która wciąż żyje, bo nie może umrzeć, i która jest tutaj teraz; czuję, że stoi tam, w głębi, za tymi uczniakami zgromadzonymi klasa przy klasie ze swoimi nauczycielkami.

Signora Giuseppina też tam jest, w tym samym co zwykle czarnym ubraniu, w tym samym jak zawsze czarnym kapelusiku na czubku siwej głowy. Z tym samym co zwykle grymasem; i od czasu do czasu jej mała i szczupła ręka przecina powietrze, żeby któraś zakuta pała mogła poczuć zapach starych kości.

Ludzie nie śmiali się. A Peppone mówił dalej:

- Bo Signora Giuseppina też jest tutaj, ona także, i jak wszystkie inne nauczycielki ma wokół siebie swoich uczniów. Nie brakuje ani jednego. Są tutaj wszyscy: Diego Perini, zgnieciony przez wóz w wieku lat ośmiu, Angelico Tedai, zmarły na tyfus w wieku sześciu lat, Tonino Delbosco, który zginął na wojnie mając dwadzieścia dwa lata, Mario Clementi, Giorgino Scamocci, Dante Fretti, Girolamo Anselmi, Giuseppe Rolli, Alvaro Facini... Są wszyscy, nikogo nie brak i wszyscy cisną się wokół Signory Giuseppiny. i wszyscy, również ci, którzy zmarli przed czterdziestu, czterdziestu pięciu laty wciąż mają chłopięce twarze. Są tacy sami jak wtedy, gdy byli uczniakami; Signora Giuseppina zabrała ich do siebie jednego po drugim i teraz, wpoiwszy im prawidła gramatyki, wpaja im prawidła wieczności.

Takie ma dla mnie znaczenie święto dzisiejszego poranka i drzewka, które teraz wy, dzieci, zasadzicie w ziemi, są jak łącznik między śmiercią a życiem, między życiem, które jest tu na górze, a śmiercią, która jest tam pod spodem. I choć przyszłość drzewa i jego rozwój są ponad ziemią, to korzenie są pod ziemią. A to znaczy, że przyszłość karmi się przeszłością. Biada temu, kto nie pielęgnuje wspomnień z przeszłości; tacy ludzie nie sieją do ziemi, ale w cement...

Peppone otarł pot i rzekł opanowanym głosem:

- Dzieci, mówię do was, młodych drzew, którzy zasilacie nowymi gałęziami las życia, i mówię wam, nie jako obecny wójt, ale jako dawny uczeń: Ja wiem, że moja stara nauczycielka jest tutaj razem ze wszystkimi uczniami, wiem to z całą pewnością i mógłbym ją zobaczyć, gdybym tylko odwrócił głowę w pewną stronę. Ale nie mam odwagi tam spojrzeć, bo byłem najgorszym w świecie uczniem. Nie mam odwagi spojrzeć w twarz mojej starej nauczycielce. Uważajcie, żebyście pewnego smutnego dnia nie znaleźli się w mojej sytuacji ...

Będę żył tyle, ile zechce przeznaczenie, a kiedy umrę, stawię się przed moją starą nauczycielką, jak stawili się inni. I boję się, że już mnie nie zechce do swojej klasy. Boję się, że mi powie, jak wtedy, kiedy popełniłem najgorsze ze wszystkich łotrstw: "Precz stąd, nicponiu!"

Peppone skończył przemówienie wzruszonym głosem, ze schyloną głową, obracając w

dłoniach kapelusza, a ludzie stali przez chwilę oniemiały. Potem zerwały się szaleńcze oklaski.

Peppone nie mógł tam dłużej wytrzymać i prześliznął się między ogrodzeniem a ludźmi. Za furtką wchłonęła go mgła.

Na pierwszej krzyżówce zszedł z głównej drogi i nic go nie obchodziły nowe buty ani strój wójta. Szedł wolno, z opuszczoną głową, chciał dotrzeć do małej dróżki na grobli, która zaprowadziłaby go naokoło wsi do domu. Słyszał, jak dogania go don Camillo i zrównuje się z nim, ale nie powiedział ani słowa. Don Camillo też się nie odzywał.

Doszli do grobli i wydawało się, że są jeszcze bardziej zagubieni, bo grobla tonęła we mgle i widać było tylko wstążkę drogi, jakby zawieszoną w powietrzu. Posuwali się powoli, z opuszczonymi głowami, w głębokim milczeniu, aż nagle don Camillo usłyszał za plecami wzruszony głos:

"Camillo, mówiłam ci tysiąc razy, że nie wolno podpowiadać temu, kto jest pytany. Osioł jesteś. Osioł, a ten nieszczęśnik, twój ojciec, chce cię posłać do seminarium. Seminarium! Już lepiej, żeby cię posłał na służbę".

Don Camillo przełknął to gładko, bo gdyby się odwrócił i odpowiedział, Peppone z pewnością wzięłby go za wariata. Teraz głos zwrócił się do Peppona:

"Ty nicponiu! Nicponiu! Widzisz, jak skończyłeś! Szef wiejskich nicponi. Szef bezbożników, szef anarchistów ... " - Ja - zająknął się Peppone.

Ale głos go usadził:

"Milcz! I uważaj, żebyś się dobrze sprawował, jeżeli nie chcesz, żebym cię wyrzuciła, tak jak wtedy, kiedy zjawiłeś się w klasie. Jeżeli zaś chodzi o lekcję, którą wyrecytowałeś dzisiaj rano ... Hmm, dam ci dostatecznie."

- To niesprawiedliwość! - szepnął Peppone.

"Trójka z minusem! A jeżeli protestujesz, to daję ci dwójkę. Jeśli zaś idzie o tego osła, który ci podpowiadał, to stawiam mu czwórke."

Głos zamilkł i obaj mężczyźni nie odzywając się maszerowali dalej we mgle.

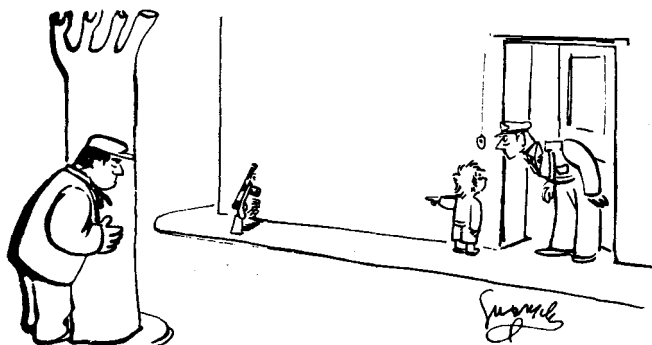
Potem nagle stanęli, spojrzeli po sobie i jakby na zamówienie, odwrócili się.

No jasne: Signora Giuseppina stała tam w głębi, na grobli, nieruchomo, a wokół niej skupili się wszyscy zmarli uczniowie.

Podniosła rękę i pogroziła w powietrzu wskazującym palcem. Don Camillo i Peppone odwrócili się gwałtownie i prawie że biegiem zawrócili w swoją stronę.

Don Camillo maszerował, szepcząc pospiesznie pacierze, a Peppone od czasu do czasu odpowiadał "Amen".

Co za wariacka wieś!



Togo

Zdarzył się jeden z tych faktów, które zazwyczaj lądują na kolorowej stronie w "Domenica del Corriere". Tymczasem żadna z gazet nawet o tym nie wspomniała, a to z powodu pewnych komplikacji, które skłoniły ludzi ze wsi do udawania, że nic nie widzieli i nic nie słyszeli.

Było sylwestrowe popołudnie i we wszystkich domach pracowicie przygotowywano się do kolacji o północy i pożegnania starego roku.

Ten, kto nie siedział w domu, krążył po wsi biegając od sklepiku do sklepiku albo szwendał się pod podcieniami.

Chłopcy byli podnieceni od samego rana i skracali sobie oczekiwanie na finałową strzelaninę, poświęcając kilka petard i rac.

Po podwórzu Rosiego ganiało z pół batalionu chłopaków i mimo krzyków dorosłych strzelano, jak wszędzie naokoło. Kiedy jednak nadeszła pora wyprowadzania bydła z obory do pojenia, stary Rosi stanął na środku podwórza i ostrzegł, że jeżeli tylko usłyszy choćby jeden wystrzał, to zleje pasem całą bandę.

Chłopcy przestali hałasować i bydło mogło spokojnie pić. Ale kiedy nadeszła kolej Togo, przekłeta kręcąca się petarda wystrzeliła zza zagrody i przeleciawszy ze świstem przez podwórze, wybuchła na jego pysku.

Togo był olbrzymim bykiem, swoistego rodzaju czołgiem z mięsa, i strach brał od samego patrzenia na niego.

Kiedy to diabelstwo wybuchło mu na pysku, dostał szału. Jednym skokiem uwolnił się od pastucha i rozwaliwszy grubą drewnianą belkę umieszczoną między słupami zadaszania, w mgnieniu oka znalazł się na drodze.

Można powiedzieć, że obejście Rosich znajdowało się na terenie wsi i po pięćdziesięciu metrach droga trafiała między domy, a po stu dochodziła do placu.

Więc kiedy Rosi ochłonawszy po nieoczekiwanym zdarzeniu, wyruszyli w pogoń za Togo, byk jak grom wpadał właśnie na plac.

To była kwestia kilku sekund i niełatwo to wytłumaczyć: faktem jest, że Togo miał już

wyładować swoją furię na grupce nieszczęsnych kobiet uwięzionych między ścianą a dwoma dużymi autokarami stojącymi na postoju, kiedy Bóg wie skąd wyskoczył sierżant karabinierów i zagroził mu drogę.

Sierżant wystrzelił i zadrasnął go, co jeszcze bardziej rozwścieczyło zwierzę.

Dla sierżanta i kobiet złapanych w pułapkę między autokarami oznaczało to koniec.

Tylko seria z karabinu maszynowego, która roztrzaskałaby mózg Togo, mogłaby zatrzymać tragiczny bieg rozszalałego byka.

I seria z karabinu maszynowego przysłała w samą porę.

Nie wiadomo, z której strony, w każdym razie wystrzeliła i bestia padła dokładnie u stóp sierżanta.

Sierżant schował pistolet do kabury, zdjął czapkę, otarł lodowate czoło mokre od potu i stał wpatrując się w martwe cielsko ogromnego zwierza.

Ludzie zgromadzeni wokół niego narobili piekielnego zgiełku, kobiety wrzeszczały, jakby Togo nadal im zagrażał, ale sierżant słyszał tylko trzask karabinu.

Broń wyrzuciła swój błyskawiczny ładunek i zamilkła, ale sierżantowi wciąż jeszcze grała. Był pewien, że gdyby odwrócił się i podniósł wzrok, to z łatwością mógłby ustalić, z którego okna strzelał karabin.

I właśnie dlatego sierżant się pocił. Nie dlatego, że przestraszył się niebezpieczeństwa, ale dlatego, że czuł, że musi się odwrócić, lecz nie miał odwagi.

I nie odwrócił się.

A właściwie nawet nie mógłby się odwrócić, bo poczuł, że chwyta go jakiś podniecony ogromny człowiek, którym okazał się don Camillo.

- Brawo, sierżancie! - wrzasnął. - Wszyscy ci ludzie zawdzięczają panu życie!

- Był pan naprawdę dzielny i odważny! - zaskrzeczała jakaś zdziecinniała staruszka. - Ale gdyby nie było tego, co wystrzelił z...

Chciała powiedzieć, "tego, który wystrzelił z karabinu maszynowego", ale nie zdążyła, bo ktoś dał jej takiego szturchańca, że straciła wątek. I od razu pochłonął ją tłum.

- Brawo, sierżancie! - krzyčeli ludzie. - Brawo!

Don Camillo wrócił na plebanię i czekał cierpliwie, aż zjawi się sierżant.

I rzeczywiście, przyszedł po niecałej godzinie.

- Proszę księdza - powiedział - ksiądz jest jedyną osobą, z którą mogę pomówić zupełnie otwarcie. Czy zechce mnie ksiądz wysłuchać?

- Po to tu jestem - odpowiedział don Camillo, sadzając gościa przed kominkiem.

- Proszę księdza - zaczął sierżant po chwili milczenia - widział ksiądz, jak to się wszystko stało?

- Tak, wychodziłem właśnie z trafiki, gdzie kupowałem znaczki. Widziałem wszystko doskonale. Widziałem, jak rzucił się pan na zwierza, wystrzelił i położył go trupem.

Sierżant uśmiechając się pokręcił głową.

- Ksiądz widział, jak strzelam do byka z pistoletu, a kładę go trupem serią z karabinu? Don Camillo rozłożył ręce.

- Sierżancie, nie jestem ekspertem od broni i balistyki; wiem jedynie, że trzymał pan w ręku broń palną i nie mógłbym wcale stwierdzić, choć byłem naocznym świadkiem, o jaką to broń chodziło.

- Rozumiem - mruknął sierżant. - Więc chce ksiądz przez to powiedzieć, że nie potrafi odróżnić wystrzału z pistoletu od serii z karabinu!

- W seminarium nie uczą takich rzeczy.

- Ale uczą tego w szkole policyjnej - stwierdził sierżant. - Dlatego nie mogę nie wiedzieć, że to zwierzę, do którego strzelałem z pistoletu, padło trafione serią z karabinu maszynowego.

- Sierżancie, jeżeli pan tak twierdzi, to ja nie mogę mieć zastrzeżeń. To nie moja dziedzina. W każdym razie najważniejsze, że byk padł, zanim wypruł flaki z pana i z tych biedaczek, które stały za panem. Nie wydaje mi się, żeby to było zdarzenie, dla którego warto rozpoczynać rozważania o podłożu balistycznym.

Sierżant westchnął.

- Proszę księdza, ta seria z karabinu uratowała życie mnie i wielu innym osobom, to bezsprzeczne. Ale jest również bezsprzeczne i to, że seria z karabinu może pochodzić tylko z karabinu.

Don Camillo wzruszył ramionami.

- Sierżancie, jak już panu tłumaczyłem, nie jestem znawcą w sprawach broni palnej, ale jeżeli wolno mi wyrazić moją opinię, powiedziałbym, że to, co pan określa "serią z karabinu maszynowego", mogłoby zostać wystrzelone na przykład ze strzelby myśliwskiej naładowanej grubym śrutem. Nie rozumiem, dlaczego pańscy przełożeni mieliby uważać za coś podejrzanego, że rozjuszony byk został zabity ze strzelby naładowanej śrutem.

- Gdyby to tylko chodziło o wyjaśnienie całej sprawy moim przełożonym, wersja ze śrutem pewnie nawet by przeszła - odpowiedział sierżant. - Ale jak ją sobie sam wytłumaczę? Widzi ksiądz, karabinier nigdy nie jest sam, ma zawsze tu w środku drugiego stróża porządku.

Sierżant walnął się w pierś, a don Camillo uśmiechnął się: - A gdyby pan umarł, to gdzieżby się podział ten karabinier, co go ma pan w środku?

- On też by umarł. Ale na razie żyję i ten, którego mam tutaj w środku, mówi mi: "Jest ktoś we wsi, kto posiada karabin maszynowy w doskonałym stanie. To wykroczenie przeciwko prawu, przystąp do działania!"

Don Camillo zapalił połówkę toskańskiego i zaciągnął się parę razy.

- Sierżancie, nie ma co bawić się dalej w ciuciubabkę. Proszę mówić jasno. Jeżeli ma pan jakieś podejrzenia wobec mnie, proszę rozpocząć dochodzenie. Jestem tutaj do dyspozycji pana i pańskiego wewnętrznego karabiniera.

- Proszę księdza, nie żartujmy: ja doskonale wiem, kto puścił tę serię. I ksiądz też wie. A nawet lepiej ode mnie, bo ksiądz go widział.

Don Camillo spojrzał sierżantowi w oczy.

- Pomylił pan adres! - zawołał twardym głosem. - Po tego rodzaju informacje niech się pan zgłasza wszędzie, tylko nie tutaj. A jak się panu nie podoba, to proszę donieść na mnie, że zatajam prawdę. Ja tu w środku nie mam stróża karabiniera, tylko mam sumienie, które może wiele nauczyć pana i pańskiego karabiniera.

- Nigdy nie będzie mogło mnie nauczyć, że zwykły obywatel, który jest poza wszystkim lokalnym szefem zwolenników rewolucji i sprawiedliwości ludowej, może posiadać karabin maszynowy! - krzyknął karabinier.

- Ja nie chcę nic wiedzieć ani o lokalnych szefach, ani o rewolucjach - odparł don Camillo. - Ja chcę pana tylko powiadomić, że moim zajęciem nie jest szpiegostwo. I jeżeli oczekuje pan ode mnie donosu, to może pan sobie iść.

Sierżant pokręcił głową.

- Chciałem się tylko od księdza dowiedzieć, w jaki sposób uczciwy człowiek może złożyć donos na kogoś, kto uratował życie jemu i jeszcze paru innym osobom. I chciałem również wiedzieć, w jaki sposób uczciwy człowiek może nie donieść na właściciela broni, stanowiącej poważne zagrożenie dla gminy.

Gniew don Camilla nieco zelżał. - Sierżancie, niebezpieczeństwo stanowi nie właściciel broni, ale ona sama. Trzeba zdać sobie sprawę, że jeżeli chodzi o tak zwany karabin maszynowy, to jest w tym wiele przesady ze względów politycznych. Karabin to broń przerażająco zabójcza, ale nie jest powiedziane, że każdy, kto go posiada, jest przestępcą i zagrożeniem dla społeczeństwa. Bardziej niebezpiecznym dla ludzi może być posiadanie przez kogoś gwoźdza albo noża kuchennego. W końcu dla tego, kto walczył, broń staje się drogą pamiątką, bo przypomina o chwalebnej przeszłości, ciężkich dniach poświęceń, wiary i nadziei...

- Rozumiem - przerwał sierżant. - Souvenir, dobrze naoliwiony drobiażdżek, z którego jedną serią można powalić największego byka w okolicy ...

- I uratować w ten sposób od śmierci sierżanta i wielu obywateli - dodał don Camillo.

Sierżant podniósł się.

- Proszę księdza! - zawołał. - Mogę szukać właściciela i być może mogę go nie znaleźć. Ale za wszelką cenę muszę znaleźć karabin.

Don Camillo również wstał.

- Znajdzie pan karabin. Zobowiązuje się przynieść go panu.

Jak tylko sierżant wyszedł, don Camillo pomknął do domu Peppona.

- To ty zabiłeś byka; bardzoś dzielny. Ale teraz dawaj karabin. Peppone spojrzał na niego zdumiony.

- Oszalał ksiądz?

- Peppone, sierżant wie, że to ty strzelałeś. Nawet jeżeli uratowałeś mu życie, to jego obowiązkiem jest złożyć na ciebie doniesienie z powodu przechowywania broni z czasu wojny, co jest zabronione przez prawo ...

- Sierżant jest głupi - zaśmiał się Peppone. - On nic nie wie z tej prostej przyczyny, że nie posiadam karabinu i ani mi się śniło strzelać do byków. - Peppone, przestań sobie żartować, to ty strzelałeś. Sam widziałem na własne oczy.

- Więc niech ksiądz idzie wygadywać to sierżantowi. Po co mi ksiądz to opowiada?

- Ja nie jestem kapusiem, tylko sługą Bożym, a Bóg nie musi być informowany o tym, co się dzieje tu czy gdzie indziej.

Peppone potrząsnął głową.

- Ksiądz jest na służbie Watykanu i Ameryki i dlatego za wszelką cenę chce ksiądz wykiwać przyzwoitego człowieka.

Don Camillo postanowił nie ulegać podobnym prowokacjom, więc nie zareagował.

Starł się natomiast wytłumaczyć Pepponowi niezręczną sytuację, w jakiej się znalazł sierżant i włożył w to całe serce. Prosił, błagał, jeszcze raz błagał.

Ale Peppone odparł mu z szyderczym uśmiechem:

- Nie mam pojęcia, do czego ksiądz pije. Ja nic nie wiem ani na temat karabinu, ani byków, ani sierżantów. Niech ksiądz popróbuje gdzie indziej. Może się księdzu uda coś załatwić. Trzeba spróbować u proboszcza, jak się go przydusi, to na pewno jakiś karabin się znajdzie.

Don Camillo opuścił dom Peppona kompletnie przygnębiony. - Nie będzie mi przykro, jeżeli złożą na ciebie donos - powiedział Pepponowi przed wyjściem. - Zasługujesz na to, bo jesteś przeklęty. Ale przykro mi z powodu sierżanta, który czuje się zmuszony odplacić donosem komuś, kto uratował mu życie, a przez to jego dzieci wybawił od głodu.

- Niech ksiądz będzie spokojny - zaśmiał się szyderczo Peppone - gdybym miał karabin maszynowy, jak ksiądz twierdzi, to nie strzelałbym do byka, tylko do sierżanta.

Don Camillo wróciwszy do domu nie mógł się uspokoić, chodził tam i z powrotem po zimnej sieni plebanii.

W końcu podjął decyzję i wbiegł na górę po schodach. Duży zakurzony strych pogrążony był całkowicie w mroku, ale don Camillo wcale nie potrzebował światła, żeby znaleźć to, czego szukał.

Rzeczywiście, bardzo szybko znalazł przewód kominowy biegnący do szczytu dachu. I namacał znaną mu cegłę; jak się ją pchnęło z prawej strony, to wysuwała się lewa część. Wyjął cegłę i zagłębił rękę w dziurze, macał, póki nie znalazł palcami gwoździa. Do gwoździa przyczepiony był drut. Odwiązał go i zaczął ciągnąć, pomagając sobie drugą ręką.

Przestał ciągnąć, kiedy skończył się drut, a zaczęła się długa wąska skrzynka.

Po wyciągnięciu skrzynki i wyjęciu z niej zawartości, zamknął się w swoim pokoju, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku.

Potem owinął się płaszczem i wyszedł.

Przełaził przez żywopłot warzywnika i poszedł polną drogą. Po dotarciu do zarośli przy Canaletto zaczekał, aż wybije północ.

I kiedy z wybiciem północy ludzie zaczęli wszędzie po trochu strzelać na zakończenie starego roku, wystrzelił również i on, kilka razy w odstępach paru sekund.

Potem pomaszerował na posterunek karabinierów.

Sierżant był jeszcze na nogach i don Camillo, zjawiwszy się przed nim, powiedział:

- Oto, co pan nazywa karabinem maszynowym. Niech mnie pan nie pyta, skąd pochodzi i kto mi go dał.

- O nic nie pytam - odpowiedział sierżant. - Ograniczam się do podziękowania za pomoc. Szczęśliwego Nowego Roku.

- Szczęśliwego Nowego Roku dla pana i pańskiego wewnętrznego karabiniera - mruknął don Camillo, zawijając się w płaszcz i wychodząc.

Ale nie minęło dziesięć minut, a tu dzwonek do drzwi zadźwięczał ponownie.

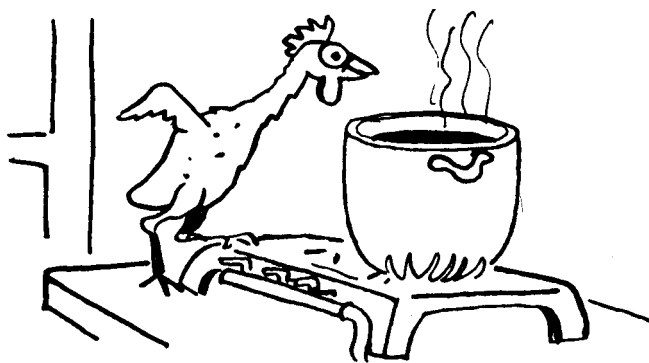
Sierżant osobiście poszedł otworzyć, a wtedy do środka wpadło coś masywnego i ciężkiego, co musiało stać oparte o drzwi.

Sierżant podniósł to i zobaczył karteczkę przymocowaną drutem. Ktoś przykleił litery powycinane z nagłówków w gazetach:

"Karabin maszynowy winny uratowania życia sierżantowi" . "Pokaż mi swoje pismo, a powiem ci kim jesteś" - zaśmiał się w duchu sierżant.

Potem położył narzędzie obok tamtego, które przyniósł przed chwilą don Camillo, rozłożył ręce i, wbrew temu, co mógłby uważać zdechły Togo, wykrzyknął:

- Zbytek łaski, o święty Antoni opacie!



Na stojąco i na siedząco

Don Camillo miał nader imponujący program na uroczystości związane z nadchodzącym Nowym Rokiem.

Program zaiste imponujący, choć wielce prosty w zamyśle, jako że streszczał się w kilku słowach: "Na Nowy Rok każdemu biedakowi po kurczaku do garnka".

Tak więc don Camillo z rozwagą wziął się do dzieła, to znaczy rozpoczął zbiórkę kurczaków dobre dwa tygodnie przed końcem roku.

Odwiedził każde podwórze; każdy właściciel, każdy dzierżawców, każdy połownik z parafii słuchał jego słów z wielką uwagą i żaden nie omieszkiał na koniec pochwalić szlachetnej inicjatywy proboszcza.

Na nieszczęście w wielu zagrodach zaraza zdziesiątkowała kury, w innych obciążenia związane ze zwyczajową daniną w naturze na Boże Narodzenie wytrzebiły do szczętu całe ptactwo, a jeszcze gdzie indziej resztę drobiu, jaka została, już sprzedano.

Rezultat tego był taki, że 30 grudnia don Camillo z trudem zebrał sześć kurczaków i ten najbardziej mięsisty przypominał Chudego przebranego za kurę. A don Camillo potrzebował przynajmniej trzydziestu.

Poszedł więc podzielić się swoimi troskami z Chrystusem z głównego ołtarza.

- Jezu - powiedział - czy jest możliwe takie samolubstwo?

Czym jest jeden kurczak dla kogoś, kto ma ich wiele? - Kurczakiem - odpowiedział smutno Chrystus. Don Camillo rozłożył ręce.

- Jezu - zawołał dotknięty - czy to możliwe, żeby ludzie nie czuli piękna maleńkiego poświęcenia, które może przynieść tak wielką radość?

- Don Camillo, dla zbyt wielu ludzi każde poświęcenie jest zawsze ogromne, zbyt wielu interesuje tylko własna wygoda. I dla takich nieoddanie tego, co im zbywa, też jest wygodą.

Don Camillo stracił panowanie nad sobą.

- Jezu - powiedział przez zaciśnięte zęby - jeżeli tak dobrze znasz tych ludzi, to dlaczego nie potraktujesz ich tak, jak na to zasługują? Dlaczego nie ześlesz strasznego mrozu, który zwarzy im zboże na polach?

- Chleb jest dla wszystkich, a nie tylko dla tego, kto siew ziarno. Ziemia rodzi dla wszystkich ludzi, a nie tylko dla tych, którzy ją posiadają. Błóżniesz, don Camillo, kiedy prosisz swojego Boga, żeby zniszczył kiełkujące zboże. Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj - o to sprawiedliwi ludzie mają prosić Boga.

Don Camillo zwiesił głowę.

- Wybacz mi - szepnął. - Chciałem tylko powiedzieć, że ci egoiści nie zasługują na to, żeby posiadać ziemię i nią rozporządzać.

- Jeżeli zamiast zboża siew kamienie, to nie zasługują. Ale oni otrzymują z ziemi to, co powinna rodzić, więc jest rzeczą naturalną, że to oni ją posiadają i że to oni nią zarządzają.

Don Camillo stracił cierpliwość.

Jezu - zaprotestował - to znaczy, że bronisz interesów obszarników.

Nie - odparł uśmiechając się Chrystus - ja bronię interesów ziemi. Na pewnej wysepce żyła mała gromadka ubogich ludzi, a wśród nich dwóch lekarzy. Jeden hojny i miłosierny. Drugi skąpy i samolubny. Ten pierwszy zadowalał się znikomą ilością towarów w zamian za leczenie chorych. Drugi zaś wymagał wygórowanej zapłaty. Lekarz dobry i miłosierny był na nieszczęście najgorszym z lekarzy, gdy tymczasem ten egoista i skąpiec znał się na swoim fachu. I wszyscy chorzy oddawali się pod opiekę lekarza egoisty, a nikt nie prosił o leczenie lekarza dobrego i miłosiernego. Czy to było słuszne, don Camillo?

Don Camillo wzruszył ramionami.

- Jezu - odpowiedział - to, że chorzy idą do lekarza, który ich wyleczy, a nie do tego, który przyprawi ich o śmierć, jest naturalne. Natomiast nie jest sprawiedliwe to, że człowiek miłosierny cierpi biedę, a egoista się bogaci.

- No właśnie, don Camillo, nie jest sprawiedliwe, ale jest naturalne. Jest naturalne, że ludzie wynagradzają lepszemu lekarzowi. I jest sprawiedliwe, że Bóg karze lekarza egoistę, który w swoim życiu niegodnie wykorzystywał dar Boży.

Don Camillo pokręcił wielką głową. - Jezu - odparł - ja ...

- Ty, gdybyś był wśród mieszkańców tej zagubionej wysepki, prosiłbyś Boga, żeby poraził gromem świętego lekarza, ale egoistę, natomiast lekarzowi miłosiernemu, lecz nie znającemu się na swojej sztuce, żeby dał długi żywot?

- Nie - rzekł don Camillo. - Ja prosiłbym Boga, żeby dobry lekarz, ale egoista, stał się miłosierny, natomiast miłosierny, ale słaby, żeby stał się dobrym lekarzem.

- Czy rolnik - powiedział uśmiechając się Chrystus - nie jest więc lekarzem, któremu zostały powierzone zdrowie i pomyślność ziemi?

- Jezu! - wykrzyknął don Camillo. - Zrozumiałem i proszę Boga o wybaczenie za moje głupie słowa. Mimo to nie potrafię nie zdręzczać się myślą, że potrzeba mi na jutro trzydziestu kurczaków, a mam tylko sześć.

- Osiem - uściślił Chrystus.

- Osiem - potwierdził don Camillo, który w zamęcie zapomniał, że ma w kurniku dwa kapłony, swoje własne. Niełatwo z dnia na dzień znaleźć dwadzieścia dwa kapłony; don Camillo wiedział o tym doskonale, bo żeby zebrać sześć, musiał męczyć się przez całe dwa tygodnie.

W każdym razie nie zamierzał zrezygnować ze swojego programu: "Na Nowy Rok każdemu biedakowi po kurczaku do garnka".

Zadręczał się, żeby znaleźć jakiegokolwiek rozwiązanie tego delikatnego problemu, kiedy przyszło mu na myśl pewne pytanie:

"Kurczak to kurczak, i w porządku. Ale co to jest bażant?" Bażant to bażant, jak już się chce być tak bardzo dokładnym. Ale czy trzeba być aż tak skrupulatnym? A nie dałoby się na przykład powiedzieć, że bażant to kurczak, który lata?

Don Camillo stwierdził, że w gruncie rzeczy program uroczystości nie zmieni się w swej treści, jeżeli hasło zamiast brzmieć:

"Na Nowy Rok każdemu biedakowi po kurczaku do garnka" zostanie uściślone: "Na Nowy Rok każdemu biedakowi po bażancie do rondla".

W tym przypadku miałyby się jedynie dwie niedogodności: brak czasu, aby "latający kurczak" odpowiednio skruszał, i brak czasu na znalezienie kogoś, kto byłby skłonny ofiarować don Camillovi dwadzieścia dwa bażanty.

Chodząc po sieni tam i z powrotem zrobił kilometry i co wymyślił po przejściu takiej drogi? Stwierdził jedynie, że hasło można jeszcze poprawić: "Na Nowy Rok każdemu biedakowi po bażancie do koszyka".

W gruncie rzeczy istotne było to, żeby każdy biedak znalazł bażanta w koszyku.

Pior, zapytany o opinię na ten temat, dał do zrozumienia, że dla niego też najważniejszą sprawą było znalezienie dwudziestu dwóch bażantów, skłonnych zająć miejsce dwudziestu dwóch nie znalezionych kurczaków.

W związku z tym Pior uznał za rzecz naturalną, że don Camillo wcisnął się w parę spodni i bajową brązową kurtkę, a na głowę nasadził cyklistówkę.

Nie pierwszy raz musiał polować w miejscach, gdzie sutanna mogłaby przeszkadzać. Ale nie uznał za naturalne, że don Camillo wychodził z domu bez dubeltówki. To się jeszcze nigdy nie zdarzyło.

Pior pomyślał o roztargnieniu, więc przywoławszy pana, który przechodził już przez furtkę do warzywnika, dał mu do zrozumienia:

"Ej, zapomniałeś strzelby!"

Don Camillo zawrócił i zobaczył, że Pior spogląda ku górze, w stronę dubeltówki, ładownicy i torby myśliwskiej, zawieszonych w jadalni na ścianie obok kredensu.

- Pior, pospiesz się! - rozkazał mu ostro don Camillo. Pior nie ruszył się i odpowiedział mu:

"Bierz strzelbę i idziemy."

Wypowiedział to szcękając, ale mimo to don Camillo doskonale zrozumiał.

- Chodź i przestań hałasować! - wykrzyknął. - Dubeltówka zostaje. Myślałby kto, że wezmę to narzędzie! Nie możemy narobić zgiełku, bo inaczej leżymy.

Potem, ponieważ Pior nie ruszał się, don Camillo pogrzebał przy pasku spodni i wyciągnął z lewej nogawki małą strzelbę z jedną lufą i pokazał ją Piorowi.

Ten popatrzył zakłopotany na to narzędzie, porównał je z dubeltówką zawieszoną na ścianie i powiedział:

"To nie jest strzelba. Strzelba jest tam."

Don Camillo dobrze znał Piora, rasowego psa, a co za tym idzie, pełnego godności.

- To też jest strzelba - wyjaśnił mu. - Mała stara strzelba, ładowana z przodu, która bije słabiutko, ale do zabicia głupiego bażanta z odległości dwóch czy trzech metrów nadaje się doskonale.

Pokazał mu, jak się ją ładuje, potem otworzył okno wychodzące na ogród i wystrzelił do pustej puszkę, którą ktoś zostawił na słupku.

Fuzyjka zrobiła "pik" i puszkę spadła ze słupka. Pior skoczył do warzywnika, sprawdził puszkę i odwrócił się.

"Ech tam - burknął - więc chodźmy polować na puszkę." Bażanty siedziały na gałęziach najniższych krzewów prawie zobojeźniałe.

Już od trzech lat Finetti przebywali za granicą i od trzech lat nikt też nie wystrzelił ani razu w całym rezerwacie. Tłuste i głupie bażanty drzemały sobie na najniższych gałęziach i nawet gdyby ktoś nie miał strzelby, mógłby równie dobrze łapać je do kapelusza.

Don Camillo miał broń i nie użył kapelusza. Każdemu "piknięciu" fuzyjki towarzyszyło pacnięcie bażanta i choć don Camillo musiał stracić mnóstwo czasu na załadowywanie, to i tak wykonał wspaniałą robotę i doszedł do dwudziestego pierwszego bażanta gładko jak po maśle.

Dwudziesty drugi okazał się tym, który sprawił mu wiele przykrości.

Właśnie wtedy Pior wyraził swoje zaniepokojenie, a to znaczyło, że coś jest nie tak i że nie chodzi o bażanty czy zające.

Ale don Camillo chciał dojść do dwudziestu dwóch "latających kurczaków", więc powiedział do Piora, żeby nie zawracał głowy i siedział cicho.

Pior niechętnie posłuchał, ale dokładnie w momencie, kiedy don Camillo wycelował do dwudziestego drugiego bażanta, nagle się poderwał. Don Camillo zrozumiał, że przeholował, ale było już za późno. Zbliżał się gajowy.

Rzucił fuzijkę w krzaki, złapał torbę z dwudziestoma i jednym bażantem i rzucił się pędem do ucieczki.

Miało się ku wieczorowi i nagle pomiędzy don Camillem a gajowym wyrosła ściana mgły. Pozwoliło to nielegalnemu myśliwemu na odsadzenie ścigającego.

Pior z najwyższą ostrożnością prowadził odwrót i kiedy znalazł dziurę w drucianej siatce, która otaczała rezerwat, stanął obok niej wskazując don Camillo drogę ratunku.

Don Camillo był niczym słoń, a ponadto musiał jeszcze ciągnąć za sobą worek z dwudziestoma i jednym bażantem ale i tak rzucił się w dziurę z precyzją i zwinnością godną bramkarza narodowej reprezentacji piłkarskiej. Gajowy ledwie zdążył nadbiec i tylko zobaczył, jak tylna straż don Camilla wyskakuje przez dziurę.

Wystrzelił w jej kierunku dublet, ale bez żadnego przekonania. Don Camillo przesadził rów i znalazł się na drodze.

Nie mógł iść ścieżką przez pola, bo po drugiej stronie ogrodzenia rezerwatu biegł wypełniony wodą Canalaccio szeroki na dwa i pół metra. Musiał z konieczności maszerować drogą i gajowemu z pewnością uda się go zidentyfikować, bo siatka biegła wzdłuż drogi przynajmniej kilometr pod górę i kilometr w dół.

- Do domu! Naprzód! - rozkazał Piorowi, który wystrzelił jak z procy i zniknął.

Biegł dalej dysząc.

"Nawet za cenę rzucenie się do wody - pomyślał w duchu - nie pozwolę, żeby mu się udało zobaczyć, kim jestem."

Na zakręcie do Santino don Camillo zauważył nadjeżdżającą pełnym gazem ciężarówkę. Skoczył na skraj drogi i zaczął wymachiwać cyklistówką.

Nie pozwolił nawet, żeby ciężarówka stanęła, wskoczył na stopień, kiedy jeszcze dość szybko jechała. Wtedy kierowca zatrzymał maszynę mocno przestraszony. Don Camillo otworzył drzwiczki i wsunął się do szoferki dysząc:

- Ruszaj, ruszaj! Szybko, na Boga!

Kierowca puścił sprzęgło i ciężarówka ruszyła, jakby dostała kopniaka. Po kilometrze szofer burknął:

- Wziąłem was za zbója. Co się stało? Skąd ten pośpiech?

- Muszę zdążyć na pociąg o szóstej dwadzieścia dwie.

- Ach tak. Handlujecie drobiem?

- Nie, środkami piorącymi do twojej czarnej duszy.

Szofer zaśmiał się szyderczo.

- Byłem głupcem - powiedział. - Lepiej było was tam zostawić. Gajowy zobaczyłby waszą piękną gębę agenta Watykanu. Ale do licha, to jakaś grubsza robótka. Macie dużo gości na obiedzie?

- Trzydzieścioro. Sześć kurczaków znalazłem, dwa sam miałem, a potem trzeba mi było jeszcze dwadzieścia dwa kurze łebki, żeby zadowolić wszystkich biedaków. Znalazłem tylko dwadzieścia jeden. Przy dwudziestym drugim zaskoczył mnie gajowy. To wszystko. Chciałbyś coś jeszcze do twojego sprawozdania dla partii?

- Chciałbym wiedzieć, jaka jest wasza moralność?

- Taka, jak dobrych chrześcijan i uczciwych obywateli - odparł don Camillo. Peppone zatrzymał samochód.

- W porządku. A więc, mości wielebny, cofnijmy się o krok.

Dlaczego, kiedy ja w zeszłym miesiącu proponowałem, żeby zrobić wspólnie ze mną zbiórkę opału dla bezrobotnych, to wyście się przeciwstawili i zrobili mi wrogą kampanię?

Don Camillo zapalił połówkę tokańskiego.

- Dlatego, że tak! - odparł. - Ja nie mogę pomagać ludziom w naruszaniu prawa.

- Jakiego prawa?

- Tego, które chroni własność prywatną. Biedacy potrzebują drwa, żeby się ogrzać. Zgoda. Ale nie można im mówić:

"Chodźmy skombinować drwa z pańskich lasów". Przykazanie Boskie mówi: "Nie kradnij" . I przykazanie ludzkie też mówi: "Nie kradnij".

- "Nie kradnij" mówi prawo Boskie i ludzkie! - wrzasnął Peppone. - I podczas gdy pracownik nie może tknąć rzeczy właściciela, to on może kraść im pieniądze, które jest im winien za pracę, i odmawiać im prawa do życia!

- Nie ma potrzeby, żebyś mi robił pogadankę - odparł don Camillo. - Ja nie mogę nikomu pomagać w naruszaniu prawa.

- Wyśmienicie! - wrzasnął Peppone. - Więc przejdźmy do drugiego punktu. Biedacy mają prawo zjeść coś dobrego na Nowy Rok, ale ten, kto ma, nie chce dać. Więc co robi proboszcz? Występuje przeciwko prawu Boskiemu i ludzkiemu i idzie kraść bażanty! Czy istnieje jakaś specjalna moralność dla proboszczów? Dlaczego przypisujecie sobie prawo do gwałcenia tak zwanego prawa?

- Ja nie przypisuję sobie żadnego prawa, towarzyszu wójcie. Ja zdejmuję z siebie mundur proboszcza, przebieram się, maskuję, żeby ukryć moją tożsamość, i próbuję w ukryciu złamać prawo. Nie przyłączam się do pochodu, pod rękę z towarzyszem wójtem, i nie maszeruję po wiejskich drogach wrzeszcząc, jak chciałby towarzysz wójt: "My jesteśmy prawem! Precz z prawem! Prawo jest niemoralne i niesprawiedliwe!"

Ja postępuję jak zwykły złodziej: odkładam na bok mój autorytet kapłański i działam potajemnie niczym pospolity przestępca. I sam fakt, że przebieram się i działam po kryjomu, oznacza, że uznaję istnienie i zasadność prawa. Jeżeli jestem żołnierzem i mijam generała, muszę mu zaszalutować.

Jeżeli nie chcę, żeby generał mnie zobaczył, mogę próbować wykręcić się unikając jego wzroku i wtedy mogę mu nawet nie szalutować. Ale nie mogę przedefilować przed nim patrząc mu wyzywająco w oczy, z rękami w kieszeniach i krzyknąć: "Nie szalutuje się takim draniom generałom jak pan." Ukradłem bażanty. Ale nie krzyczałem: "Chodźcie przyjaciele, bażanty są nasze". Peppone potrząsnął głową i walnął pięścią w kierownicę.

- Wy jesteście tym, kto poucza, żeby nie kraść, a potem sam kradnie. Wy jesteście tym, kto pięknie gada, a źle czyni - wrzasnął.

- Jeżeli uczę nie kraść, a potem kradnę, to według twojego morale, Peppone, byłbym raczej tym, kto źle mówi, ale dobrze czyni. Tymczasem właśnie ty masz rację: mówię dobrze, a czynię źle. Ale wygłaszając dobre kazanie do was, robię dla nich dobrze, natomiast czyniąc źle na mój własny rachunek, wyrządzam krzywdę jedynie sobie samemu. I za to zło będę musiał odpowiedzieć. I za nie właśnie zostanę słusznie ukarany. Mogę uniknąć sprawiedliwości ludzkiej, ale nie uniknę sprawiedliwości Boskiej.

Peppone zaśmiał się szyderczo:

- Wygodnie jest robić długi na tym świecie mówiąc: "Zapłacę później, jak umrę!" Kto narozrabia, musi zapłacić natychmiast! - Na myśl, że naruszyłem prawo Boskie i ludzkie, od razu zapłacę cierpieniem. Moje sumienie chrześcijańskie i obywatelskie ...

- Aha! - ryknął Peppone. - Wasze sumienie! Ja wam powiem, gdzie jest wasze sumienie chrześcijańskie i obywatelskie! Macie je poniżej pleców! Don Camillo westchnął.

- Dobrze, Peppone - powiedział szczerze - przyjmijmy nawet, że mam sumienie tam, gdzie mówisz. Czy to zmienia coś z tego, co powiedziałem?

Peppone spojrzał na niego z niesmakiem.

- Proszę księdza, co ksiądz chciał przez to powiedzieć?

- Nic, chciałem po prostu cię zapytać: Towarzyszu Peppone, czy zdarzyło ci się kiedykolwiek zarobić śrutem poniżej pleców?

Don Camillo powiedział to dziwnym głosem, który zdawał się dobiegać z oddali, więc Peppone zapalił lampkę przy tablicy rozdzielczej. Zobaczył, że don Camillo jest błądliwy jak prześcieradło. - Proszę księdza - wydusił.

- Zgaś i siedź cicho - przerwał mu don Camillo. - To mały kryzys ... sumienia. Przejdzie. Zawieź mnie do Torricelli do starego doktora. To przyjaciel, on wyciągnie ze mnie kulki o nic nie pytając. Peppone ruszył jak rakieta i frunął ponad dziurawymi drogami. Potem zdeponował don Camilla przed drzwiami starego doktora w Torricelli i czekał.

Wytarł siedzenie zalane krwią. Potem schował pod spód worek z bażantami i poszedł się przespacerować dla uporządkowania myśli.

Don Camillo wrócił prawie po godzinie. - Jak tam? - spytał go Peppone.

- Właściwie mógłbym ci odpowiedzieć, że sumienie jest w porządku, ale według reguł gry w briscolę powinienem podróżować na stojąco z przyczyn czysto technicznych. Jeżeli nie będzie ci przeszkadzało, pójdę na tył. Staraj się nie przesadzać z prędkością.

Na szczęście ciężarówka była nakryta plandeką i podróż powrotna nie okazała się zbyt dokuczliwa.

Mgła spuściła już swoją zasłonę i don Camillo wróciwszy do bazy mógł wśliznąć się przez drzwi plebani nie zauważony przez nikogo. Peppone szedł za nim niosąc worek z bażantami i złożył go w piwnicy.

Kiedy wrócił do jadalni, zastał don Camilla w sutannie, w księżowskim mundurze. A czerń habitu jeszcze bardziej podkreślała jego bladość.

- Proszę księdza - burknął Peppone - jeśli księdzu czegoś trzeba, niech się ksiądz nie krępuje.

- Mnie nic nie potrzeba. Martwię się jednak o psa. Rozejrzyj się, czy nie znajdziesz gdzieś Piora.

Odpowiedzią było skomlenie Piora, który siedząc pod stołem, odezwał się: "obecny". Peppone schylił się, żeby spojrzeć na niego.

- Zdaje się, że on też ma kryzys ... sumienia - burknął podnosząc się - Jego też mam zawieźć do starego doktora?

- Nie - odrzekł don Camillo. - To musi zostać w rodzinie. Sam z niego wyłuskam śrut. Zanieś go do mojej sypialni.

Pior dał się Pepponowi wziąć na ręce i zanieść na górę. Peppone nic już nie mówił, póki nie doniósł psa na pierwsze piętro. Potem zszedł na dół, oparł się o drzwi jadalni, wznosił groźnie wskazujący palec i powiedział twardym głosem:

- Winy proboszczów spadają na głowy niewinnych psów!

- Ty łotrze, dobijasz martwego proboszcza - odpowiedział mu blady don Camillo. - I to na stojąco.

Kiedy Peppone wyszedł, don Camillo zamknął drzwi na łańcuch i poszedł do piwnicy oprawiać dwadzieścia jeden "latających kurczaków", których w końcu okazało się być dwadzieścia dwa, bo znalazł się wśród nich wspaniały kapłon już oskubany i wyczyszczony. To był ten, którego Peppone kupił do kompletu w Torricelli.

Don Camillo przed położeniem się na brzuchu w swoim łóżku, chciał uklęknąć przed Chrystusem z głównego ołtarza:

- Jezu - błagał - nie mogę Ci dziękować, że mnie chroniłeś w czasie mojego przedsięwzięcia, ponieważ to, co uczyniłem dziś po południu, jest rzeczą nikczemną i zasługuje na surową karę. Może byłoby lepiej, gdyby ten dubel gajowego mnie zabił.

- Nawet najgorszy z księży wart jest więcej niż dwadzieścia dwa bażanty - odparł surowo Chrystus. - Dwadzieścia jeden, gwoli ścisłości - szepnął don Camillo.

- Nie wziąłem dwudziestego drugiego.

- Ale taką miałeś intencję.

- Jezu, moje serce przepełnione jest smutkiem, ponieważ zdaję sobie sprawę ze zła, które uczyniłem.

- Nie, don Camillo, ty kłamiesz. Przeciwnie, twoje serce pełne jest radości, bo myślisz o szczęściu, jakie przyniesiesz jutro trzydziestu biedakom.

Don Camillo podniósł się, cofnął o dwa kroki i siadł na ławce w pierwszym rzędzie.

Pot spływał mu obficie z czoła zalewając mu twarz, która robiła się coraz bledsza.

- Wstań - powiedział w pewnej chwili głos Ukrzyżowanego Chrystusa. - *Ego te absolvo.*



Sowiecka machina

- Don Camillo - powiedział stary biskup - twój list wielce mnie zasmucił, zwłaszcza tym, co nie zostało napisane, ale czego z łatwością można się domyślać. Co oznacza to twoje zniechęcenie? Może zbrakło ci niezachwianej wiary, która zawsze podtrzymywała cię w trudnych chwilach?

- Ekscelencjo - odparł melancholijnie don Camillo - wiara nie zmieniła się, to sprawa techniki, mechaniki, a nie wiary.

Stary biskup spojrzał zakłopotany na don Camilla, a ten wyjaśnił:

- Młodzi uciekają mi, a ja ich gonię, tylko że oni są na rowerach, a ja tymczasem na piechotę. Ekscelencjo, nie wiary mi brak, żeby ich dogonić, ale roweru.

- To nie jest argumentacja, tylko gra słów.

- To jest wierne odbicie sytuacji, proszę Ekscelencji. Ja nie staram się konkurować z występkiem; dlatego kiedy widzę, że młodzi wołają potańcówki od moich kazań, nie zamierzam organizować na plebani wieczorków tanecznych. Ale stwierdziwszy, że dzisiaj dla młodych kino stało się pierwszą potrzebą, postaram się zatrzymać ich przy sobie proponując im filmy rozrywkowe, ale pouczające i przyzwoite. Oto, Ekscelencjo, cała sprawa.

Stary biskup rozłożył ręce:

- Don Camillo, nie rozumiem, dlaczego to jest cała sprawa, jak ty to nazywasz. Czyż już od pięciu albo sześciu lat nie proponujesz młodzieży przyjemności w postaci filmów rozrywkowych, pouczających, ale przyzwoitych?

- Tak, Ekscelencjo, robię im tę przyjemność, ale niestety projektor jest taki stary, taki popsuty i taki przestarzały ...

- Dostyc, don Camillo! - przerwał mu biskup. - Jeśli dobry Bóg pozwala żyć takim popsutym i przestarzałym starcom jak ja, to znaczy, że oni jeszcze na coś się przydają. Don Camillo, starasz się mnie oszukać, bo to nieprawda, że potrzebujesz roweru, ty chcesz nowego roweru!

Tak naprawdę, to don Camillo nie zamierzał nikogo oszukiwać: jego 16 mm, to nie był już projektor, ale wspomnienie po nim. A nawet jeszcze gorzej. Bo o wiele mniej męczy chodzenie piechotą bez zbędnego obciążenia, niż jazda na rowerze, któremu brak przedniego koła, siodełka i pedałów.

Najlepsza taśma masakrowana przez projektor don Camilla stawała się najgorszą szmirą. Nie mówiąc już o "dźwięku", który straszliwie skrzeczał przy dialogach i muzyce.

- Jediną możliwą reperacją - powiedział technik z miasta, któremu don Camillo zawiózł przekłętą maszynę - jest wyrzucenie go na śmietnik, o ile zezwoli na to urząd sanitarny.

I don Camillo wracając do wsi, miał ochotę utopić to okropne urządzenie w wielkiej rzece, ale przed pozbyciem się starego rupiecia, należało znaleźć nową maszynę.

A przynajmniej mieć pomysł, gdzie znaleźć niezbędne pieniądze na kupno nowego projektora.

Stary biskup, pomimo srogich napomnień, nie pozwolił, żeby don Camillo odszedł z pustymi rękami. Dał mu wszystkie pieniądze, jakie miał, i choć było tego niewiele, to jednak don Camillo wrócił do domu z sercem pełnym radości. Pierwszy krok został zrobiony.

Oczywiście, żeby dotrzeć do celu, musiał zrobić ich jeszcze tysiąc, ale już mu tak nie ciążyły. Lawina nie ruszy, jeśli z wierzchołka góry nie spadnie jeden kamyczek, ważne jest, żeby spadł ten jeden.

Minął odpowiednio długi czas i nadszedł wielki dzień, kiedy przyjechała nowa wspianiała maszyna projekcyjna.

Najlepsza, najnowocześniejsza, z "dźwiękiem" jak aksamit. Don Camillo kazał odnowić salę i polakierować krzesła; z okazji inauguracyjnej projekcji nie tylko że pożyczył film pierwsza klasa, ale chciał mieć również afisze na rogach ulic. Przez całe popołudnie poprzedzające "nadzwyczajny wieczór" kręcił się tam i z powrotem po wsi, aż udało mu się wpaść na Peppona.

- Czy zostaniemy dziś wieczór zaszczytzeni obecnością pana wójta jako naszego gościa? - spytał don Camillo. - Jest to wydarzenie o takiej doniosłości, że obecność pierwszego obywatela byłaby jak nigdy pożądana.

Peppone spojrzał na niego zdziwiony: - Jakie wydarzenie?

- Inauguracja nowego kina.

- Nic mi nie wiadomo, żeby we wsi istniało jakieś stare kino i żeby musiało być otwarte nowe - odparł Peppone. - Wiadomo mi jedynie, że od kilku lat działa u was jakaś laterna magica i że robicie pokazy dzieciom ze świetlicy parafialnej.

Don Camillo przełknął to z humorem:

- Przeszłość została pogrzebana, teraz mamy prawdziwe kino wyposażone we wspianiałą,

doskonałą maszynę.

Peppone wzruszył ramionami.

- Jakakolwiek by była wspiana i doskonała, to i tak zawsze będzie to tylko 16 mm.

- Kiedy zobaczycie, jak działa nowe urządzenie, to się przekonacie, że 16 mm jest krokiem ku przyszłości, a te 35 mm to jedynie chybiona próba powiększenia 16 mm.

- 35 czy 16 mm - burknął Peppone - kinematograf to już gatunek przestarzały, parafialna zabawka.

- A jaki gatunek nadawałby się na obecne czasy? - spytał don Camillo. - Może wieczorowy kurs aktywistów? - Dajmy spokój polityce, która nie ma tu nic do rzeczy - odparł Peppone. - Postęp zabił kino, dziś nastała era telewizji.

W tym momencie nadszedł Chudy i zapytał:

- Szeffie, namyśliłeś się? Przyjechał technik i pyta, gdzie umieścić antenę.

- Niech umieści tam, gdzie uważa, że będzie najlepiej. Ja znam się na silnikach spalinowych, a nie na telewizji.

Chudy pomknął jak strzała, a don Camillo przełknawszy coś, co mu uwięzło w gardle, zapytał:

- Więc pan wójt będzie pionierem telewizji?

- Nie, nie ja. To partia robotnicza chce być awangardą postępu.

Telewizja zostanie zainstalowana w Domu Ludowym. Dziś wieczorem jest inauguracja. W każdym razie nie będzie to mogło księdzu w żaden sposób przeszkadzać, bo odbiornik jest darem wielkich zakładów radiowo-telewizyjnych z Moskwy i projekcja jest przewidziana jedynie dla towarzyszy. Nie mogę nawet księdza zaprosić i przykro mi z tego powodu. No chyba, że się ksiądz zapisze do partii komunistycznej.

- Przyznam, że jestem bardzo ciekawy, cóż to takiego jest ta telewizja, o której się tyle gada - powiedział don Camillo przez zaciśnięte zęby. - Mimo wszystko sądzę, że mogę jeszcze poczekać.

- Fale vobis - odparł Peppone rozkładając ręce.

Don Camillo wrócił do domu z powiększoną wątrową i poszedł wyznać swoje oburzenie Chrystusowi w głównym ołtarzu.

- Panie Jezu - wysapał - Peppone i współnicy mają telewizor!

- Nie sądzę, żeby oni jedyni na świecie posiadali urządzenie, o którym mi mówisz - odparł Chrystus. - I nie sądzę, żeby to chodziło o śmiercionośną broń.

- Nie są jedynymi na świecie, ale są jedynymi we wsi - odrzekł don Camillo.

- A dlaczego cię to wszystko martwi? Lękasz się może, że któryś z twoich chłopaczków zwabiony nowością nie zawaha się, żeby wejść do jaskini lwa?

- Nie, bo korzystanie z aparatu jest zastrzeżone jedynie dla członków partii Peppone - wyjaśnił don Camillo. - Rzecz w tym, że miałem nadzieję przyciągnąć nowym kinem jakichś

młodych, którzy zapisani są do partii. Miałem nadzieję wyrwać paru nieszczęśników z paszczy lwa.

Chrystus westchnął smutno.

- Więc takie są twoje narzędzia pracy, don Camillo? Ja nie używałem elektrycznych maszyn, żeby uwolnić dusze ze szponów demona i sprowadzić ludzi na dobrą drogę.

Don Camillo spuścił pokornie głowę.

- Panie, przebacz mi - wyszeptał. - Ale demon też ich nie używał. Jeżeli diabeł ucieka na rowerze, to dlaczego mam biec za nim na piechotę?

- Don Camillo - odparł Chrystus - nie mogę podążać za tobą na rowerze. Ale pamiętaj, że środek transportu do Raju czy Piekła jest i pozostanie na zawsze ten sam.

Telewizja zatrzała wieczór don Camillo i choć sukces pokazu kinowego był wyraźny, to jednak w nocy źle spał.

Coś z całej tej historii umykało mu, coś było niezbyt jasnego i nawet śpiąc myślał o tej smudze cienia.

Następnego ranka, kiedy wyrzął przez okno wychodzące na dziedziniec i zobaczył antenę telewizyjną na dachu Domu Ludowego, błysnęła mu nagle olśniewająca myśl.

I jak tylko po południu udało mu się spotkać Peppone, zaczął z miejsca:

- Peppone - zapytał - w kwestiach telewizji też słuchasz rozkazów z góry, czy może ruszasz własną głową?

- A co odgórne rozkazy mają do telewizji? - odparł Peppone.

- Robię to, co chcę i co mi się podoba.

- W tym przypadku sprawa jest prosta i to ty jesteś ofiarą. Bo tylko ofiara mogłaby myśleć, że znajdzie się w tej wsi ktoś, kto dałby się przekonać, żeby wziąć legitymację komunistyczną z żądz kontemplowania bzdur wyświeblanych przez tę telepułapkę made in USSR!

Don Camillo roześmiał się. - A poza tym, kogo chcesz nabrać? Niby jakie telewizory mieliby mieć w tej Rosji?

Peppone rozłożył ręce.

- No tak, zapomniałem, że Rosjanie nie wiedzą, co to rower czy zegarek! A to miałyby znaczyć, że telewizor, który do nas przyjechał, ma na wszystkich częściach napisane made in USSR, ale jest amerykański! W każdym razie nie ma przymusu: kto ma telewizor, niech go sobie ma, a kto nie ma, niech przeżuwa wściekłość.

Don Camillo rzeczywiście napompowany był wściekłością i dobrze zrobił, że sobie poszedł, nic nie odpowiadając.

Ledwie jednak wrócił na plebanie, musiał wysłuchać informatorów, którzy przyszli zdać

mu relację z reperkusji, jakie we wsi wywołała przekłeta sprawa TV.

"Wydaje się, że to rzeczywiście nadzwyczajny odbiornik." "Mówią, że naprawdę jest rosyjski."

"Czerwoni, którzy brali udział w pierwszym pokazie, są pełni zachwytu. Wrzeszczą, że Amerykanie mogą się schować."

Tego wieczoru don Camillo przewracał się w łóżku wiele razy, zanim zmorzył go sen, ale i tak nie spał nawet całej godziny, bo siedmiu czy ośmiu przeklętych gadułów zatrzymało się na dziedzińcu, żeby pogawędzić dokładnie pod oknami plebanii.

"Jednak szkoda, kiedy będą kolorowe audycje, trzeba by zmienić odbiornik."

"Zmienić odbiornik? Skądże znowu! W Ameryce nie mają jeszcze kolorowej telewizji, a w Rosji działa już od dwóch lat. A ten odbiornik, typ eksportowy, może służyć do czarno-białego albo kolorowego odbioru. Widziałeś ten czerwony przełącznik po prawej stronie z boku? Wystarczy pociągnąć go w dół i już jest na kolorowo.

"Ja, gdybym był na miejscu Peppona, udostępniłbym odbiornik, żeby wszyscy mogli oglądać. Przestaliby wtedy gadać, że go nie pokazujemy, bo nie jest rosyjski tylko amerykański albo krajowy."

"Figę z makiem! Niech sobie gadają, co chcą. Jeżeli chcą zobaczyć odbiornik, niech wezmą legitymację." Don Camillo musiał słuchać, choć wcale nie chciał. A kiedy przestali mówić i zaczęli szeptać i chichotać, wyskoczył z łóżka i przyłożył ucho do szpary w okiennicy.

" ... buda gorsza od innych ... "

" .. .filmy głupsze niż poprzednio ... "

" wszyscy mówią, że dźwięk też okropny ... "

" ale czego wymagasz, żeby ten tam miał się znać na technice! Zrobili go w konia"

" chyba, że ... "

" wiesz, jak jest; kiedy się trzyma w rękach gruby plik banknotów, to trzydzieści czy pięćdziesiąt mniej ... "

Don Camillo położył się z powrotem do łóżka, bo czuł, że w przeciwnym razie wybuchnie i nie będzie spać aż do rana przeżuając wściekłość.

W końcu jednak odzyskał spokój, cała żółć została przetrawiona i umysł mógł znów funkcjonować bez zakłóceń.

"Dobry gracz, nie pozwala, by domyślano się, jakie ma karty w ręku" - stwierdził. "Nie pokazujesz odbiornika, bo sam wymyśliłeś sobie bajeczkę z rosyjskim telewizorem. Jeszcze pęknie, towarzyszu Peppone."

Don Camillo rozpoczął politykę okazywania doskonałej obojętności i temu, kto mówił o sowieckim telewizorze, odpowiadał z uśmiechem:

- Jeżeli Rosjanie mają bombę atomową, to czemu nie mieliby mieć tylu odbiorników telewizyjnych, żeby wysyłać je przyjaciom mieszczącym za granicą?

- A co z kolorem?

- Cóż to dla nich kolor, synu, oni są zdolni do wszystkiego; dlaczego nie mieliby wykorzystać tej swojej umiejętności do techniki telewizyjnej?

I tak minął miesiąc, potem drugi i trzeci.

Każdego wieczoru, dokładnie o tej samej porze, kolejna tura towarzyszy (ustalili tury) udawała się do Domu Ludowego, żeby nasycić się należną sobie porcją TV. A po zakończeniu przedstawienia nie omieszkali nigdy, ale to nigdy, zatrzymać się na dziedzińcu, pod oknem sypialni don Camilla, żeby wymienić między sobą pełne entuzjazmu wrażenia na temat doskonałości technicznej osiągniętej przez Sowietów.

Don Camillo budził się i musiał wysłuchiwać ich gadania, zachowując kompletną ciszę i takież spokój.

I zawsze mu się to udawało. Kiedy jednak ta ohydna tortura powtórzyła się po raz dziewięćdziesiąty, sprzeciwił się.

- Dostyc - powiedział. - Już dłużej nie mogę. Bóg mi wybaczy. Zdarzyło się to kilkanaście dni po owym słynnym zawaleniu dachu. W Domu Ludowym pod ciężarem śniegu zapadł się kawał dachu i leżącego pod nim strychu. Szkody natychmiast naprawiono. Dach został załatany. I odbudowano również zapadnięty sufit. Ale pokoje stróża nie nadawały się do zamieszkiwania, bo ściany nasiąknięte były wodą, a tynk wysychał powoli i nie można było zdjąć rusztowań.

Więc Długi, jego żona i synek spali gdzie indziej, a Dom Ludowy od północy do czwartej rano pozbawiony był stróża.

I zdarzyło się, że któregoś szczególnie mglistego wieczoru jakiś osobnik, znalazłszy otwarte drzwi prowadzące na podwórze, wśliznął się do Domu Ludowego i po cichu, ale zdecydowanym krokiem pomaszerował na poddasze. A kiedy tam dotarł, ukrył się i czekał nieruchomy jak głaz.

O północy Długi spuścił żaluzje w sali świetlicy, schował pieniądze z utargu i księgi rachunkowe do tej samej co zwykle torby, zrobił obchód po wszystkich pomieszczeniach, zamknął wszystkie drzwi i poszedł spać do domu teściowej.

Intruz miał nerwy ze stali i odczekał jeszcze dwie godziny, zanim przystąpił do działania.

Potem zszedł ostrożnie na parter i wszedł do sali zebrań. Zewnętrzne okiennice były zamknięte, czuł się więc zabezpieczony przed wszelkimi niespodziankami.

Zapalił kieszonkową latarkę i sprawdził obszerne pomieszczenie.

To, czego szukał, musiało być schowane w kącie pod tym pokrowcem.

Podszedł bliżej, zdjął przykrycie i ukazała mu się lśniąca skrzynka telewizora.

Na górze była metalowa tabliczka z sierpem i młotem i z napisem: Made in USSR. To nie sztuka przymocować taką tabliczkę do drewnianej skrzynki zawierającej urządzenie amerykańskie, włoskie czy angielskie. Intruz wszedł za telewizor i zdjął tylną pokrywę odbiornika.

I z wrażenia aż upuścił latarkę.

- Jezu - dyszał don Camillo, klęcząc przed Chrystusem z głównego ołtarza. - Zdarzyło się coś nadzwyczajnego! Dziś w nocy jakiś osobnik wszedł przez pomyłkę do świetlicy Domu Ludowego i ciekaw był rzucić okiem na ów słynny rosyjski telewizor. Jezu, co za niesłychane wydarzenie! Żaden sowiecki telewizor: zwykłe puste pudło! Pu-ste!

Don Camillo otarł pot z czoła.

- Puste, Panie! Od dziewięćdziesięciu wieczorów ci nieszczęśnicy po kolei chodzą do Domu Ludowego, żeby spędzić dwie, trzy godziny przed pustym pudłem, a potem wracają do domów i opowiadają o cudach, które widzieli. Jezu, zobacz jacy bezczelni. Pomyśl, że przez trzy miesiące nikt nie puścił pary z gęby. Pomyśl o wybuchu wesołości, jaki nastąpi jutro, jak rozejdzie się wieść! ... Rosyjski odbiornik! Rosyjski odbiornik!

Don Camillo był strasznie podniecony i znów otarł pot z czoła. - Panie, mogę się założyć, że jeżeli ten osobnik, który to wszystko odkrył, nie wygada się, to oni gotowi są dalej grać komedię, nie wiadomo jak długo jeszcze. Czyż nie jest to w najwyższym stopniu śmieszne? Nie do wiary! Czy to nie szaleństwo, że są ludzie, którzy potrafią tak grać i nigdy się nie zdradzić? Nazywają to samodyscypliną! A to zupełnie co innego ... Panie, ale Ty mnie nie słuchasz!

Chrystus westchnął.

- Myślałem o nieszczęściach na tym świecie i nie zważałem na to, co pleciesz. Co mówiłeś, don Camillo? Co zrobił dziś w nocy ten typ?

Don Camillo spuścił głowę.

- Panie, dziś w nocy jakiś typ wszedł przez przypadek do Domu Ludowego i miał okazję obejrzeć ów słynny telewizor. To autentyczna sowiecka maszyna.

Don Camillo nic nikomu nie powiedział, ale tydzień później, kiedy spotkał Peppona, nie zdołał się powstrzymać.

- Towarzyszu, kiedy twoi podwładni skończą tę farsę z pustym pudłem?

- Kiedy nadejdzie pora.

- Czysty idiotyzm, towarzyszu!

- Niech ksiądz popróbuje zorganizować taki idiotyzm ze swoimi burżujami.

Don Camillo nie wiedział, co na to odpowiedzieć, więc poszedł sobie.

Następnego ranka wieść obiegła lotem błyskawicy następująca wiadomość: w nocy, z powodu zwarcia, odbiornik telewizyjny kompletnie spłonął.

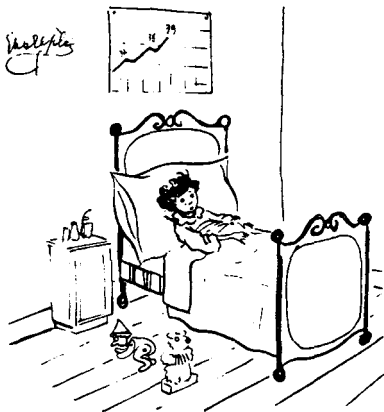
"A wrogowie Partii niech się nie cieszą!" - głosił komunikat Peppona zawieszony na tablicy ogłoszeń Domu Ludowego. "Bo ludzie pracy, choć żyją w niedostatku, potrafią odzyskać swoją TV!"

I faktycznie, zrobili składkę i dziesięć dni później Dom Ludowy nie miał już pustego

pułta, ale pułto pełne TV.

- To już nie taki doskonały odbiornik, jak ten rosyjski, który mieliśmy przedtem -
rozpowiadali czerwoni od Peppona. - Ale zawsze coś.

I ze swojego przeklętego punktu widzenia mieli przecież rację.



Gażnik

Gazety wciąż jeszcze rozpisywały się o tej słynnej historii z dzieckiem uratowanym dzięki ampułkom przysłanym samolotem z Ameryki.

I choć dziecko czuło się już dobrze, to pisały o tym, bo źle się czuli ci od sierpa i młota, a to dlatego, że według nich chodziło zwyczajnie o wielką akcję propagandową zorganizowaną przez amerykańskiego ambasadora.

Zdarzyło się to w osadzie leżącej na brzegu wielkiej rzeki, nawet nie czterdzieści kilometrów od parafii don Camilla, więc kiedy zaczęła się polemika, Peppone poczuł się w obowiązku wziąć w niej udział ze szczególnym zaangażowaniem, a to dlatego, że należało "zachować dobre imię Niziny".

I naopowiadał takich bzdur, aż doprowadził don Camilla do tego, że ten "przez czysty przypadek" natknął się przy kafejce pod portykami na pana wójta, który stojąc pośrodku grupki ludzi tłumaczył, co i jak. Peppone, jak tylko spostrzegł czarną bryłę proboszcza, podniósł głos: - W porządku wymogi propagandy politycznej, w porządku nawet to, co nie jest w porządku, ale czego nie można darować tym ludziom, to robienia spekulacji politycznych wykorzystując dziecko. Ten, kto ma dzieci, rozumie to bez tłumaczenia, ale nigdy nie zrozumie ten, kto dzieci nie ma i mieć ich nie może.

Wszyscy odwrócili się, żeby spojrzeć na don Camilla, a on zrozumiał, że to o nim mowa, więc wzruszył ramionami.

- Panie wójcie - powiedział - jeżeli chorym, którego należało ratować było dziecko, to nie mogli ratować dorosłego.

- Jakie "ratować"! Dziecko nie było w ciężkim stanie.

- Jeżeli pan, chodząca encyklopedia medycyny, tak twierdzi, to ja już się nie odzywam - odparł don Camillo. Peppone obruszył się:

- Nie jestem encyklopedią medyczną. Ale osoby znające się na rzeczy stwierdziły, że bez robienia cyrku z lotami przez Atlantyk, można było raz dwa mieć lekarstwo z Holandii.

- Chylę czoła przed kompetencją osób znających się na rzeczy. I przyznałbym panu całkowitą rację, panie wójcie, gdyby nie pewien szczegół, o którym pańscy znający się na rzeczy

towarzysze zapomnieli. Dziecko, żeby wyzdrowieć, nie potrzebowało ani wyselekcjonowanej krowy, ani wiatraka, ale specjalnego rodzaju globuliny, która była w wyłącznym posiadaniu wydziału zdrowia w Michigan. Co nie ma nic wspólnego ani z wyselekcjonowanymi krowami, ani z wiatrakami, ani z gammaglobuliną holenderską. Potrzebna była akurat amerykańska globulina, więc jak można mieć pretensje do amerykańskiego ambasadora, że zamiast posłać po globulinę do Holandii, gdzie jej nie ma, posłał po nią do Ameryki, bo tam jest?

Peppone pokiwał głową śmiejąc się.

- Latinorum, latinorum! Kiedy nie wiedzą, co powiedzieć, to wyjeżdżają z latinorum, alfa, gamma i omega, a ten, kto się nie uczył łaciny, niech cicho siedzi.

- Przez przypadek, panie wójcie, chodziło tu o grekę, a nie o łacinę - zaproponował uprzejmie don Camillo. - W każdym razie proszę mieć na względzie, że to nie ksiądz nadawał imiona wyżej wspomnianej hemoglobinie. To wyłącznie sprawa naukowców. Peppone skorzystał z wykrętu, jaki podsuwała mu sowiecka opatrność.

- Ale sprawka z Madonną, która zjawiała się we śnie choremu dziecku, jest wyłącznie sprawą księży, wasza wielebność! Więc zechce ksiądz przyznać, że o ile hemoglobinę wymyślili uczeni, to historyjkę z Madonną, która zjawia się dziecku we śnie, wymyślili księża.

Don Camillo spojrzał na Peppona zdumionym wzrokiem.

- Panie wójcie, kler nie ma żadnego wpływu na sny dzieci ani dorosłych. Dzieci i dorośli śnią kiedy chcą i co chcą.

- Ale - wrzasnął Peppone, który zaczynał tracić zimną krew

- kiedy samolot przelatywał nad Atlantykiem, to choremu dziecku śniło się to, co mu się chciało, a co mianowicie? Madonna. Śni mu się Madonna, która przychodzi je zabrać, prowadzi do Raju, przedstawia Jezusowi Chrystusowi, a On mu wyjaśnia, że skoro wtrąciła się w to Świetlista Panienska i Stany Zjednoczone, to wszystko zakończy się w cudowny sposób.

Don Camillo rozłożył ręce.

- Panie wójcie - spytał - a o czym, według pana, powinno śnić to dziecko? O Leninie, który prowadzi je na Kreml, a potem każe Stalinowi wytłumaczyć mu plan pięcioletni?

Ktoś ze stojących zaśmiał się i Peppone znów stracił odrobinę spokoju.

- Nie mieszajmy polityki do sprawy, proszę księdza! - wykrzyknął. - My w każdym razie wystrzegamy się, żeby nie przypisywać dziecku snów tego rodzaju! Po pierwsze dlatego, że nie robimy spekulacji politycznych na dzieciach, po drugie dlatego, że nie musimy uciekać się do bajek ...

- Po trzecie, nikt by nie uwierzył - zakończył spokojnie don Camillo.

- Za to są tacy, co wierzą w wasze bajki!

- Wydaje się, że tak, panie wójcie; są ludzie, którzy nie tylko

wierzą w bajkę o Raju, ale wierzą tak bardzo, że aż skłonni są postępować w taki sposób, żeby sobie na Raj zasłużyć. I żyją uczciwie, porządnie i zawsze są pogodni, bo wierzą w Boską

Opatrzność.

Peppone zsunął czapkę na tył głowy i podparł się pod boki. - Boska Opatrzność! - zawołał. - Ponieważ ampułki przysły z Ameryki, to można mówić o Boskiej Opatrzności. Gdyby zaś nadeszły z Rosji, to ksiądz nie mówiłby wcale o Boskiej Opatrzności, ale o interwencji diabła!

Don Camillo pokręcił głową.

- Nie, panie wójcie - wyjaśnił. - Ponieważ ksiądz używa rozumu, który dał mu Ojciec Przedwieczny, to nie palnąłby nigdy takiego głupstwa. Bo ksiądz wie doskonale, że Boska Opatrzność nie ma żadnej narodowości ani nie należy do żadnej partii. Z jakiegokolwiek strony pochodzi, jest znakiem łaskawości Boga.

- Amen - burknął Chudy.

- W każdym razie - mówił dalej don Camillo - w tym przypadku możemy uznać, że Boska Opatrzność nie nadeszła ze Wschodu, tylko z Zachodu.

- Czyli - wrzasnął Peppone - niech żyje Ameryka, precz z Rosją!

Don Camillo uśmiechnął się.

- Może i tak być, jeżeli pan wójt sobie życzy: niech żyje Ameryka. Ale dlaczego precz z Rosją? Co złego zrobiła Rosja w tej sprawie? Przeszkodziła może w wyzdrowieniu dziecka? Ja, panie wójcie, potrafię być obiektywny i dlatego nie obawiam się oświadczyć publicznie, że jest to właśnie jedyny przypadek, kiedy Rosja nie zrobiła nikomu nic złego. Ale, proszę mi wierzyć, panie wójcie, zamiast krzyżeć tak, jak pan sobie życzy: "Niech żyje Ameryka!", słuszniej byłoby zawołać: "Niech żyje Boska Opatrzność!", która uzdrowiła chore dziecko.

Peppone zrobił się czerwony jak rewolucja październikowa.

- Zamiast je uzdrawiać - krzyknął - byłoby lepiej, gdyby Boska Opatrzność nie pozwoliła, żeby zachorowało!

- I owszem - odparł don Camillo. - Boska Opatrzność nie sprawiła, że dziecko zachorowało. Choroby nie zależą od Niej, ale od natury, którą rządzą bardzo ostre prawa (biada, jeśliby tak nie było) i jeśli się ich nie przestrzega, to następują poważne powikłania. Pan, panie wójcie, jest doświadczonym mechanikiem i wie pan, że silnik chodzi doskonale, póki nie popsuje się jakiś mechanizm. Kiedy w gaźniku zatka się dysza paliwowa, to winę ponosi Boska Opatrzność? Czy też raczej to wina jakiegoś pyłku? To wszystko, co zależy od materii, jest w bezpośrednim władaniu natury. Z drugiej strony, czy w Rosji, gdzie każda rzecz została stworzona przez Lenina, a nie przez Boga, nie zdarzają się choroby?

Peppone powoli się rozchmurzał i kiedy don Camillo skończył swoją przemowę, odwrócił się z uśmiechem do Chudego.

- Chudy - powiedział bardzo głośno i wyraźnie - zechciałbyś zapytać wielbnego, w związku z gaźnikiem, czy wspomniany mechanik, kiedy wyciąga pyłek zatykający dyszę, reprezentuje Boską Opatrzność?

Chudy spojrział na don Camilla i zapytał:

- Oskarżony słyszał pytanie poszkodowanego? Don Camillo skinął, że tak.

- Tak, oskarżony słyszał pytanie poszkodowanego na umyśle.

I odpowiada, że mechanik reprezentuje zwykły śrubokręt z człowiekiem na końcu trzonka, a nie Boską Opatrzność. Mamy tu do czynienia z najędzniejszą materią. Nic Boskiego. Nic bardziej zwyczajnego.

Peppone zadowolił się odpowiedzią.

- Więc dajmy inny przykład, proszę księdza. Gaźnik nie działa, bo śruba od dyszy odkręciła się i zagubiła. Na nieszczęście gaźnik jest amerykańskiej produkcji i nie można dostać części zamiennych. Co robić? Będziemy musieli wyrzucić samochód na złom? Ale na szczęście jest ambasador amerykański, który dowiedziawszy się o kłopotcie, posyła samolotem po część zamienną do Waszyngtonu, wkręca się z powrotem brakującą śrubkę i samochód znów jeździ. Poruszamy się wciąż po nędznym polu materii, bo ta historia w dalszym ciągu dotyczy gaźnika, a więc, jako że ta część zamienna pochodzi z Ameryki, powinniśmy krzyknąć: "Niech żyje Boska Opatrzność". Tak więc rozumowanie wielebnego księdza działa w różny sposób, zależnie od tego, czy gaźnik pochodzi z Zachodu czy ze Wschodu.

Towarzysze Peppone zaczęli chichotać triumfująco i don Camillo dał im się nacieszyć. Potem odparł: - Moje rozumowanie działa tak samo we wszystkich kierunkach.

- Bzdury! - wrzasnął Peppone. - Jeżeli dziecko jest chore z przyczyn naturalnych, tak samo jak popsuty gaźnik, z którego wypadła śruba, to co mają do tego Boskie prawa, jeżeli ambasador Ameryki znajduje śrubkę na wymianę dla dziecka?

- Różnica jest taka, że dziecko to nie gaźnik - wyjaśnił spokojnie don Camillo. - I podczas gdy gaźnik nie może posiadać wiary w Boską Opatrzność, to dziecko może ją posiadać. Ma ją i okazuje, że ma. Wszystko to, co dotyczy maszyny ludzkiej, jej psucia się i zapobiegania psuciu, należy ściśle do natury i do materii. Wiara w Boga to zupełnie inna sprawa, której ty nie możesz pojąć, towarzyszu karburatorze. I dlatego ty w wydarzeniu z dzieckiem nie możesz dostrzec Boskiej Opatrzności, a widzisz tylko Pakt Atlantycki i ambasadora Ameryki. Kto nie ma słuchu, nie może zrozumieć, co to jest muzyka. Kto nie ma wiary w Boga, nie może zrozumieć, co to znaczy Boska Opatrzność.

- A więc - zawołał Peppone - ta Boska Opatrzność jest towarem dla uprzywilejowanych, a nie dla tych, którzy jej potrzebują. Jeżeli sto osób jest głodnych, a tylko siedem wierzy w Boską Opatrzność, to Bóg nie jest niesprawiedliwy, jeśli zsyła puszkę mięsa jedynie siedmiorgu uprzywilejowanym?

- Nie, towarzyszu wójcie, Bóg zsyła puszkę mięsa wszystkim, ale tylko siedmioro ma otwieracz do konserw. Tamci go nie mają, bo w Niego nie wierzą i nie chcą Go!

Peppone stracił zupełnie opanowanie; widać to było po tym, jak się spocił.

- Proszę księdza, dajmy spokój bajkom i zajmijmy się rzeczywistością, a rzeczywistość

jest taka, że podczas gdy tutaj je tylko siedem osób, bo tyle wierzy w Boską Opatrzność i dlatego ma otwieracze, to w Rosji nikt nie wierzy w Boską Opatrzność, ale otwieracze mają wszyscy.

- Ale nie mają puszek - zakończył z uśmiechem don Camillo. Wszyscy zaczęli się śmiać z prostego żartu don Camilla, co Peppone doprowadziło do białej gorączki. - Ksiądz dobrze zongluje słówkami. I zawsze wam się udaje przekształcić każdą dyskusję w grę słówek. Ale myśmy tu zaczęli nie od gładkich słówek, ale od konkretnych czynów. Spekulacji politycznej! Obrzydliwej amerykańskiej sztuczki propagandowej z niewinnym dzieckiem. Nie zdołał ksiądz wykazać tymi wszystkimi bujdami, że nie mam racji.

Don Camillo wzruszył ramionami.

- Wiem o tym i nigdy nie będę w stanie ci tego wykazać, bo nie potrafię ci wykazać, że dwa i dwa to cztery, jeśli ty wierzysz uparcie, że dwa i dwa to pięć, jak cię nauczono. W każdym razie mogę ci powiedzieć, że jeżeli to propaganda polityczna uratowała życie dziecku, będę krzyczał: "Niech żyje propaganda polityczna!". A gdybym miał dziecko i jego uratowanie zależałoby od rosyjskiego lekarstwa, to ...

Peppone nie dał mu dokończyć.

- A ja bynajmniej! - wrzasnął. - Ja mam syna, ale gdyby uratowanie go zależało od ampułek amerykańskiego ambasadora, to prędzej dałbym mu umrzeć, niż bym miał pozwolić, żeby się stał narzędziem w rękach tych bandytów!

Don Camillo wytrzeszczył oczy z przerażenia.

O trzeciej w nocy Peppone zerwał się raptownie z łóżka. Nie mógł zasnąć. Wstał i ubrał się po ciemku. Wyszedł z sypialni, trzymając w rękach buty, i poszedł rzucić okiem do pokoju, w którym spał najmłodszy synek.

Zapalił światło i długo przyglądał się buzi śpiącego dziecka.

Postał dłuższą chwilę, potem zgasił światło i po cichutku wyszedł z pokoju.

Chwilę później opatulony po same oczy szedł zamazaną drogą. Kiedy dotarł na dziedziniec pod okna plebanii, poszukał kamyka, ale śnieg przymroził kamienie do ziemi. Drapał lód, aż mu zaczęły krwawić opuszki palców.

I w miarę jak upływały minuty, wzrastał w nim niepokój, aż zamienił się w rozpacz. Zdołał wreszcie wydłubać jakiś kamyk i rzucił nim w okiennice drugiego okna na pierwszym piętrze. Kiedy usłyszał głucho stuknięcie kamyka o drewno, poczuł się podniesiony na duchu. Okiennice rozchyliły się.

- Co jest? - zapytał nieuprzejmy głos.

- Zejdź na dół.

Don Camillo zarzucił na siebie kołdrę i zszedł otworzyć. - Czego chcesz o tej porze? Co się stało?

- Nic się nie stało - wyjaśnił ponuro Peppone.

- Tym lepiej - burknął uspokojony don Camillo. - Przestraszyłem się na twój widok.

- Przestraszył się ksiądz? A to czego? Nie jestem zbrojcem.

- Każdy, kto przychodzi budzić mnie po nocy, wzbudza mój niepokój. Nie przychodzi się nocą do księdza, żeby mu opowiadać dowcipy.

Peppone stał przez chwilę z opuszczoną głową, potem burknął: - Kiedy ktoś dyskutuje publicznie, to czasem palnie coś, czego nie chciałby powiedzieć.

- Wiem - przyznał don Camillo. - Nie trzeba do tego przywiązywać wagi.

- Ale ludzie przywiązują wagę!

- Skądże, ludzie wiedzą, czego można się spodziewać po karburatorze.

Peppone zacisnął pięści.

- Proszę księdza - ryknął - gada ksiądz głupstwa!

- Może masz rację. Karburatory nie przychodzą budzić proboszcza o trzeciej nad ranem. Możesz wracać do łóżka. Peppone stał dalej nieporuszony jak głaz.

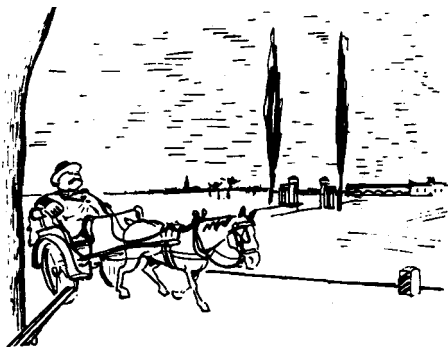
- Potrzebujesz czegoś, towarzyszu Peppone? - spytał don Camillo. - Może potrzebujesz otwieracza do konserw?

- Mam go - odparł ponuro Peppone.

- To świetnie, uważaj tylko, żebyś go nie zgubił. A Bóg cię oświeci również wtedy, kiedy występujesz publicznie.

Peppone poszedł sobie, a don Camillo, zanim wlaź z powrotem pod kołdrę, uklęknął przed krucyfiksem. - Jezu - powiedział. - Nie zrobił się z niego karburator, jest wciąż tak samo nieszczęsny jak przedtem. Niech będzie błogosławiona Boska Opatrzność.

A potem poszedł do łóżka i on też zdołał nareszcie zasnąć.



Kryminałek

Żona Bradoniego poszła otworzyć i widząc przed sobą don Camilla, wydała się niesamowicie zdziwiona. - To ksiądz? - zawołała.

- Tak, to ja, a co? Jest w tym coś dziwnego?

- Na takie zimno i śnieg, jak ksiądz dobrnął aż tutaj, na sam koniec świata?

- Koń mnie dowiózł bryczką - wyjaśnił don Camillo, wchodząc do dużej kuchni. - Jest mąż?

- Przyjechał ksiądz pomówić z mężem? - zafrasowała się kobieta. - Strasznie mi przykro. Mąż pojechał wcześniej rano na targ, żeby sprzedać trzy cielaki, i wróci dopiero wieczorem. Jestem w domu sama, mój chłopak też pojechał z ojcem.

- Nic nie szkodzi - mruknął don Camillo. - To, co miałem powiedzieć waszemu mężowi, mogę i wam powiedzieć. Potrzebuję trochę zboża dla ochronki. Nie sędzę, żebyście mnie odesłali do domu z pustymi rękami.

Kobieta zrobiła bezradny gest. - Proszę księdza, ale tylko trochę, bo my też już gonimy resztkami; może księdzu znajdę ze dwadzieścia kilo.

Don Camillo rozłożył ręce.

- Tylko trochę, mówicie? Ach, żeby tak wszyscy mi dali, jak wy, trzydzieści kilo zboża, to by dopiero było coś.

- Robi się, co można - odparła kobieta, gdy tymczasem don Camillo wyciągnął z kieszeni notes i ołówek. - Niech ksiądz dobrze zanotuje: "Rodzina Bradonich - dwadzieścia pięć kilogramów".

Don Camillo zanotował.

- Kiedy ksiądz po to przyśle? - spytała.

- Skorzystam, że mam wóz i załaduję od razu.

- Nie wiem, jak dam radę - stwierdziła kobieta. - Jestem w domu sama, a w plecy wszedł mi reumatyzm. Nie mogę się nadwierać.

- Nie martwcie się - odparł śmiejąc się don Camillo. - Ja nie mam reumatyzmu i dwadzieścia pięć kilo zboża mogę ponieść, jakby to była paczka biszkopcików.

Kobieta prowadziła, a za nią podążał don Camillo; weszli aż na drugie piętro, gdzie był

strych.

- Proszę księdza, niech ksiądz nie zważa na bałagan - powiedziała, wkładając klucz do zamka w drzwiach od strychu.

- Będę zważał tylko na moje dwadzieścia pięć kilo zboża - odpowiedział don Camillo. - Jeśli tylko będzie, reszta nieważna.

Kobieta nie skłamała, bo choć kupka zboża była mała, to bałagan wielki, bowiem strych służył jako skład rupieci.

- Jak tylko zjawi się tutaj handlarz starzyzną - zawołała - to wcisnę mu te wszystkie graty, nawet gdybym mu je miała oddać za darmo.

Don Camillo poderwał się i zbliżył do góry żelastwa.

- Jeśli tak się sprawy mają - powiedział - to ten piecyk możecie dać mnie, a nie handlarzowi. Przyda się na korytarzu w ochronce. Jest teraz lodowate zimno, a dzieci chciałyby wciąż się tam bawić. - To stary rozwalony gruchot - miała wątpliwości kobieta.

- Można go wspaniale wyreperować.

- No to jak ksiądz chce, to niech go sobie od razu zabiera, zrobi mi ksiądz przyjemność. Don Camillo nie wahał się ani chwili, wyciągnął piecyk, wsadził go do worka, bo był zakurzony i brudny, i zniósł na dół razem z dwudziestoma pięcioma kilogramami zboża.

- Bardzo wam dziękuję - powiedział zegnając się. - Worki odeślę za parę dni.

- Ten od zboża - odparła kobieta - bo ten drugi, to łach do niczego nie zdatny, może go ksiądz sobie zatrzymać.

Don Camillo załadował na wóz cały majdan i ruszył w powrotną drogę. Oczywiście zatrzymywał się na każdym podwórzu i w ten sposób dotarł na plebanie o zmroku.

Nawet nikogo nie szukał do pomocy przy rozładunku; sam dał sobie radę i kiedy już umieścił zebrane ziarno, zamierzał wyprząc konia z wozu. Ale po chwili zmienił zdanie.

"Załatwmy również sprawę piecyka" - pomyślał. "Może znajdzie się przypadkiem jakaś ofiara, skłonna mi go zreperować na jutro rano."

Załadował z powrotem na wóz piecyk, który już wyciągnął z worka, i nakłoniwszy konia, żeby ruszył z miejsca, pojechał na poszukiwanie ofiary.

Ofiara siedziała jeszcze w warsztacie, zajęta porządkowaniem narzędzi pracy.

- Czy jest kowal? - spytał ostrożnie don Camillo, wchodząc do dużego pomieszczenia.

- Zamknięte! - odpowiedziała ofiara, nawet się nie odwracając.

- A to dopiero! - wykrzyknął don Camillo. - Jeżeli zamknięte, to jak tu wszedłem?

- Bezprawnie! - odparł niegrzecznie Peppone. - Więc możecie wyjść.

- No właśnie, wychodzę, ale zostawiam ci ten piecyk. Potrzebny mi na jutro rano.

Peppone zaśmiał się szyderczo.

- Piecyk, potrzebny na jutro rano? Jeżeli chcecie ogrzewać sobie siedzenie tym

piecykiem, to prędzej zdechniecie z zimna. - Piecyk jest nie dla mnie, lecz tylko dla dzieci z ochronki - wyjaśnił don Camillo. - Jeżeli nawet to nie jest w stanie cię poruszyć, to zabieram go z powrotem.

Peppone odwrócił się.

- I znowu zaczynamy spekulacyjkę polityczną, nawet z piecykiem, proszę księdza? - spytał sarkastycznie.

- Peppone, daj spokój polityce i pomyśl o zimnie. Postaraj się tak mi go zreperować, żeby posłużył przez tę zimę. Gdyby ci się udało, żeby na jutro w ciągu dnia był gotowy ...

- Niczego nie obiecuję! - burknął Peppone. - Możecie spróbować przyjść koło dziesiątej.

Don Camillo poszedł, a Peppone spuścił żaluzję z wielkim hukiem.

Następnego dnia koło dziesiątej don Camillo zamierzał posłać dzwonnika po piecyk, kiedy na plebanię wbiegł jakiś szaleniec. To był Bradoni.

- Proszę księdza - wysapał - piecyk!

- Piecyk?

- Tak, piecyk, który wczoraj podarowała księdzu moja żona.

Gdzie on jest?

- Zaniósłem go do kowala - wyjaśnił don Camillo. - Zaraz ma być gotów.

Mężczyzna wyglądał, jakby kompletnie oszalał.

- Piecyk? - wrzasnął. - Muszę go natychmiast zobaczyć! Don Camillo zarzucił na ramiona płaszcz i podążył za Bradonim, który wybiegł pędem.

Dogonił go przy samym warsztacie, ale nie zdołał powstrzymać. Peppone pracował przy imadle i spojrzał zaniepokojony na Bradoniego.

- Co się stało? - wymamrotał.

- Piecyk! - krzyknął Bradoni. - Piecyk, który przyniósł wam don Camillo.

- Nie ma się co tak gorączkować! - odparł Peppone. - Piecyk stoi tam, cały i śliczny. Bradoni podszedł do piecyka, zdjął pokrywę, otworzył drzwiczki i zajrzał niecierpliwie do wnętrza, a kiedy już dobrze popatrzył, wsadził tam rękę, a potem wciąż jeszcze niezadowolony, przewrócił go do góry nogami.

W końcu odwrócił się do Pepponea błady jak śmierć. - Moje rzeczy - powiedział.

- Wasze rzeczy? - spytał Peppone.

- Wsadziłem coś do piecyka - wyjaśnił podniecony Bradoni.

- Moja żona nie wiedziała o tym i podarowała piecyk don Camillovi. Spostrzegłem to dziś rano, kiedy poszedłem na strych.

Peppone rozłożył ręce.

- Bradoni, ja w tym piecyku znalazłem tylko rdzę i brudy.

- A ksiądz? - spytał Bradoni don Camilla.

- A co miałbym tam znaleźć? - wykrzyknął don Camillo.

- Gdybym coś znalazł, to bym wam odniósł bez waszego fatygowania się tutaj. Ja nawet nie patrzyłem na ten piecyk; tak jak mi go dała wasza żona, tak go tu przywiozłem.

Bradoni klapnął na stołek i wyglądał jak jedna rozpacz.

- Jeżeli coś było w środku, to mogło się zgubić w czasie drogi od waszego domu - odpowiedział Peppone.

Bradoni pokręcił głową.

- To niemożliwe! - krzyknął. - Ksiądz, zanim zabrał piecyk, wsadził go do worka. Worek był brudny, ale nie dziurawy.

Peppone zsunął czapkę na tył głowy.

- No więc zacznijmy od tego - powiedział - że piecyk przybył tutaj bez worka. Jesteśmy co do tego zgodni, proszę księdza?

- Moja żona przysięga, że ksiądz wsadził piecyk do worka! - upierał się Bradoni.

- Spokojnie! - przerwał don Camillo. - A kto mówi, że nie?

Wsadziłem piecyk do worka, kiedy go zabierałem od was z domu, ale wyjąłem, kiedy przyjechałem do siebie.

Peppone zawyrokował:

- Więc sprawa jest jasna: albo to coś jest w worku, albo zgubiło się w drodze z plebanii do warsztatu.

Bradoni spojrział z niepokojem na don Camilla. - Ma ksiądz jeszcze ten worek? - Jasne - odparł don Camillo. - Trochę go wytrzępałem przed złożeniem. Ale jeżeli to coś, co zgubiliście, jest małe, to możliwe, że zostało w worku.

- Małe! - wyjęczał Bradoni. - To było takie duże zawiniątko. Milion w dziesięcio-, pięcio- i jednotysięcznych banknotach.

Don Camillo i Peppone spojrzeli po sobie osłupiali.

- I wy wkładacie milion do starego piecyka na strychu, ryzykując, że szczury zjedzą wszystkie banknoty?

- Jakie tam szczury! - zawołał Bradoni. - Pieniądze były w blaszanej puszcze zamkniętej pokrywką i zawiązanej drutem. A puszka była dokładnie taka duża, jak dusza w piecyku, dokładniusięko, tak że musiałem walić w nią kołkiem, żeby ją wsadzić do samego końca. Nie mogła wylecieć sama, nawet jak się przewróciło piecyk, trzeba ją było wyciągać siłą.

Don Camillo pokiwał głową.

- Więc wszystko się uprościło - stwierdził. - Skoro puszka nie mogła wylecieć przez dziurę w czasie drogi, to znaczy, że wyciągnęliśmy ją z Pepponem.

- Ja tego nie mówię! - odparł Bradoni. - Ja mówię, że ktoś musiał ją wyciągnąć.

Peppone przedstawił swoje stanowisko:

- Jeśli chodzi o mnie - stwierdził - to od kiedy piecyk znalazł się tutaj, tylko ja go widziałem i dotykałem.

- Idem - skomentował don Camillo. - Od waszego domu do plebanii piecyk ten był oglądany i dotykany tylko przez niżej podpisanego. A więc są trzy możliwości: albo puszkę wyjąłem ja, albo Peppone, albo wyjął ją ktoś inny, zanim piecyk został mi oddany.

- To niemożliwe! - krzyknął Bradoni. - Pieniądze dostałem poprzedniego wieczoru w mieście, gdzie sprzedawałem cztery woły. Wsadziłem je do piecyka zaraz po powrocie do domu. I pieniądze leżały tam zaledwie parę godzin: od momentu, jak je wsadziłem, do momentu, kiedy ksiądz zabrał piecyk. Nikt mnie nie widział, jak je wkładałem do piecyka, bo żona i syn leżeli już w łóżkach. A klucz od strychu cały czas miała w rękach moja żona i kiedy o wpół do siódmej rano wyjeżdżałem na targ z synem, powierzyłem go jej i przykazałem, żeby nikomu go nie dawała. - Ja przyjechałem do was do domu o drugiej po południu - zauważył don Camillo. - Czy to możliwe, żeby między wpół do siódmej a czternastą ktoś zabrał klucz waszej żonie, a ona by tego nie spostrzegła?

- Nie - odparł Bradoni. - Pomijając, że była sama w domu, trzymała klucz cały czas w kieszeni.

Wtrącił się Peppone:

- Posłuchajcie no, Bradoni, nie chcę nic insynuować, ale czy przypadkiem wasza żona nie poszła poszperać na strychu? Rozumiecie mnie, kobiety są ciekawskie, jak usłyszała, że ma nikomu nie dawać klucza ...

Bradoni pokręcił głową.

- Nie, to nie ona. Gdyby to była ona, to by nie wytrzymała lania, jakie jej spuściłem, i wszystko by wyśpiewała.

Peppone zacisnął pięści.

- Posłuchajcie no - powiedział. - Ja w piecyku nic nie znalazłem i dość mam kłamstw. Idźcie opowiadać swoje historyjki sierżantowi karabinierów.

- Otóż to - uzupełnił don Camillo. - Idźcie do niego, bo inaczej ja to zrobię!

- Idę i to od razu! - wrzasnął rozwścieczony Bradoni. - Jeszcze zobaczymy!

Mężczyzna odszedł, wymachując rękami, a Peppone zwrócił się niegrzecznie do don Camilla:

- Nie mogliście kompromitować kogoś innego? - wrzasnął.

- Akurat mnie musicie wrabiać w swoje sprawy?

- Nie mam żadnych sprawek i w nic nikogo nie wrabiałem!

- odparł twardo don Camillo. - Miałem piecyk do zreperowania i zaniósłem go do kowala. Nie widziałem, co jest w środku. Tak jak go dostałem, tak go tu przyniosłem.

- A ja tak, jak go dostałem, tak go oddaję, pusty i bez worka!

Bez worka, żeby było jasne! A teraz zabierajcie sobie ten przeklęty piecyk i nie płąćcie się pod nogami.

- Ja go nie odbieram, a ty zostaw go tak, jak stoi, i niech go nikt nie dotyka. Teraz to on podlega wymiarowi sprawiedliwości i kto go ruszy, może się wplątać w przestępstwo. Don Camillo wrócił wściekły na plebańię i ledwo powiesił płaszcz na wieszaku, kiedy zapukano do drzwi.

Przyszedł sierżant.

- Proszę księdza - usprawiedliwiał się - przykro mi, że ksiądz jest zamieszany w tę nieprzyjemną historię ...

- Zamieszany? - bąknął don Camillo. - A co ja mam do tego?

Ja jestem przyzwoitym człowiekiem!

- Nikt tego nie podważa, proszę księdza, ale niestety w każdej sprawie wymiar sprawiedliwości wychodzi z założenia, że wszystkie osoby zamieszane są winne. Wszystkie, począwszy od tej, która utrzymuje, że jest ofiarą przestępstwa.

Don Camillo zaprotestował:

- Ja - wybełkotał - zacząłbym od przepytania żony Bradoniego. Tylko ona jedna może powiedzieć, jak się naprawdę rzeczy miały.

- Na nieszczęście ona właśnie jest jedyną osobą, która nie może być przesłuchana, ponieważ w ramach "przesłuchania", jakie zrobił jej mąż, dostała takie tęgie lanie, że znajduje się teraz w szpitalu ze wstrząsem mózgu. Słowem, proszę księdza: imię, nazwisko, imię ojca, data i miejsce urodzenia, zawód ...

Don Camillo poczuł się jak przestępca.

Ludzie we wsi, po zbadaniu całej sprawy z najwyższą starannością, po sprawdzeniu każdej rzeczy, która dała się sprawdzić, podzielili się na dwa obozy. Pierwszy głosił następującą tezę:

"Ten milion zakosił Peppone".

Drugi obóz utrzymywał: "Ten milion zakosił don Camillo". Oczywiście wersja antypepponeńska skupiała przeważającą większość, bo cóż mógłby uczynić z milionem biedny wiejski ksiądz? Czy jest we wsi jakiś nieszczęśnik, którego by bardziej kontrolowano niż księdza?

A kto kontroluje albo mógłby skontrolować partię? Czyż Peppone nie był jednym z tych fanatyków, którzy dla przysłużenia się partii, gotowi są iść na każde ryzyko? Czyż Stalin nie rabował w swoim czasie konwojów pocztowych, żeby wspierać sprawę i partię? Czyż fakt, że Stalin był rabusiem" w imię partii", nie był uznawany przez czerwonych za wielką zasługę, a nie za winę?

Wszystko zależy od punktu widzenia.

Peppone doskonale wiedział o wszystkim, o czym ludzie gadali, ale nic a nic to go nie ruszało, a fakt, że nie denerwował się i nie wrzeszczał, coraz bardziej niepokoił don Camilla.

Trwało tak przez pewien czas, aż do momentu, kiedy Peppone i don Camillo spotkali się twarzą w twarz.

Było to zimowym popołudniem, a spotkanie nastąpiło w odludnym miejscu; obaj mieli dubeltówki w dłoniach i patrzyli na siebie krzywo.

Pierwszy odezwał się Peppone.

- Proszę księdza - powiedział - jesteśmy tutaj sami we trójkę: ja, ksiądz i Pan Bóg. No więc, jeśli przed wami i przed Bogiem przysięgnę, że nigdy tych pieniędzy nie wziąłem i że nie wiem, kto mógł je wziąć, uwierzcie mi?

Było to tak niespodziewane i tak uroczyste, że don Camilla zamurowało i nie był w stanie znaleźć żadnego słowa w odpowiedzi.

Wreszcie znalazł jedno, króciuteńkie, ale wystarczające: - Tak.

Potem znalazł jeszcze inne, ale zupełnie niepotrzebne: - A jeżeli ja ci przysięgnę - zaczął.

- Nie musicie nic przysięgać - przerwał mu Peppone. - Ja wiem, że to nie wy.

Don Camillo stanął z rozdziawionymi ustami.

- Więc - wyjąkał - jeżeli to nie byłem ja, ani ty, to kto? Peppone rozłożył ręce.

- Bóg jeden wie.

Don Camillo wrócił do domu i pobiegł zwierzyć się Chrystusowi z głównego oharza:

- Jezu - zawołał podniecony. - To nie on! To nie Peppone. - Don Camillo - odparł Chrystus - mnie to mówisz? Czy ja kiedykolwiek mówiłem, że to Peppone?

- Ja też, Panie, nigdy tego nie mówiłem!

- Ale pomyślałeś.

Don Camillo spuścił głowę.

- Pomyślałem - przyznał. - I było mi bardzo przykro z tego powodu. Więc kto? Jeżeli pieniądze zniknęły, to chyba nie za sprawą Ducha Świętego!

- Z pewnością nie - stwierdził Chrystus.

Don Camillo nie mógł spać tej nocy; czuł że rozwiązanie jest w zasięgu ręki, a nie potrafi go uchwycić.

Następnego ranka poszedł do Peppone do warsztatu.

- Ja nie mogę się ruszyć - powiedział - ale ty mógłbyś skoczyć aż do samego Turynu.

- Do Turynu? - zdumiał się Peppone. - A cóż ja tam będę robił w tym Turynie?

Don Camillo wyłożył mu, co według niego powinien zrobić w Turynie.

- Nie byłoby lepiej porozmawiać z sierżantem? - miał obiekcje Peppone.

- Nie, powiedziec sierżantowi o Tiziu, znaczyłoby oskarżyć go, wzbudzić podejrzenia.

A jeżeli Tizio nie ma z tym nic wspólnego?

Peppone wyjechał do Turynu, wrócił po czterech dniach i udał się do sierżanta.

- Jestem tutaj jako strona w sprawie i nie przyszedłem donosić, ale bronię siebie i swojej reputacji, a także i proboszcza - wyjaśnił sierżantowi. - Syn Bradoniego poszedł do wojska. Przebywa w Turynie od trzech miesięcy i choć jest zwykłym szeregowcem, to wie życie wystawniejsze od niejednego generała. Zechcielibyście dowiedzieć się od niego, skąd bierze pieniądze? Albo skąd je wziął?

Bradoni syn, przesłuchany kilka dni później przez paru obrotnych gości z Turynu, powiedział, że pieniądze znalazł w piecu na strychu u siebie w domu.

- Potrzebowałem tych pieniędzy bardziej niż ojciec - wyjaśnił na koniec. - Potrzebuję różnych rzeczy, bo jestem młody, a ojciec niczego nie potrzebuje.

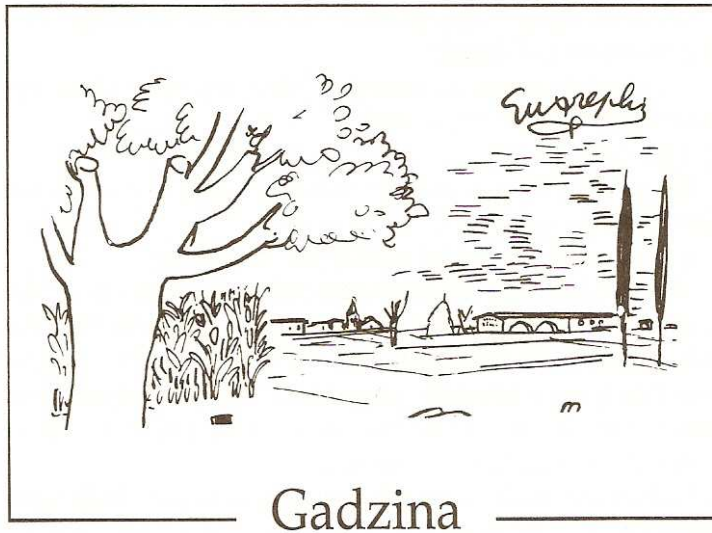
- A lanie, które dostała przez ciebie matka - spytał młodzieńca szef tych obrotnych gości z Turynu.

- Matki muszą się poświęcać dla dobra swoich dzieci - odpowiedział młodzieniec wzruszając ramionami. - Żyje się tylko raz!

Szef tych z Turynu kiwając głową przyznał mu rację:

- Rzeczywiście, synu, żyje się tylko raz. Ale nie jest powiedziane, że trzeba żyć jak łajdak.

Potem wymierzył mu pozaregulaminowy cios w szczękę. Ale cios tak czysty, tak dokładny, tak szlachetnie dostojny, że aż godny wpisania do kalendarza jako "Święty Policzek".



La Palanca, jedno z siedmiu osiedli należących do gminy pozostającej we władzy Peppona i Towarzyszy, była dokładnie taka sama jak sto innych osad na Nizinie.

Takie samo powietrze, takie same domy, tacy sami ludzie. Takie same głowy i takie same myśli.

A jednak, jeśli jakiś obcy przybędzie do La Palanki i zapyta miejscowego: "Czy tu jest La Palanca?" otrzyma odpowiedź w bardzo groźnym tonie: "Tak, a bo co?"

A potem, jak ten sam obcy wróci do wielkiej wsi i wyrazi swoje zdziwienie przed jakimś miejscowym, że tak dziwnie został przyjęty w La Palance, usłyszy wesołą odpowiedź: "No pewnie! Bo ci z La Palanki znani są z tego, że chcieli przesunąć dzwonnice" .

W ludowej tradycji włoskiej istnieje pięć czy sześć przeklętych historii, które od wieków królują na placach od najdalszej północy po najgłębsze południe.

Historie, których bohaterem jest cała wieś i z których każda służy do okrycia złą sławą całej wsi: "Ci z N. słyną z tego, że kazali wymalować na wieży zegar z trzynastoma godzinami!"

"A ci z M. z tego, że pomnik z brązu stojący na placu wyczyścili piaskiem, aż błyszczał!"

I tak dalej.

Bo tak już jest, że w każdym regionie, w skupisku osad, musi istnieć jedna "głupia wieś". I rzeczywiście, w każdej okolicy jest taka jedna.

W dziewięćdziesięciu dziewięciu przypadkach na sto chodzi o jakąś wieś, która nie uczyniła nigdy nic, co usprawiedliwiłoby łatkę przyczepioną jej przez ludzi z okolicznych wiosek, i w dziewięćdziesięciu dziewięciu przypadkach na sto jedyna wina nieszczęsnej wsi polega na tym, że ma śmieszna nazwę, która wykracza poza granicę wspólnoty.

La Palanca* miała śmieszniejszą nazwę od innych okolicznych miejscowości, więc to jej przydzielono rolę wsi, w której chciano przesunąć dzwonnice.

"Ci z La Palanki są słynni z tego, że zamierzali przesunąć dzwonnice" - powiedzą wam ludzie. "I żeby łatwiej się przesuwiała, rozrzuć wokół niej słomę, a potem zaczęli pchać dzwonnice. Ponieważ jednak wbijając nogi w słomę, ślizgali się po niej, mieli wrażenie, że dzwonnica drgnęła, więc wołali: «Dalej, mocniej, idzie!»

Dziecinna bajeczka, ale złośliwa. Ludzie kochają właśnie takie przekłete historyjki i jak już je raz komuś przyczepią, to nie można się ich pozbyć.

I tak właśnie przytrafiło się La Palance. Od ponad stu lat La Palankę gnębił kompleks słomy.

Pewnego razu podczas karnawału, kiedy jakieś łobuziaki z wielkiej wsi przyjechały do La Palanki na maskaradę, a przebraniem był jedynie wóz załadowany słomą, zrobiła się potworna awantura i wiele osób musiało jechać do szpitala zszywać sobie głowy.

W każdym razie ze wszystkich osad gminy zarządzanej przez Peppona, La Palanca była najsmutniejsza.

Ci z La Palanki, nawet najmądrzejsi i najbłyszotliwsi, byli w głębi duszy przytłoczeni "kompleksem słomy", który w sumie był najzwyczajszym i najprawdziwszym kompleksem niższości.

Skutkiem tego ci ludzie, niegdyś weseli i otwarci, stali się podejrzliwi i naburmuszeni.

- Jesteście z La Palanki?

- Tak, a bo co?

W każdym przybyszu, który interesował się La Palanką, jej mieszkańcy wyczuwali prowokatora.

A w przybyszu, który nie interesował się La Palanką, widzieli potencjalnego prowokatora, aż w końcu doszło do tego, że patrzyli podejrzliwie i wrogo na każdego, kto nie był z ich wsi.

La Palanca stała się najbardziej melancholijną wsią w całej okolicy. Najbardziej przeraźliwie monotonna, mimo że wśród jej mieszkańców byli ludzie z inicjatywą. Ale nikt nic nie inicjował, nikt nic nie organizował. Czuli na sobie tysiące oczu i wiedzieli, że gdyby jakieś ich przedsięwzięcie nie wypaliło, tysiące "obcych" rechotałoby złośliwie.

Najbardziej znieawidzonymi "obcymi" byli oczywiście ci z wielkiej wsi. Oni udawali ważniaków, niby miastowych, więc ich docinki były bardziej gorzkie i nie do przyjęcia dla mieszkańców La Palanki.

*Palanca - wł. pal, tyka

A na domiar złego doszły jeszcze dziewczyny. Dziewczyny z wielkiej wsi, które bardzo podobały się chłopakom z La Palanki, ale które śmiały się im prosto w nos, jak tylko dowiedziały się, że oni stamtąd pochodzą.

"Aha! To jeden z tych, co chcieli przesunąć wieżę!" - wołały "miastowe" z wielkiej wsi.

Chłopaki z La Palanki musieli więc zacząć ukrywać, że są jej mieszkańcami. Ale rywale z wielkiej wsi zawsze to wywęszyli. I wtedy dziewczyny, jeśli dotąd nie chichotały, to właśnie zaczynały.

Od ponad stu lat ci z La Palanki gryźli się z wściekłości, bo żywi wściekali się nawet za zmarłych mieszkańców. Od stu lat marzyli o zemście. Ale los nigdy się nie uśmiechnął do tych biedaków. I La Palanca stawała się coraz smutniejsza.

A każdy, kto stamtąd pochodził, zaczynał nienawidzić tej osady i wszystkich jej mieszkańców, tak jak to się dzieje, kiedy w jakimś momencie robotnik udęczony niewdzięczną pracą dochodzi do tego, że nienawidzi fabryki i wszystkich pracujących z nim robotników.

W tym roku, gdzieś w połowie lutego, w wielkiej wsi miało miejsce niesłychane wydarzenie.

Po miesiącach zimowego smutku wyszło znów słońce, roztopiło błyskawicznie śnieg i obudziło do życia wieś, która zdawała się być pogrążona w letargu.

W pierwszych godzinach pewnego ciepłego i jasnego popołudnia ludzie siedzieli sobie przed domami wygrzewając się na słońcu, kiedy nagle usłyszeli dziki wrzask.

Na plac wpadła grupka dzieci i wszystkie miały na twarzach przerażenie, i dyszały z wysiłku i ze strachu. Dzieciaki zatrzymały się przed kafejką pod portykami i jeden przez drugiego, wszystkie naraz, zaczęły mówić do ludzi siedzących przy stolikach, żeby wytłumaczyć, co się stało. Nic nie można było zrozumieć, więc Peppone ryknął: - Niech mówi jedno, a reszta cicho! Odezwał się jakiś dzieciak i powiedział, że widzieli wielkiego węża.

Peppone zaczął się śmiać i klepnął chłopaka po przyjacielsku.

Ale pozostali z bandy upierali się przy swoim. Wcale im się nie śniło, to czysta prawda.

Zresztą wystarczyło się przejść sto metrów i z łatwością sprawdzić: w słońcu, na gruzach budynku, który dawno temu był rzeźnią, wygrzewał się wielki wąż.

Przybiegły też z piskiem trzy czy cztery kobieciny; one również widziały węża i jedna z nich, po zdaniu relacji, klapnęła zemdlona w objęcia obecnego tu ludu. Peppone poszedł to sprawdzić, a za nim podążyli obywatele. Oto i gruzy starej rzeźni; Peppone powoli, niezauważalnie zwolnił kroku. Kiedy zbliżył się na dwadzieścia metrów, raptownie stanął.

Na szczycie kupy gruzów błyszczało w słońcu coś obłego i śliskiego.

- Wąż! - wrzasnęły dzieciaki.

Gad, jakby poirytowany hałasem, poruszył się, a ludziom zmroziło krew w żyłach.

Podczas gdy inni stali nieruchomo, Peppone podszedł jeszcze parę kroków.

Teraz widział węża doskonale: musiał być długi na kilka metrów i gruby jak potężne ramię.

Bestia poruszyła się nieznacznie i znów zastygła.

Ekipa śmiazków, prowadzona przez Chudego, podeszła do Peppona i dłuższy czas przyglądała się potworowi.

- W życiu nie widziałem podobnego węża i to takiego granatowocznego - powiedział w końcu Chudy. - To prawdopodobnie wąż, który uciekł z objazdowego cyrku.

Faktycznie jakiś objazdowy cyrk zatrzymywał się w okolicy przed dwoma miesiącami i miał tam lwy, tygrysy, małpy i węże.

Ten wielki wąż musiał stamtąd uciec, a potem łatwo znalazł bezpieczne schronienie w kupie gruzów. Tu przezimował zapadając w letarg, a teraz obudził się i wylazł, żeby wygrzać sobie grzbiet.

W każdym razie, bez względu na to, jak się tu dostał, stwarzał niebezpieczeństwo i należało natychmiast zacząć działać, póki jeszcze potwór nie zaszył się w swojej kryjówce.

Peppone mruknął coś do Chudego, a ten pomknął jak strzała. W tej samej chwili zjawił się don Camillo, który po ostrożnym wypyтaniu widzów z pierwszego rzędu, wysunął się naprzód i stanął obok Peppona. Przyjrzał się dokładnie potworowi błyszczącemu w słońcu i odwróciwszy się w stronę Peppona, spytał:

- Jakiś towarzysz uciekł z sekcji?

Nie, to jakiś ksiądz, który uciekł z seminarium - odparł ponuro tamten, nie zaszczycając go nawet spojrzeniem.

Wrócił Chudy.

- Szefie! -zawołał, pokazując dubeltówkę i ładownicę. Peppone podszedł do niego, wybrał dwa naboje i załadował broń. Nagle wystąpił jakiś staruszek.

- Panie wójcie - powiedział. - Mam nadzieję, żeście nie zgłupieli, żeby do niego strzelać!

- A niby co miałbym zrobić? Zaśpiewać mu serenadę? - odparł Peppone.

- Nie wolno - stwierdził drugi staruszek. - Jak się strzela do węża, to pękają lufy.

- Dostyc tych głupstw! - burknął Chudy. - Co mają węże do strzelb? Jest jakiś związek?

- A między księżycem a winem jest jakiś związek? - spytał trzeci staruszek.

- Nie - odparł Chudy. - I co z tego wynika?

- To z tego wynika, że jeżeli nie rozleje się wina do butelek po pierwszej środzie od pełni księżyca, to wino skisnie.

- Resztki średniowiecznej ciemnoty! - zachichotał Peppone, który bez pogodnego księżyca nie rozlałby wina w butelki, nawet gdyby mu przystawiono pistolet do pleców.

Złożył dubeltówkę, podszedł w stronę kupy gruzu, ale powstrzymał go krzyk:

- Giuseppe, nie rób głupstw! Nie można strzelać do węży! To była jego żona, która przybiegła w ostatnim momencie, i dowiedziawszy się pokrótce o całej sytuacji, natychmiast objęła dowodzenie akcją.

- Siedz cicho i idź do domu! - odpowiedział jej z wściekłością Peppone.

Ale widać było, że nie miał już takiej pewności siebie, jak przedtem, i zaczął się pocić.

Opowiadka o tym, że jak się strzela do węży, to pękają lufy, była bajką tylko do pewnego stopnia, bo w ten właśnie sposób przed dwudziestoma laty skończyło się dla Veroli strzelanie w lesie do węża.

Tymczasem godzinie widocznie znudziło się czekać i poruszyła się leciutko. Peppone musiał strzelić za wszelką cenę. Kiedy podnosił broń do ramienia, usłyszał głos don Camilla: - Towarzyszu, pozwólcie mnie, ja nie wierzę w średniowieczne przesady. A poza tym nie mam żony i dzieci.

- Chybabym pękł tysiąc razy, gdybym miał dać wam tę satysfakcję! - odpowiedział Peppone.

- Daj spokój! - poradził don Camillo, kładąc mu rękę na ramieniu. Ale tamten wyrwał się, jednym susem skoczył na szczyt i wypalił atomowy dublet w węża.

Potwór poderwał się, ale Peppone ogarnięty szaleństwem załadował błyskawicznie i wystrzelił drugi dublet.

Potem trzeci, potem czwarty.

- Załatwiony - poinformował don Camillo. - Kule kompletnie go wypatroszyły. Panie wójcie, uratował pan wieś!

Potem wspiął się na szczyt gruzów, pochylił nad nieruchomą skórą, złapał ją i ciągnąc za sobą zszedł na dół.

Ludzie cofnęli się instynktownie ze strachu, a potem, kiedy spostrzegli, że to gruby gumowy wąż od cysterny, pobrudzony naftą i smarami, postąpili krok naprzód.

Peppone zrobił się blady jak trup.

- Chciałbym dostać w ręce tego łotra, który wykombinował taki dowcip! - krzyknął.

Ale to nie był żaden dowcip i prawda wyszła na jaw parę godzin później, kiedy kierowca ciężarówki, Giarini, przyznał się niewinnie w kafejce, że poprzedniego wieczoru wyrzucił na kupę gruzów tego starego, kompletnie wysmarowanego gumowego węża.

Tymczasem jednak co się stało, to się nie odstanie, dlatego też należało podjąć natychmiast środki zaradcze.

Peppone posłał po trzech korespondentów i zrobił im szybki i klarowny wykład:

Jeżeli ta historia wypłynie w gazetach, będziemy mieli ze sobą na pieńku i skręcę wam karki.

Cała wieś zmobilizowała się w jednej chwili i nie trzeba było żadnych wytycznych; wszyscy wiedzieli sami, co mają robić: siedzieć cicho i udawać, że nic się nie stało.

Czy chodziłoby tu o Peppona, czy o kogokolwiek innego, istota rzeczy nie ulegała zmianie. Zagrożone było dobre imię wsi. Gdyby ktoś z mieszkańców nie dopełnił swojego obowiązku, ucierpiliby wszyscy.

Gdyby zaś ludzie z okolicznych wiosek dowiedzieli się o tym, co zaszło, to mieszkańcy wielkiej wsi byłiby załatwieni po wsze czasy. Nazwano by ich "tymi od węża"!

Ale w wielkiej wsi wydarzyło się coś cudownego: zniknęły wzajemne niechęci i interesy frakcyjne. Wszyscy mieszkańcy połączyli się automatycznie w jednym granitowym bloku.

I nikt nic nie mówił, nikt nawet nie napomknął słowem o przygodzie z wężem, kiedy w trzy dni od tego wydarzenia, przerażająca wieść rozeszła się po wsi lotem błyskawicy.

Peppone nie wahał się ani chwili i poleciał na plebanię.

- Proszę księdza! - wykrzyknął podniecony. - Teraz wszyscy musimy być jednomyślni i każdy bez dyskusji musi spełnić swój obywatelski obowiązek!

- Tak jest! - odparł don Camillo. - Więc bierzcie rower i lećcie do La Palanki. Za trzy dni jest parada karnawałowa i dowiedzieliśmy się, że tamci wezmą w niej udział z alegorycznym wozem.

Don Camillo spojrział na niego zdumiony. - A co w tym złego?

- To w tym złego, że ci z La Palanki zrobią wóz alegoryczny, który przedstawia węża! I podczas pochodu zaśpiewają pieśń, która opowiada o historii z wężem.

Don Camillo pokiwał głową.

- To ci dopiero ambaras - mruknął. - Z drugiej strony można było się tego spodziewać. Nie da się utrzymać w tajemnicy takiego śmiesznego wydarzenia.

- Proszę księdza! - wrzasnął Peppone. - Mówię księdzu, że jeżeli ci z La Palanki zaprezentują się tutaj z podobnym zaprzęgiem, to zrobi się jatka! Nie będziemy w stanie przełknąć podobnej zniewagi. Tylko wy możecie ich przekonać, żeby odstąpili od podobnego zamiaru. Jeżeli ja tam pojedę, to skończy się na tym, że zabiję z piętnastu czy szesnastu.

- Nie ma potrzeby, towarzyszu - napomniął go don Camillo.

- Wystarczy, że zabiłeś węża.- Wstydzilibyście się! - warknął Peppone. - Pamiętajcie, że gdybym was posłuchał, to węża zabilibyście wy, a nie ja! A zresztą moralnie to wyście go zabili, bo staliście u mojego boku!

Don Camillo włożył płaszcz, siadł na rower i pojechał do La Palanki.

Był tam dwa tygodnie wcześniej i miał jeszcze w pamięci najsmutniejszą, najbardziej ponurą i najbardziej melancholijną wieś na świecie. Wieś zamieszkałą przez ludzi ponurych, nadętych i mrukliwych.

Kiedy przybył na miejsce, pomyślał, że zmylił drogę, bo znalazł się w śmiejącej się i radosnej wsi, pełnej uśmiechniętych ludzi, serdecznych i jowialnych.

I strasznie czymś zaabsorbowanych.

Wydawało się, że domy też są inne: inne pod względem kolorystyki, inne pod względem architektury. Miały wręcz kokieteryjny wygląd.

Wieś odbudowana. Wieś odrodzona.

Don Camillo spytał o proboszcza.

- Jest na posiedzeniu spółdzielni komunistycznej - odpowiedziano mu.

Don Camillo pomyślał, że się z niego nabijają, ale kiedy wystąpił jakiś staruszek i powiedział, że go może zaprowadzić, zrozumiał, że to na poważnie.

Po dotarciu do spółdzielni oparł rower o ścianę i wszedł ostrożnie; znał tę wielką salę w gospodzie jako siedlisko czerwonych z La Palanki, którzy należeli do najbardziej zajadłych komunistów.

Ledwo wszedł do środka, jego oczom ukazał się niezwykle widok; wokół wielkiego stołu zastawionego butelkami siedzieli w najlepsze najważniejsi ludzie ze wsi: proboszcz, klerykałowie, monarchiści, republikanie, faszyci, socjaliści i komuniści. Biedni i bogaci, starzy i młodzi, demokraci i antydemokraci, postępowcy, konserwatyści i wstecznicy. Don Camillo nie miał odwagi wejść dalej. Zrobił ostrożnie w tył zwrot i kiedy znalazł się z powrotem na dworze, posłał jakiegoś przechodzącego młodzieńca, żeby wywołał proboszcza.

Po chwili proboszcz wyszedł.

- O, nasz don Camillo! - wykrzyknął, ściskając mu serdecznie dłoń. - W czym mogę księdzu pomóc?

- Chciałbym porozmawiać o wspólnym zorganizowaniu majowej procesji - wykrztusił don Camillo, żeby tylko coś powiedzieć.

- Niech mi ksiądz wybaczy, don Camillo - odparł tamten.

- Sam wpadnę do księdza w najbliższych dniach. Będziemy mieć wtedy mnóstwo czasu. A teraz muszę natychmiast wracać na zebranie. Mamy podjąć ostateczne decyzje. To teraz najważniejsze.

Don Camillo rozłożył ręce, a tamten, wciąż niesamowicie podniecony, przybliżył się:

- Nie mogę księdzu podać szczegółów. Ale zobaczycie w niedzielę! W niedzielę!

- Rozumiem - odparł don Camillo. - Ale nie wydaje się księdzu, że ta zabawa może stać się niebezpieczna? Znam ludzi z wielkiej wsi. Nie chciałbym, żeby wyniknęła jakaś bieda.

- Jaka bieda? A dlaczego? - krzyknął proboszcz. - Czekamy na to od stu lat! Od stu lat wieś cierpi w milczeniu. Sto lat znoszenia prowokacji, wyzwisk, poniżenia. Mamy prawo, czy nie, żeby też powiedzieć swoje zdanie?

Don Camillo nie nalegał.

- Postarajcie się tylko nie przedobrzyć - poradził nieśmiało.

- Niech ksiądz będzie spokojny! - wykrzyknął proboszcz.

- My z La Palanki mamy głowy na karku, nie tak jak ci od węża!

Don Camillo pojechał prosto do warsztatu Peppona.

- Nic się nie da zrobić, towarzyszu. W niedzielę wezmą udział w paradzie na wozie z wężem.

- Nie pozwolimy im nawet wejść do wsi - odparł rozwścieczony Peppone. - Pozwolicie - stwierdził don Camillo. - Ci z La Palanki nie są już tacy jak dawniej. Nie poznałem nawet wsi. Wydaje się jakby nowa. i ludzie się odmienili.

Don Camillo opowiedział o tym, co zobaczył w La Palance i zakończył:

- Wąż pozwolił im odnaleźć poczucie jedności. Od proboszcza po największego czerwonego ekstremistę, od obszarnika po ostatniego wyrobnika - ludzie w La Palance to granitowy blok. Tak bardzo się kochają, że byłoby zbrodnią starać się zepsuć tę radosną atmosferę.

Peppone zacisnął pięści.

- Więc niech robią, co chcą, ale jeżeli w niedzielę popłynie krew, to nie z naszej winy!

Potem zastanowił się chwilę i zmodyfikował program:

- Jeżeli oni odnaleźli poczucie jedności, to my też je odnajdziemy. Dziś wieczór zwołamy generalne zgromadzenie i podejmiemy kroki zaradcze.

Jeśli idzie o planowane środki zaradcze, to starzy i młodzi, czerwoni i czarni, kobiety i mężczyźni byli zgodni co do tego, żeby na wszelki wypadek wybudować w trybie pilnym alegoryczny wóz zatytułowany: "Triumf słomy".

W niedzielę na maskaradowym pochodzie w wielkiej wsi byli wszyscy z La Palanki.

Nawet dziewięćdziesięciosiedmioletnie staruszki, nawet chorzy.

I wszyscy zachowywali się wzorowo; kiedy zobaczyli, jak defiluje wóz słomy, udali, że go nie widzą.

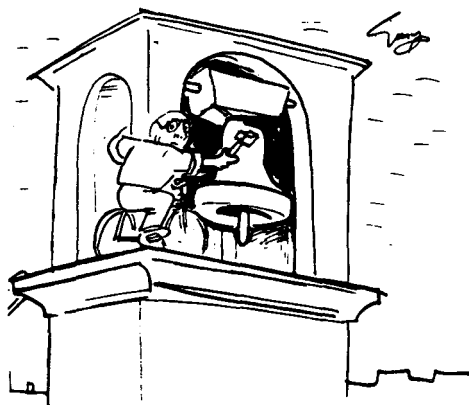
A ci z wielkiej wsi, kiedy zobaczyli wóz z napisem "Polowanie na węża", wcale nie byli gorsi.

Wóz był prawdziwym arcydziełem: olbrzymi wąż wyglądał, jakby go zrobiono z rur od piecyków. Otwierał i zamykał groźnie szczęki, a wokół stały dzieci przebrane za myśliwych i strzelały do niego, robiąc groźne miny. Piosenka (wóz był wyposażony w głośnik) objaśniała wszystkie szczegóły zdarzenia.

Nawet i ten dotyczący poruszania się węża, że niby w rurze była para zakochanych kotów albo coś w tym rodzaju.

Gelinda Beghini, lat dziewięćdziesiąt siedem, najstarsza kobieta z La Palanki, kiedy zobaczyła przejeżdżającego "Węża", wzniosła oczy ku niebu i westchnęła:

- A teraz Panie spraw, żebym umarła, i to nawet zaraz, to umrę zadowolona.



Akcja związkowa

Manecchia, nowy dzwonnik, znał się na rzeczy i kiedy zaczynały wydzwaniać kuranty, ludzie przestawali pracować i rozmawiać, i stawali nieruchomo z nosami zadartymi w stronę dzwonnicy, póki nie skończył się koncert.

Manecchia był spokojnym człowiekiem, który wypowiadał tylko niezbędne słowa, więc również i tym razem okazał się nad wyraz zwięzły:

- Proszę księdza - zakomunikował don Camillovi - dziesięć tysięcy rocznie to za mało.

- Zgoda - odparł don Camillo. - Ale oprócz dziesięciu tysięcy lirów pensji macie jeszcze inne źródła dochodów.

- To za mało. Nawet z innymi dochodami - odparł Manecchia. Don Camillo rozłożył ręce.

- Nie mogę ci dać więcej. Sam widzisz, jak żyję.

- Wiem o tym i o nic księdza nie proszę. Chciałem tylko uprzedzić, że miałbym ochotę porozmawiać z tymi z gminy. - To idź, Manecchia. Masz prawo. Manecchia pomaszerował prosto do magistratu i kazał się przyjąć przez Peppona.

- Panie wójcie - zaczął, jak tylko znalazł się przed biurkiem Peppona - dziesięć tysięcy lirów rocznie to mało.

- To mało - odparł Peppone, który spodziewał się ataku i był przygotowany - ale to zawsze dziesięć tysięcy znalezione na ulicy. - Ja zarabiam na swoją pensję - uściślił Manecchia.

- Moja praca jest taka sama jak innych.

- Myślałby kto! - zawołał ze śmiechem Peppone. - Wielka mi praca walić w dzwon w południe.

- Ja nie dzwonię tylko w południe - zaprotestował Manecchia.

- Z całego twojego dzwonięcia - odparł twardo Peppone - jedyne dzwonięcie, jakie może mnie interesować jako obywatela, to jest to na południe. Natomiast inne bicia w dzwony interesują jedynie księdza i niewielką mniejszość klerykałów.

- Oprócz dzwonięcia muszę nakręcać zegary i dbać o nie - powiedział Manecchia.

- Nie zegary - sprecyzował Peppone - tylko zegar na dzwonnicy. O zegar w magistracie sami się troszczymy.

- Bo sami tak chcecie. Ja wciąż co tydzień zgłaszam się tutaj, żeby nakręcić i przeczyszczyć wasz zegar i wciąż odpowiadają mi, że nie ma potrzeby, że już zrobione.

- No jasne! - zaśmiał się Peppone. - My nie potrzebujemy księzkowskich szpiegów w naszym domu.

- Nie jestem szpiegiem, tylko dzwonnikiem. A pensja, jaką mi dajecie jako dzwonnikowi, jest za mała.

- Gmina daje ci dosyć. Jak ci mało, to niech ci ksiądz dołoży. Manecchia poszedł sobie.

Zdarzyło się to w poniedziałek o godzinie dziesiątej.

O dwunastej tego dnia dzwon nie zadzwonił na południe. Don Camillo usłyszał dwanaście uderzeń starego zegara w jadalni, ale na próżno czekał na potwierdzenie z dzwonnicy.

Sprawdził godzinę na dużym roskoffie, który nosił w kieszeni kamizelki, było już po dwunastej.

Wyjrzał więc przez okno wychodzące na dziedziniec i gromkim głosem przywołał Manecchię. Ten zjawił się natychmiast.

- No i co? - zawołał don Camillo. - Na co czekasz z dzwonieniem na południe?

- Czekam, aż będzie południe - wyjaśnił Manecchia, pokazując na zegar na dzwonnicy.

Don Camillo spojrzał w górę i zobaczył, że zegar na wieży pokazuje dziesiątą piętnaście.

- Jak zegar pokaże dwunastą, będę dzwonił na południe. Don Camillo zaniepokoił się.

- Manecchia - wymamrotał w końcu. - Nie zauważyłeś, że zegar stoi?

- Oczywiście - odparł dzwonnik. - To ja go zatrzymałem.

- A dlaczego?

- Wójt nie przyznał mi podwyżki, więc strajkuję.

Don Camillo stracił cierpliwość, odszedł od okna i wybiegł na podwórze.

- Manecchia! - wrzasnął, łapiąc dzwonnika za kołnierz. - Idź nastaw zegar. Takich błazeństw tu się nie robi.

Manecchia nie spieszył się.

- Ładna historia - skomentował. - Proboszcz pomaga komunistycznemu wójtowi w oszukiwaniu biedaka.

- Ja nikomu nie pomagam - odparł don Camillo.

- Więc niech mi ksiądz pozwoli dochodzić moich praw.

Don Camillo puścił kołnierz dzwonnika.

- W porządku - burknął. - Mimo wszystko zegar mogłeś zostawić, żeby chodził; ten nie idzie, a zegar gminny w dalszym ciągu działa.

- Zegar gminny jest popsuty, proszę księdza,

- Popsuty, a to od kiedy?

- Od dziesiątej siedem dzisiejszego ranka. Od czasu, kiedy przed wyjściem z urzędu, poszedłem wyjąć trzy tryby, które schowałem w pewnym miejscu, tylko mnie wiadomym.

- Wasza sprawa - burknął don Camillo. - Załatwajcie to między sobą. Pod wieczór don Camillo natknął się "przypadkiem" na Pepponea.

- Panie wójcie - rzekł mu z uśmiechem - co pan sądzi o tym strajku generalnym dzwonników?

- To raczej co mości proboszcz o tym sądzi? Jeżeli się nie mylę, to ta klasa zależy bezpośrednio od księdza.

- Myli się pan, panie wójcie. Prawdą jest, że gmina wypłaca pensję dzwonnikowi. I jest ona nędzniuteńka.

- Nawet za duża, jak za taki piękny pożytek, jaki z niego mamy. Wie ksiądz, co mu na to powiem? Że bez tego piekielnego hałasu dzwonów, żyje się naprawdę dobrze.

- Niezbyt pana rozumiem, panie wójcie. Zegary, które nie chodzą, działają nieco przygnębiająco. I fakt, że nie słyszy się tych samych co zawsze dźwięków w południe, wprawia w jeszcze większe przygnębienie.

Peppone wzruszył ramionami.

- Nawet tego nie zauważyłem. Ale jeżeli księdzu to przeszkadza, to czemu ksiądz sam nie pociągnie za sznury w południe?

Don Camillo wznosił ręce do nieba.

- Nie odważyłbym się nigdy przeciwstawiać słusznym żądaniom wyzyskiwanego pracownika. Chylę czoła przed najśluszniejszym strajkiem związkowym.

Peppone spojrział na niego zdeglustowany.

- Mości księżo - zawołał - w tym waszym dzwonniku, to że związkowego jest tylko fakt, że chodzi tu o nędzny manewr zorganizowany przeciwko władzy związkowej.

Wcisnął kapelusz na oczy i odwróciwszy się plecami do don Camilla, poszedł sobie. Po trzech krokach odwrócił się i rzekł: - Żeby było jasne: odpowiedzialność za całą tę błazenadę spadnie na księdza.

- Nie na mnie, tylko na tego, kto odmówił podwyżki temu biedaczynie.

I don Camillo nie mylił się; strajk dzwonnika został uznany przez ludność wsi za niezłą gratkę i nazajutrz na murach znalazły się przyczepione odezwy tego rodzaju:

OBYWATELE!

Poprzyjcie słuszne żądania pracowników dzwonnictwa wykorzystywanych przez administrację komunistyczną!

TOWARZYSZE

nawet jeżeli sprawiliście, że stanęły wasze zegary, to i tak nadejdzie dla was godzina wyrównania rachunków!

PEPPONE

przeszkadzał ci dzwon, bo dzwonił DIN-DAN-DON-GO?

Peppone i towarzysze przyjęli to z pozoru wesoło. Ale faktycznie wściekli się.

I rozeźliło ich jeszcze bardziej, kiedy o jedenastej pięćdziesiąt tego samego wtorku, plac zapęłnił się ludźmi, którzy spoglądali w górę na zegar czekając, żeby wybiło południe. Doskonale wiedząc, oczywiście, że dzwony nie odezwą się.

W środę rano Peppone wstał z łóżka ożywiony mocnym postanowieniem i o jedenastej trzydzieści, kiedy zobaczył, że plac znów zaczyna wypełniać się tłumem, wyleciał pędem z magistratu i pognał na plebanię, a za nim Chudy.

Po dotarciu na miejsce, zapukał; drzwi otworzył mu osobiście don Camillo.

- Dzwonnik! - ryknął Peppone.

- To nie ja - odparł uśmiechając się don Camillo. - Ja jestem proboszczem. Dzwonnik mieszka w tamtych drzwiach po prawej. - Wiem, ale nie chcę go oglądać, bo stracę cierpliwość. Niech ksiądz pójdzie mu powiedzieć, żeby przestał, bo ten żart za długo już trwa.

- Do usług, panie wójcie - odpowiedział don Camillo. Manecchia utrzymywał się pracując jako szewc i jego warsztat znajdował się w oficynie dobudowanej do plebanii.

Don Camillo zaniósł poselstwo dzwonnikowi i załatwił sprawę w kilka minut.

- Panie wójcie - wyjaśnił po powrocie. - Przekazałem pańską propozycję co do słowa. Manecchia odpowiedział, że to nie żadne żarty, tylko regularna akcja związkowa. Powróci do swojego zajęcia, jak tylko zostanie przyznana mu podwyżka, jakiej żąda.

Peppone zacisnął pięści i już miał odpowiedzieć, ale w tym momencie Chudy pokazał na zegarek. Do południa brakowało minuty.

Peppone zerwał się; wielkimi krokami dotarł do drzwiczek od dzwonnicy i wszedł. Potem złapał za pierwszy lepszy sznur i na swój sposób wydzwonił południe.

Nawet nieźle sobie z tym poradził, na tyle nieźle, że kiedy wyszedł na zewnątrz, to ludzie, którzy tymczasem zeszli się na dziedziniec, spoglądali na niego z niejakim szacunkiem.

Ale na progu swojego warsztatu stał Manecchia. - Ty łamistrajku! - krzyknął.

Peppone, otoczony natychmiast przez sztab generalny, zdołał się opanować i Manecchia

był uratowany.

Ludzie zgromadzeni na przykościelnym placu mieli wielką ochotę zacząć chichotać, ale zanim zaczęli, przezornie poczekali, aż Peppone sobie pójdzie.

Wiele się jednak nie naśmiali, bo po dziesięciu minutach zjawił się Chudy w towarzystwie jakiegoś młodzieniaszka z Molinetta. - Mości proboszczu - wyjaśnił autorytatywnie. - Ponieważ zegar na dzwonnicy jest sprawą publiczną, pan wójt zadysponował, że ten młodzieniec uruchomi go i będzie dzwonił na południe.

Don Camillo wzruszył ramionami.

- Dzwonnica stoi tutaj - odparł. - Fale vobis. Ja nie chcę mieszać się do spraw związkowych.

Chudy przekręcił daszek czapki w lewo i uściślił:

- To nie jest sprawa związkowa, mości proboszczu. To jest typowy przykład strajku politycznego. To znaczy zorganizowanego jedynie dla spekulacji politycznej.

- Niech ci będzie, młodzieńcze - odparł spokojnie don Camillo. - Ja się na tym nie wyznaję. Nie jestem ani agitatorom związkowym, ani politycznym.

Chudy zarechotał.

- Działalność księdza dobrze jest znana - powiedział. - I tak samo księdza zamiary. W każdym razie może być ksiądz pewny, że ten wyskok z dzwonnikiem nie udał się. Odwrócił się do chłopaka z Molinetta i wskazał mu drzwiczki od wieży.

- Idź na górę i nastaw zegar, krzyknę ci z dołu dokładną godzinę.

Wyciągnął zegarek, ale zaraz musiał go schować na swoje miejsce, bo chłopak z Molinetta nie mógł otworzyć drzwiczek od wieży.

- Są zamknięte od środka na łańcuch - burknął. Chudy odwrócił się do don Camilla.

- Proszę księdza, nie mylę się? Są jakieś drzwi między zakrystią a dzwonnica?

- Nie mylisz się.

- Czy mógłby mi ksiądz oszczędzić wyważania drzwi i posłać kogoś, żeby otworzył łańcuch?

- Służę - odparł don Camillo, kiwając na jakiegoś chłopaczka. Parę minut później drzwiczki otworzyły się i młodzieniec z Molinetta wszedł do wieży. Po chwili wyszedł i wzburzony zaczął szeptać z Chudym.

Chudy poszedł przeprowadzić wizję lokalną za drzwiczkami. Pojawił się po jakimś czasie i ze złośliwym uśmiechem na ustach powiedział:

- Proszę księdza, jakiś dowcipniś wciągnął drabinkę i zamknął pierwszy podest. Ma ksiądz pojęcie, kto to mógł być?

Don Camillo nie musiał odpowiadać, bo właśnie wszyscy zaczęli spoglądać w górę

chichocząc.

Przez okno pomieszczenia, gdzie znajdowały się dzwony, wyglądał Manecchia. I zrobiwszy z rąk tubę, wyjaśnił z góry sytuację:

- Teraz ja tu jestem. A póki tu jestem, nikt nie ruszy zegara ani dzwonów.

Faktycznie wyglądało na to, że Manecchia ma słuszość; wciągnął wszystkie drabiny, pozamykał klapy od wszystkich podestów i odczepił sznury od wszystkich dzwonów.

Chudy spojrzał z nienawiścią na don Camilla, ale ten ani drgnął.

- Drogi synu - wyjaśnił don Camillo. - To wcale nie ja nauczyłem strajkujących okupować fabryki.

- Ksiądz z pewnością nie! - wykrzyknął Chudy. - Ksiądz za to nauczył tych wyzyskiwaczy, przemysłowców, używać wozów pogotowia policyjnego.

- Synu - tłumaczył łagodnie don Camillo - posłuchaj mnie troszeczkę; w takim przypadku, jak ten, jak można skłonić tego szaleńca, by zszedł z dzwonnicy, jeżeli nie poprosi się o interwencję policji albo sierżanta karabinierów?

- Mamy bardziej demokratyczne sposoby, mości pałacie! Chudy ze współnikiem poszli sobie, a na placu zostali ludzie, żeby się trochę nacieszyć przedstawieniem.

Ale Manecchia po przekazaniu komunikatu schował się i nie wystawił więcej głowy. Wołali go, lecz nie odpowiadał. To był poważny człowiek i nie lubił błazenady.

W czwartek rano Peppone wyszedł z domu ze złym przeczuciem. I bardzo szybko przekonał się, że jego obawy nie były bezpodstawne. W ciągu nocy ci sami co zwykle dranie zapaskudzili połowę wsi odezwami i napisami na murach:

OBYWATELE

zdradzeni przez czerwonych łamistrajków pracownicy dzwonnictwa, zmuszeni zostali do ostateczności, gotowi bronić do końca swojego bytu i swojej wolności.

OBYWATELE

wspomóżcie bohaterski opór oblężonych pracowników. Złóżcie swoje dary Komitetowi Oporu Dzwonnicy.

OBYWATELE

dziś rano, o godzinie dziesiątej trzydzieści pięć, wszyscy na plac z pierwszą "zrzutką" ...

Peppone nie poszedł na plac. Tylko Chudy, który asystował przy pierwszej "zrzutce" artykułów żywnościowych zwykłych i delikatesowych. W ciągu nocy "Komitet Oporu Dzwonnicy" miał pełne ręce roboty; Manecchia spuścił jeden ze sznurów od dzwonów i wciągnął pierwszą część "machiny do darów".

Druga część została zamocowana na zewnątrz, do okienka na mansardzie w domu Manecchiego. Były to po prostu dwa bloczki połączone ze sobą grubym sznurem; jedno z tych znanych urządzeń, z jakich korzystają mieszcuchy, żeby rozwiesić pranie między ścianami podwórka.

"Kolejka linowa", łącząca pomieszczenie z dzwonami z domem Manecchiego, została zainstalowana przez noc. I punktualnie o godzinie dziesiątej trzydzieści następnego ranka zaczęła działać.

Ludzie śledzili powietrzną podróż każdej paczki, wnosząc entuzjastyczne okrzyki. Kiełbasy, butelki wina, bochenki chleba, papierosy, koce.

- Jeszcze trochę, a i ja tam pójde na górę! - zawołała w pewnej chwili żona Manecchiego, która ze swojego domku nadzorowała akcję "zrzutów".

Zabawa trwała aż do południa i Manecchia w końcu podziękował, machając chusteczką.

Potem wycofał się z godnością.

Dokładnie o szóstej wieś doznała wstrząsu; zegar na wieży wybił jeden raz.

Po pierwszym uderzeniu nastąpiło jedenaście dalszych i zaraz po dwunastym, dzwony zaczęły dzwonić radośnie na południe.

Teraz zegar chodził i dokładnie o szóstej wskazywał dwunastą.

O siódmej zegar wybił dwa razy. O dziesiątej wieczór sześć pełnych uderzeń i jedno małe na pół godziny.

A wtedy kurant wygrał Królewianka emilianka.

O drugiej w nocy jedenaście uderzeń, a co za tym idzie kurant grający: Nie mogę dłużej spać ni odpoczywać - kobiety to diabllice ...

Potem spokój.

Pierwszy z mieszkańców wsi, który wyszedł z domu w piątek rano, spojrzął na zegar i zobaczył, że jest dziewiąta.

A była piąta.

Więc o ósmej rano na zegarze była dwunasta i kiedy zamilkło ostatnie uderzenie, dały się słyszeć dzwony na południe.

O trzynastej z nieoczekiwaną determinacją wskazówki zegara na wieży zaczęły się kręcić. Kiedy obie dotarły do godziny dwunastej, stanęły. Wybiło dwanaście uderzeń, a potem dzwony po raz drugi radośnie wydzwoniły południe.

Następnie wykonano pozaregulaminowo specjalne Idzie noc, śpijcie już wojny i wkrótce potem Przyjechał pan ambasador.

To dziwne zjawisko powtórzyło się o godzinie czternastej dwadzieścia.

A wtedy Peppone wybuchnął i wściekły wybiegł z domu, kierując się w stronę placyku przy kościele.

Rozumie się, że byli tam ludzie, a w pierwszym szeregu don Camillo.

- Proszę księdza - wrzasnął Peppone - jeżeli ksiądz nie chce, żebym go ściągnął na dół przy pomocy kulek, to niech ksiądz sprawi, żeby ten przekłety pijany wariat uciszył się!

Don Camillo spojrzał na niego zdumiony.

- Panie wójcie - odparł - on nie zwariował ani nie jest pijany.

On po dokonaniu okupacji miejsca pracy, podjął normalną aktywność zawodową, mającą na celu skontrolowanie mechanizmów. Coś takiego nie po raz pierwszy się zdarza.

Dokładnie w tym samym momencie dało się słyszeć dwanaście uderzeń zegara i dzwony po raz czwarty oznajmiły, że jest południe.

Peppone zdarł kapelusz z głowy, rzucił go na ziemię i zaczął deptać.

- Dosyć! Dosyć! - wrzeszczał. - Dosyć, bo mnie szlag trafi. Trzeba było poczekać, aż dzwony się uciszą.

Wtedy don Camillo zawołał:

- Manecchia! Pan wójt chce z tobą mówić! Manecchia wychylił się z okna i ludzie umilkli.

- Proszę, panie wójcie - rzekł don Camillo. - Robotnicy słuchają. Może pan mówić.

- Niech ksiądz mu mówi! - ryknął Peppone. - Jeżeli ja mam mówić, to mu powiem, że jest...

- Nie warto, panie wójcie - przerwał mu don Camillo. - Ja z nim pomówię.

Odwrócił się ku górze wieży.

- Manecchia, pan wójt gotów jest wyjść ci naprzeciw.

- Niech będzie tam, gdzie stoi - odparł Manecchia. - Wystarczy, żeby mi dał, o co prosiłem.

Don Camillo odwrócił się do Pepponea.

- Dobra, niech go piorun trzaśnie! - ryknął Peppone.

- Manecchia! - krzyknął don Camillo. - Pan wójt się zgadza ...

- Ma być czarno na białym - odrzekł Manecchia.

Peppone miał twarz zlaną potem. Zacisnął zęby, ale w końcu wysapał:

- Dobrze!

Don Camillo podał mu papier i pióro, a on drżącą ręką napisał:

Zobowiązuję się podnieść pensję dzwonnika Manecchiego Adelma z dziesięciu tysięcy lirów na piętnaście tysięcy lirów rocznie od jutra, tj. od 1 marca

Podpisał: Wójt

Giuseppe Bottazzi

Don Camillo wziął kartkę, wysuszył, złożył na czworo, wsadził do pięknej żółtej koperty,

którą potem podał jakiemuś chłopcu. - Zanieś na górę i powiedz, żeby mu natychmiast przesłali. Ludzie, nie wiadomo dlaczego, przestali gadać. Wszyscy stali cicho, prawie że wstrzymując oddech, i wpatrywali się w podwójny sznur łączący górne okienko domu Manecchiego z pomieszczeniem z dzwonami.

Sznur drgnął, potem powoli zaczął się przesuwać, górna lina do góry, a ta dolna na dół.

I nagle nad rynną zabłyszczało w słońcu coś złotawego. To była koperta przyczepiona do linki dwoma spinaczami do bielizny.

Kiedy koperta dojechała do połowy drogi, nie wiadomo dlaczego wybuchnęły gromkie brawa.

I towarzyszyły przemieszczaniu się koperty, póki nie dotarła do rąk dzwonnika.

Manecchia zniknął razem z żółtą kopertą, ale chwilę później nadeszła jego odpowiedź: dzwony zaczęły wydzwaniać melodię Hymnu Piave.

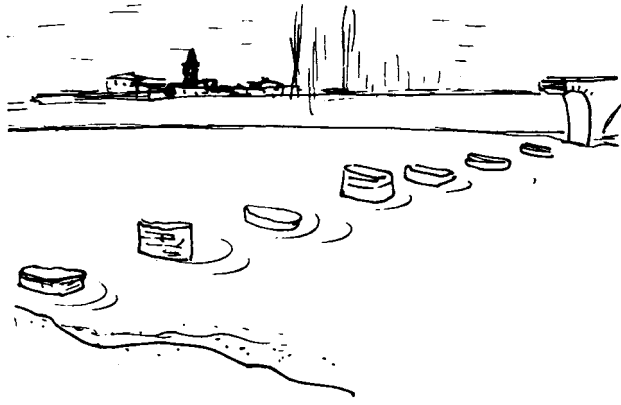
A wtedy oklaski stały się jeszcze bardziej szalone. I kiedy jakiś głos zakrzyknął: "Niech żyje wójt!", tłum odkrzyknął: "Niech żyje!" .

Peppone pozdrowił wszystkich, wymachując kapeluszem, a ponieważ czuł się skrępowany, wymknął się i zniknął za rogiem.

Po drodze zatrzymał się na chwilę i rzekł z powagą do Chudego:

- Zapamiętajcie sobie dobrze, towarzyszu: ojczyzna to opium dla ludu!

- Dobrze powiedziane, szefie! - pochwalił Chudy. I na nowo podjęli triumfalny odwrót.



Małmazja

- Giocondo, można by dostać butelkę tej specjalnej małmazji?

Ta sama śpiewka powtarzała się od lat co najmniej trzy razy na tydzień; wydawało się, że ludzie zamiast się znudzić, znajdowali w tym coraz większe upodobanie.

Jeżeli ktoś chce być karczmarzem, musi umieć zachować spokój. Giocondo potrafił wykonywać swój zawód, ale jednak za każdym razem, kiedy dosięgała go ta mała złośliwość, tylko częściowo umiał się opanować.

No i odpowiadał, proponując inne gatunki białego słodkiego wina, ale takim tonem, jakby mówił: "A idź do diabła!"

Oczywiście następny nikczemnik, na którego wypadła kolej, wybierał z iście diabelską przebiegłością najbardziej odpowiedni moment i rzucał złośliwą zaczepkę wtedy, kiedy gospoda była pełna ludzi; zmuszony był drzeć się na całe gardło, żeby go usłyszał Giocondo i cała reszta:

- Giocondo, można by dostać butelkę tej specjalnej małmazji? Historia ze specjalną małmazją zaczęła się koło 1908 roku, kiedy Giocondo miał dwa albo trzy lata, a gospodę prowadził jego ojciec, Amilcare Bessa.

Z kolei Amilcare, również syn karczmarza, był prawdziwym czarodziejem, jeśli chodzi o wina. Pracował uczciwie, jak za dawnych dobrych czasów, nie używając tych chemicznych świństw, i w łamaniu win miał wyczucie godne artysty.

Ale prawdziwą pasją Amilcara Bessy była winnica.

Czuł, że Bóg Ojciec stworzył go na winogrodnika; ale nawet Rafaello, który również urodził się, żeby być malarzem, nic by dobrego nie zdziałał w malarstwie, gdyby mu została odebrana możliwość dysponowania płótnem, pędzlem i odrobiną farby.

A Amilcare Bessa, urodzony winogradnik, posiadał jedynie dom, w którym mieszkał i w którym miał gospodę z piwniczką.

Tak więc kontynuował zawód ojca, zadowolając się tłoczeniem winogron wyhodowanych przez innych. Ale mimo to, nigdy nie opuściła go myśl, żeby zostać

winogradnikiem, i po wielu latach cierpliwego oczekiwania udało mu się zrealizować swoje marzenie. To znaczy udało mu się odkupić ogród sąsiada, który zamienił na winnicę.

Winnicę raczej symboliczną, bo faktycznie chodziło o skrawek ziemi. Ale Amilcarowi to wystarczyło.

W każdym razie prawdą jest, że po iluś tam latach mógł wytłoczyć swoje winogrona. Swoje, nie dlatego, że wyhodowane w swojej winnicy, ale dlatego, że takiego gatunku winogron nikt nie miał. Całkowita produkcja z pierwszego roku zamknęła się w dwudziestu butelkach; Amilcare Bessa umieścił je w najlepszym miejscu piwniczki i czekał pełen nadziei.

W dniu, w którym postanowił odkorkować jedną ze swoich butelek, dostał gorączki z podniecenia.

Był w piwniczce sam i zanim podniósł szklaneczkę do ust, wahał się wiele razy.

Ale jak tylko posmakował łyček wina, przestał się wahać; wyleciał pędem z piwniczki, zaprzął konia do dwukółki i pomknął jak błyskawica.

Kiedy dotarł do Castellino, zapukał do drzwi notariusza Barozziego, a kiedy stary notariusz zjawił się, Amilcare powiedział po prostu:

- Bierz pan kapelusz i chodź ze mną!

Z podniecenia Amilcara Barozzi wywnioskował, że musiało stać się coś ważnego, więc nie robił ceregieli.

W drodze też nie otworzył ust. Dał się zaprowadzić, gdzie chciał Amilcare Bessa, i w ten sposób po pół godzinie znalazł się w piwniczce gospody. Dopiero wtedy stary notariusz odezwał się: - Można wiedzieć, o co chodzi?

- Potrzebuję opinii - odparł Bessa.

- A o czym?

- O mojej małmazji.

Notariusz skrzywił się.

- Małmazji! - zawołał z niechęcią. - Toż to dobre dla pańienek!

Bessa poszperał w kącie piwniczki i wyciągnął butelkę. Odkorkował, ulał odrobinę na ziemię, wlał dwa łyki wina do szklaneczki i podał notariuszowi.

Notariusz odwrócił się w stronę otwartych drzwi, spojrzął na trunek pod światło, potem podniósłszy szklaneczkę do ust, pociągnął łyk.

Długo smakował łyček między językiem a podniebieniem, potem długo nad tym medytował.

Spróbował następny łyček, większy, dla potwierdzenia. Potem oddał Amilcarowi pustą szklaneczkę i zawyrokował:

- To królewskie wino.

Notariusz Barozzi, stary zrzęda, ale o wielkim sercu, w sprawach wina był chodzącą nieomylnością.

"Mam odwagę panu wyznaczyć - zwykł mówić - że nawet jeśli od mojej pochlebnej opinii miałyby zależeć moje życie albo życie jakiejś innej osoby, to ja nigdy, ale to przenigdy nie przyznałbym, że mierne wino jest dobre".

Notariusz Barozzi powiedział, że wino Amilcara jest winem królewskim.

Trzeba było dłuższej chwili, żeby Amilcare się otrząsnął; w końcu zapytał:

- Co jestem panu winien za fatywę?

- Szklaneczkę twojej małmazji - odrzekł notariusz.

Amilcare wiele rozmyślał nad tym, co powiedział notariusz Barozzi. I tak pewnego pięknego dnia doszedł do sformułowania nader logicznego wniosku: "To jest królewskie wino, bo tak powiedział Barozzi. A jeżeli to jest wino królewskie, to kto powinien je pić? Te nieokrzesane gbury? Czy pierwszy lepszy kretyn, który wejdzie do gospody? Jeżeli to jest królewskie wino, to niech je pije król".

Udał się więc do miasta i kazał wydrukować piękne nalepki z napisem: "Królewska Małmazja - Produkcja Amilcare Bessa". Potem przykleił je na dwunastu butelkach, które mu zostały, i wsadziwszy butelki do solidnej skrzynki, wysłał królowi razem z liścikiem podyktowanym przez notariusza.

Oczywiście po jakimś czasie z dworu nadszedł do Amilcara Bessy wspaniały list, w którym mówiło się, że J.K.M. przyjął dar z wielką przyjemnością i uznał, że wino pana Amilcara Bessy było "wyborne".

Amilcare Bessa był człowiekiem poważnym i skrupulatnym, więc pomyślał: "Król zrobił mi niesłychany zaszczyt i byłbym łajdakiem, gdybym wykorzystał jego szlachetność, żeby zarabiać na tym pieniądze. Jeżeli wino nazywa się Królewska Małmazja, to może je pić tylko król. Ale ponieważ przed wysłaniem butelek, muszę być pewien, że wino jest doskonałe, jedyną osobą, która oprócz króla będzie mogła spróbować Królewskiej Małmazji, będę ja sam."

To był pamiętny dzień; Amilcare umieścił list w bogato złożonej ramie i zawiesił go na środku szafki za ladą z wielkim portretem króla. Ołtarzyk uzupełniały dwa egzemplarze słynnych butelek Królewskiej Małmazji.

Tak więc ograniczył produkcję z dwudziestu do piętnastu butelek i z tych piętnastu co roku dwanaście było wysyłanych w darze królowi.

Trzy zostawały; jedna na sprawdzenie i dwie na ołtarzyk.

I tak co roku dwie butelki Królewskiej Małmazji zostawały w piwniczce Amilcara, tworząc w ten sposób Rezerwę Królewską, która miała być wykorzystana, gdyby któraś partia dwunastu butelek z danego roku nie okazała się godna wysłania królowi.

Jedynie w nadzwyczajnych przypadkach odkorkowywano jakąś butelkę z Rezerwy.

Taka by była pokrótce administracyjna strona opowieści. Natomiast strona historyczna

jest jeszcze bardziej zwięzła.

Amilcare Bessa nadal każdego roku wysyłał punktualnie królowi dwanaście butelek Królewskiej Małmazji, a ołtarzyk pozostawał na środku szafki aż do śmierci Amilcara.

Syn, Giocondo, mógł mieć ołtarzyk tylko przez parę miesięcy, bo powstała repubblica sociale i nikt nie chciał już słyszeć o królu i królowej.

Właśnie wtedy zaczęła się ta zabawa z proszeniem Gioconda butelkę specjalnej małmazji.

W czasach republiki nastąpiła inna poważna niedogodność: w trakcie jakiejś rewizji w piwniczce gospody Niemcy odkryli butelki z Rezerwy Królewskiej i wszystkie opróżnili.

Stary Amilcare przed śmiercią powiedział do syna:

- Giocondo, pamiętaj o butelkach króla. Żebyś przez ciebie źle nie wypadł.

Giocondo był przyzwoitym człowiekiem i pełnym dobrej woli, ale w jaki sposób mógł zadowolić starego?

Kiedy skończyły się kłopoty z wojną i z republiką, kiedy zdawało się, że wszystko będzie jak dawniej, znów wybuchła sprawa następnej republiki i król musiał iść na wygnanie.

To był przypadek z gatunku siły wyższej i Giocondo, który dręczył się przez dłuższy czas, wreszcie dał sobie spokój; "stary zrozumie, że to nie z mojej winy król nie dostaje tego, co mu się należy."

On dał sobie spokój, ale nie inni zarciki zaczęły się od nowa po siódmym czerwca czterdziestego szóstego.

Giocondo, można by dostać butelkę tej specjalnej małmazji?

Ten przeklęty dowcip powtarzany był już od siedmiu czy ośmiu lat. Giocondo z trudem go znosił, ale musiał.

Aż wreszcie przyszedł moment, kiedy stracił cierpliwość.

Tym razem ten sam co zwykle zarcik padł w chwili względnego spokoju; do zamknięcia brakowało godziny i lało jak z cebra. W gospodzie zostało tylko czterech grających w scope: Peppone, Chudy, Szary i Ostry.

Giocondo z łokciami wspartymi na marmurowym kontuarze przyglądał się podsypiając.

W pewnej chwili Chudy powiedział głośno: - Giocondo, następna butelka.

- Co więcej - dodał tak samo donośnym głosem Peppone, tasując karty - tak dla urozmaicenia, czemu nie przyniesiesz nam butelki tej słynnej małmazji?

Chudy, Ostry i Szary roześmieli się.

- O jakiej słynnej małmazji mówicie? - spytał Giocondo, wychodząc zza kontuaru i

podchodząc do nich.

Coś takiego nie zostało przewidziane i Peppone speszył się.

- Ech - burknął - o tej specjalnej małmazji. Czy nie mieliście specjalnej małmazji waszej produkcji?

- Ależ tak - dodał Chudy - doskonale pamiętam, że tam na szafce jeszcze jakiś czas temu stał ołtarzyk z obrazem, dużym portretem i dwiema wspaniałymi butelkami małmazji. Nie pamiętasz, Szary? - Jasne, przypominam sobie - potwierdził Szary. - Poczekaj, jak nazywał się ten gatunek małmazji?

- Do licha, mam to na końcu języka - wykrzyknął Ostry.

- Miała taką zabawną nazwę.

Błazenada trwała wystarczająco długo.

- Nie miała zabawnej nazwy - powiedział Giocondo.

- Wymyślił ją mój ojciec. Nazywała się Królewska Małmazja.

- Ależ tak! - wykrzyknął wesoło Peppone. - Właśnie tak się nazywała. A dlaczego firma nie produkuje już tego typu małmazji?

Pozostała trójka z bandy chichotała.

- Firma wciąż ją produkuje - uściślił Giocondo.

Również i ta odpowiedź nie została przewidziana i cała czwórka zmieszała się.

- Jeżeli firma wytwarza jeszcze taki rodzaj małmazji - zauważył Chudy - to jak się ona teraz nazywa?

- Królewska Małmazja.

- O, do licha! - wykrzyknął Peppone. - A komu ją teraz wysyłasz? Królowi kier?

- Nikomu - wyjaśnił spokojnie Giocondo. - Trzymam ją tutaj.

Kiedy król powróci, wyślę mu wszystko wraz z zaległościami.

Ci czterej popatrzyli po sobie i wybuchnęli śmiechem.

- Giocondo ma ochotę pożartować dzisiejszego wieczoru!

- zawołał wesoło Peppone. - Więc wiwat radość i wypijmy za nią butelkę lambrusco.

- Dobrze, butelkę lambrusco zaraz wam przyniosę. Ale ja naprawdę nie żartowałem.

Uwierzą ci, którzy zobaczą.

Giocondo poszedł w stronę piwniczki, a ci czterej po chwili wahania wstali i udali się za nim.

Kiedy Giocondo zbliżył się do piwniczki, stanął przed drzwiami; w górnej części znajdowało się małe okienko. Otworzył je i przekręcił wyłącznik.

W piwnicy rozblysło światło.

- Możecie popatrzeć - powiedział odsuwając się.

Najpierw Peppone, a potem pozostali trzej zajrzeli przez okienko i wszyscy zobaczyli regał z butelkami, a na nich rzucające się w oczy etykiety: Królewska Małmazja. Wytwórnia

Amilcare Bessa i Syn.

Na środku regału stał sławetny ołtarzyk z dwoma portretami królów - zmarłego i żyjącego.

- To produkcja z dziewięciu roczników, od czterdziestego piątego do pięćdziesiątego trzeciego - wyjaśnił Giocondo. - Dwanaście razy dziewięć, sto osiem butelek. Plus po dwie rocznie do Rezerwy Królewskiej.

Peppone pokręcił głową. - I trzymasz je tutaj!

- Trzymam je tutaj.

- I czekasz!

- A wy - odparł Giocondo - może nie robicie tego samego?

Wy teraz nie możecie zrobić rewolucji proletariackiej, ale może zrezygnowaliście z niej? Wy w dalszym ciągu przygotowujecie wszystko na jej nadejście. A ja przygotowuję wszystko na nadejście króla. Jeżeli pierwsza nadejdzie rewolucja proletariacka, to wino wypijecie wy, tak jak wypili tamci. Ale jeżeli pierwszy przyjdzie król, to swoje wino on wypije.

- A morał z tego taki - zawołał Peppone - że tak, czy inaczej zostaniecie bez wina.

- Co innego dać coś z własnej woli, a co innego patrzeć jak ci to odbierają - uściślił Giocondo. - Niech każdy zachowa dla siebie swoje przekonania i niech szanuje przekonania innych. Ja jestem dobrym demokratą.

- To, że jesteś demokratą z tymi ciagotami w sercu, to jeszcze można uznać - stwierdził Peppone. - Ale z pewnością jesteś złym karczmarzem. Bo gdybyś był obrotny, zmieniłbyś nazwę wina i zaczął nim handlować. Dobry karczmarz daje swoje najlepsze wino do dyspozycji klientów, a nie chowa z powodu swoich tęsknot politycznych.

- A jak miałbym je nazwać? - zapytał Giocondo.

- Zamiast Królewska Małmazja nazwij Prezydencka Małmazja i wszystko będzie w porządku.

Giocondo pokręcił głową.

- Prezydent Republiki nie potrzebuje mojego wina; swojego ma za dużo. A zresztą, kiedy notariusz Barozzi spróbował tego wina, nie powiedział do mojego ojca: "To prezydenckie wino" tylko "To królewskie wino".

Peppone zaśmiał się szyderczo i pokręcił głową. A potem zapytał:

- Giocondo, a czy wśród butelek z Rezerwy Królewskiej nie znalazłaby się przypadkiem jakaś jedna pełna wina wójtowskiego?

- Nie - odparł Giocondo. - To wszystko królewskie wino.

Widzicie, co jest napisane na naklejce.

- Stać! - wrzasnął Chudy. - Rezerwa Królewska, pierwszy rząd, trzecia butelka po lewej, brak etykiety!

Rzeczywiście, etykieta odpadła i gdzieś się zawieruszyła. Giocondo sprawdził przez

okienko i rzekł:

- Zawartość jest wciąż ta sama z etykietką czy bez; tę butelkę można by było wypić, ale tylko za zdrowie króla.

Peppone odwrócił się i skierował do wyjścia.

- Za droga! - krzyknął. - To nie dla biednych proletariuszy. Wrócił razem z resztą do stolika i na nowo rozpoczęli przerwana grę.

Giocondo podszedł po jakichś dziesięciu minutach. - To co, podać butelkę lambrusco?

- Nie - odrzekł ponuro Peppone. - Przynieś małmazję.

Zapłacimy tyle, ile się należy, Taki już los, że proletariusz pada zawsze ofiarą krwiopijcy.

Giocondo poszedł, a po chwili wrócił z pięcioma specjalnymi szklaneczkami z cieniutkiego szkła i postawił je na lśniącej mosiężnej tacy.

A potem przyniósł butelkę i odkorkował wyjaśniając: - Rezerwa królewska, rocznik 1945.

Nalał po dwa łyżki wina do każdej szklaneczki.

- Za zdrowie króla - powiedział, podnosząc szklaneczkę.

- Zdrowie ... - burknęli tamci, ledwo unosząc swoje.

Pociągnęli kropelkę.

Potem ją smakowali, zastanawiali się, pociągnęli kolejną na potwierdzenie.

Potem Peppone odstawił szklaneczkę na tacę i zawyrokował:

To królewskie wino.

Z całym szacunkiem i oddaniem, jakie mam dla republiki powiedział Chudy, odstawiając swoją szklaneczkę - jestem tego samego zdania, co szef.

Idem - burknęli Szary i Ostry. Peppone nalał sobie i napelnił pozostałe.

Idea jest ideą - powiedział sentencjonalnie - i nie należy od niej odstępować nawet wobec siedmiu cudów świata; trzeba jednak mieć odwagę i uczciwie chylić czoła przed oczywistością historycznej nemezis. Gdyby był tutaj Giuseppe Mazzini, przyznałby szczerze, że to królewskie wino!

- Dobrze powiedziane, szefie - przyznała reszta.

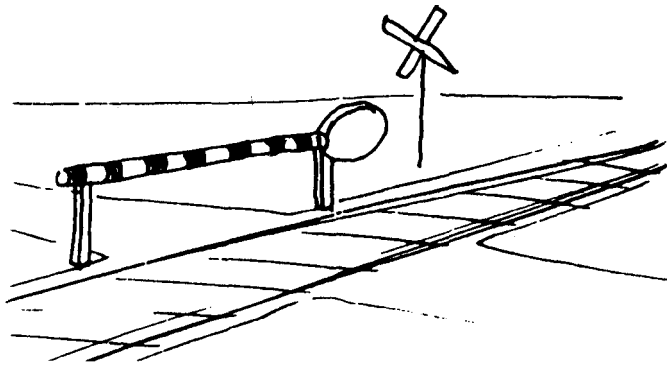
Giocondo nic nie odrzekł, bo był wzruszony. Ale uległszy tej gorącej atmosferze Risorgimenta pobiegł do piwniczki i powrócił z następną butelką z Rezerwy Królewskiej.

I to z etykietką.

Na dworze lało jak z cebra.

Giocondo zamknął drzwi gospody, żeby umożliwić Pepponowi i pozostałym pochylenie

się przed oczywistością historycznej nemezis przy drugiej, a może i trzeciej butelce Królewskiej Małmazji.



Zamach

Chudy zatrzymał się na przejeździe kolejowym w Zakręcie, bo akurat tam spotkał Anitę, która jechała rowerem ze wsi.

Nie chodziło o sprawy polityczne. Anita była dawną sympatią jeszcze z okresu młodości; Chudy wiele razy o mało co się z nią nie ożenił. Ale ożenił się z Morettą. Kiedy jednak spotykał Anitę, która wciąż była niezamężną dziewczyną, chętnie zamieniał z nią parę słów.

Anita też chętnie na to przystawała, pewnie dlatego, żeby zrobić na złość Moretcie. Tego wieczoru było podobnie i choć minęło już półtorej godziny od spotkania, dalej tam stali, śmiali się i żartowali po ciemku.

Chudy opierał się o lewy słupek od szlabanu, choć byłoby lepiej, gdyby oparł się o prawy, ten, na którym umocowany był pręt z przeciwwagą.

Bo nagle, w najmniej spodziewanym momencie, ze stacji we wsi pociągnięto za stalową linkę umożliwiającą zdalne opuszczanie szlabanu i Chudy zaliczył taki cios w głowę, że pacnął na ziemię jak trup.

Anita, po daremnych próbach ocucenia go wodą z rowu chlapaną na twarz, przeraziła się, wsiadła na rower i uciekła.

Zależało jej przede wszystkim na tym, żeby jej tam nie zaskoczono - nocą, razem z żonatą mężczyzną, który na dodatek wydawał się nieżywy.

Tak naprawdę to Chudy wcale nie był nieżywy; uderzenie przeszło bokiem głowy i główny cios spadł na plecy. Trzeba było trochę czasu, żeby się ocknął, ale wreszcie się ocknął.

Tymczasem pociąg już przejechał i szlaban podniesiono. Okolica znowu była pusta i cicha, pełna cieni i tajemnic, jak w nastrojowych opowieściach.

Chudy dźwignął się z trudem, wziął rower i powlókł się do wsi, ruszając się jak mucha w smole. Gdy tylko znalazł się w wielkiej sali spółdzielni, klapnął na krzesło. Twarz miał zalaną krwią, a po prawej stronie czaszki olbrzymią śliwę. Od razu wszyscy się zbiegli; Peppone wylał mu szklaneczkę grappy na głowę i szklaneczkę grappy do gardła, a kiedy Chudy poczuł, że pali go ze wszystkich stron, od razu odzyskał świadomość.

A wtedy Peppone, z pomocą Ostrego, zaciągnął go do biura, z dała od oczu

ciekawskich i zamknawszy drzwi na klucz, spytał: - Kto to był?

- Nie wiem - wybełkotał Chudy.
- Kiedy to się stało?
- Chyba dwadzieścia minut temu. Straciłem przytomność.
- Gdzie to się stało?
- Na przejeździe w Zakręcie. Gawędziłem, cios był od tyłu i nie mogłem nic zobaczyć.

Peppone złapał go za kołnierz.

- Chudy, gadaj! Z kim gawędziłeś?
- Z takim jednym z Molinetto ...
- Gadaj albo nabiję ci następną śliwę na głowie, większą od tej. Kim jest ten typ z

Molinetto, który cię walnął?

Chudy zaprotestował ze wszystkich sił:

- Nie, szefie. On do tego nic nie ma. To nie on. On nie mógł. Byliśmy mocno objęci ...

Peppone spojrział na Szarego. Potem znów złapał Chudego za kołnierz.

- Jak się nazywa ten typ z Molinetto, z którym byłeś mocno objęty?
- Anita - szepnął smutno Chudy.
- Rozumiem - powiedział Peppone. - Jesteś kretynem jak zawsze. Ale tym razem przed Ricciolinem nikt jej nie uratuje.

Ricciolino był starszym bratem Anity, jednym z tych, dla których "czerwoni" byli jak płachta na byka. Kiedy Anita flirtowała z Chudym, to właśnie Ricciolino uciął tę znajomość. I nie raz oświadczał publicznie, że jeżeli jego siostra znowu zada się z tamtą hołotą, to komuś łeb rozwali.

- Chodź - mruknął ponuro Peppone do Szarego. - Trzeba iść od razu wyrównać rachunki.
- Szefie - wyjęczał Chudy - nie wpakuj mnie w kłopoty.
- Nie myśl o tym, załatwimy Ricciolina.
- A kto załatwi moją żonę, jak wybuchnie skandal?
- Dasz sobie radę; oduczysz się w ten sposób udawać kretyna wobec dziewcząt.

Ricciolino grał sobie spokojnie w scopę w gospodzie w Molinetto; Peppone kazał mu powiedzieć przez karczmarza, żeby wyszedł na chwilę w pilnej sprawie. Szuka go dwóch pośredników od bydła.

I Ricciolino wyszedł, niczego nie podejrzewając.

Ale kiedy zobaczył, co to za pośrednicy, zacisnął zęby. - O co chodzi? - spytał. -

Co za żarty?

- Żadne żarty - odrzekł ponuro Peppone. - Mam nadzieję, że szybko zrozumiesz. Chodź z nami spokojnie, bo im bardziej się będziesz rzucał, tym gorzej dla ciebie.

Szary został na czatach, a Peppone i Ricciolino skręcili w pełną drogę.

Młodzieńcze - wyjaśnił groźnie Peppone, kiedy odeszli daleko. Już od lat prowokujesz, lecz nikt nie zwracał na to uwagi. Póki chodziło o słowa, puszczałem je mimo uszu. Ale teraz, jak od słów przeszedłeś do czynów, sprawy przybrały inny obrót.

Ricciolino był szczerze zaskoczony.

- Peppone! - wykrzyknął. - Co najmniej od roku nie wymieniałem twojego imienia ani twoich współników, ani prywatnie, ani publicznie. O czym ty mówisz?

- O historii, która zdarzyła się pół godziny temu na przejeździe w Zakręcie.

- A co ja mam z tym wspólnego? Pięćdziesiąt osób może zaświadczyć, że od dwóch godzin siedzę przywiązany do stolika w gospodzie.

- Jeżeli jesteś od dwóch godzin w gospodzie, to kto walnął Chudego w głowę pół godziny temu?

Kiedy Ricciolino usłyszał o Chudym, podskoczył z wściekłości. - A co mnie może obchodzić ten nabzdyczony makak? Co ja mam do tego, że on oberwał po głowie?

- Masz, Ricciolino - tłumaczył Peppone. - Masz, bo Chudy stał i gawędził z twoją siostrą.

Ricciolino podskoczył.

- Stał z moją siostrą? - wrzasnął. - To dziś wieczór łeb mu rozwalę!

Peppone przytrzymał go za ramię.

- Nic nie rozwalisz, ty łotrze. Tym bardziej, że jestem tu po to, żeby tobie łeb rozwalić.

- Peppone! - wrzasnął Ricciolino z pianą na ustach. - Jeżeli przyszedłeś, żeby robić burdę, w porządku. Ale w takim razie nie szukaj głupich pretekstów. Ja od dwóch godzin gram w scope i nie ruszyłem się ani na sekundę od stolika.

Peppone był lekko zdezorientowany tą pewnością siebie młodzieńca.

- Więc jeżeli to nie byłeś ty, to kto mógł dołożyć Chudemu? - burknął.

- Każdy, bo to taki łajdak, że każdemu wyda się obrzydliwy.

- Nieprawda, Chudy ma swoje zalety.

- To niech je sobie zachowa dla swojej żony, a nie dla mojej siostry! - krzyknął Ricciolino. - Wykorzystuje to, bo chowa się za tobą i całą twoją zgrają. Ale któregoś dnia wpadnie mi w łapy. - A nie wpadł ci już pół godziny temu? - insynuował Peppone.

- Nie! I bardzo żałuję - krzyknął Ricciolino.

Peppone wobec tego okrzyku, wychodzącego z głębi serca, poczuł się rozbrojony. Zawołał Szarego.

- Idź do gospody i rozejrzyj się, czy jest tam ktoś z naszych.

Weź go na bok i zapytaj, od jak dawna ten tutaj siedzi w gospodzie.

Szary wyruszył z misją i już po paru minutach był z powrotem. - Siedzi tam od dwóch godzin - powiedział. - To pewne. Peppone rozłożył ręce.

- Ricciolino, naprawdę przykro mi, że to nie ty sprząś Chudego.

- A mnie jak przykro! - odparł rozwścieczony Ricciolino.

- Trzeba skierować śledztwo na inne tory - burknął Peppone.
- Zastanówmy się, Ricciolino, z kim się zadaje twoja siostra?
 - Z tymi wszystkimi, z którymi nie powinna! - ryknął młodzieniec. - Ale dziś wieczór przetrzępię jej skórę.

Ricciolino oddalił się wściekły, a Peppone pozwolił mu odejść.

Kiedy powrócili do bazy, Chudy był pijany po grappie. Peppone podniósł go i wyciągnął na dwór.

- Wsiadaj na rower i jedź za nami - rozkazał mu, wskakując na siodełko.

Po dziesięciu minutach wszyscy trzej byli na przekłętym przejeździe. Rowery pokładli wzdłuż rowu.

- Chudy - powiedział Peppone - stań dokładnie tam, gdzie siałeś, kiedy walnęło cię w głowę.

Chudy poszedł oprzeć się o lewy słupek i Peppone przez chwilę mu się przyglądał. Potem odwrócił się do Szarego:

~. Spróbuj powoli opuścić szlaban.

Szary poszedł podnieść żelazny ciężar i biało-czerwony szlaban zaczął się zamykać.

Stój! - rozkazał Peppone, kiedy szlaban znalazł się na cztery palce od głowy Chudego.

Następnie Peppone odwrócił się do Chudego.

- A teraz stań tyłem. O tak, nie ruszaj się. Ty, Szary, opuszczaj dalej. ale energiczniej.

Po sekundzie usłyszeli wrzask; to Chudy zarobił w głowę, ale tym razem z drugiej strony.

- Rozumiesz teraz, jak to się stało? - spytał go Peppone. Nikt nie widział, co się stało na przejeździe. Nikt nie słyszał ani słowa z tego, co tam zostało powiedziane.

Ale następnego ranka, na tablicy ogłoszeń na plebanii, znalazł się szkic przedstawiający przejazd; zamiast szlabanu rysownik umieścił długi sękaty kij. Napis głosił:

Protestujemy stanowczo przeciwko brakowi umiaru, jaki okazuje przejazd w zakręcie. To faszystowski przejazd, który w zdradziecki sposób grzmoci "towarzyszy", wykorzystując ich chwile słabości i namiętne porywy.

Chudy nie mógł tego przełknąć. Bo przecież jeżeli nawet jest się umocnionym przez najmocniejszą wiarę marksistowską, to mając głowę w takich guzach, jak to było w przypadku Chudego, to niby jak mógł nad sobą zapanować?

Kiedy więc zobaczył rysunek, zdarł go i wsadził w kieszeń. W tej samej chwili zarobił niewymownego kopniaka w siedzenie łącznie z takim oto milutkim komentarzem:

- To jedyna część głowy jeszcze cała.

Chudy na zimno zainkasował kopniaka i oddalił się z godnością, a po przejściu dziesięciu

kroków odwrócił się i powiedział: - Kto dla spekulacji politycznych wykorzystuje intymne sprawy przeciwnika, jest parszywcem.

- Ale jeszcze większym parszywcem jest ten, kto mając żonę i dzieci, udaje wobec dziewcząt niewiniątko. W każdym razie prawdą jest, że jeżeli umknie przed karą Bożą, to nie umknie przed karą Kolei Państwowych.

Ponieważ cała scena rozegrała się przy świadkach, Chudy czuł, że po powrocie do domu zostanie żonę czekającą nań z czymś żelaznym albo stalowym w garści. Skierował się więc prosto do Domu Ludowego, by zdać relację Pepponowi.

- Szefie, wymierzono mi publicznie kopniaka w siedzenie.

Tym razem to nie szlaban na przejeździe. To don Camillo. - Podstępnie?

Chudy wyciągnął z kieszeni zmiętą kartkę i pokazał Pepponowi.

- Zobaczyłem to świństwo na tablicy ogłoszeń na plebanii, więc zerwałem. A wtedy on dał mi kopa.

Peppone obejrzał rysunek, potem zawołał żonę barmana i dał jej kartkę.

- Wyprasuj tak, żeby wyglądała jak nowa.

Dostał ją z powrotem po dziesięciu minutach, włożył ostrożnie między dwa kartoniki i wyszedł.

Kiedy dotarł do tablicy ogłoszeń na plebanii, wyciągnął kartkę i starannie przypiął ją czterema pinezkami.

Naturalnie don Camillo stał tam tuż za nim, więc kiedy Peppone odwrócił się, napotkał jego spojrzenie.

- Porządek został przywrócony - wyjaśnił Peppone. - Dzięki temu ludzie będą mogli się rozerwać. Oczywiście będzie to poważny cios dla idei marksistowskiej.

Don Camillo podszedł do tablicy, zerwał rysunek, podarł i wyrzucił kawałeczki.

- My takimi ploteczkami nie zwalczamy idei marksistowskiej

- wyjaśnił. - To nie moja robota.

- A ten kopniak, który wymierzyliscie Chudemu? - spytał Peppone. - To niby czyja robota?

- Nie mogę zaprzeczyć, że moja - przyznał don Camillo.

- To takie miałyby być argumenty, jakimi zamierza ksiądz zwalczać ideę marksistowską?

- Nie, ale w pewnych szczególnych okolicznościach nie wykluczam, że solidny kopniak może być wymownym potwierdzeniem ogólnych zasad.

Peppone spojrzał na niego, kiwając z politowaniem głową.

To są zasady chylenia się ku upadkowi, proszę księdza.

W każdym razie ja wciąż jestem człowiekiem otwartym, więc kiedy znajdzie się ksiądz w tarapatkach, to zawsze gotów jestem przejąć całe przedsiębiorstwo. - I szerokim gestem wskazał

na kościół i plebanię.

Spotkali się następnego popołudnia na loterii dobroczynnej na rzecz kolonii nad morzem.

To była akcja apolityczna, zorganizowana przez grupkę osób najrozmaitszych orientacji, bo było logiczne, że wszyscy popierali podobną inicjatywę.

Fanty zostały zgromadzone po pukaniu do wszystkich bez wyjątku drzwi i dzięki temu zebrano ciekawy zestaw nagród.

Wójt Peppone zakupił dwadzieścia fantów i dokładnie tak samo don Camillo zakupił dwadzieścia biletów.

Wyglądało to jak scena ustawiona przez reżysera: dziewiętnaście razy Peppone wygrywał ołówki, stalówki i drewniane trąbki, które rozdawał najbliższym stojącym dzieciom.

Za dwudziestym razem wygrał jedną z nagród pierwszej kategorii: "Obraz Madonny w ozdobnej ramie".

A don Camillo, dziewiętnaście razy wygrywał różne bezwartościowe drobiazgi, by za dwudziestym razem również i jemu przypadła nagroda pierwszej kategorii: "Barwny portret Malenkowa w ozdobnej ramie, dar sekcji partii komunistycznej".

- To wygląda, jak ułożone! - wołali wszyscy.

Przy wyjściu don Camillo spotkał się z Peppone ramię w ramię i szli razem ładny kawałek drogi.

Kiedy dotarli na placyk przy kościele, don Camillo zatrzymał się.

- Panie wójcie - powiedział do Peppone, podając mu kolorowy portret Szefa - jeżeli los był niesprawiedliwy, możemy temu zaradzić. Zamienimy się?

Peppone pokręcił głową.

- Niby dlaczego? Księdzu bardzo przyda się ten portret; będzie się ksiądz mógł nauczyć rozpoznawać właściciela tej twarzy i dzięki temu, jak się tutaj zjawi osobiście, nie będzie się ksiądz czuł zaskoczony.

- Słusznie, panie wójcie. Ale do czego panu może przydać się ten obraz?

- Do modlenia się na klęczkach, żeby was piorun trzasnął! - wrzasnął Peppone odchodząc.

Don Camillo wrócił na plebanię z sercem pełnym radości.

Schował portret do skrzyni, ale zanim zamknął wieko, poprosił o wybaczenie: "Ja nie mogę prosić cię, towarzyszu, żebyś zesłał grom na Peppone. Kłopot w tym, że i tak go zesłesz na niego i na nas wszystkich, jak tak dalej pójdzie".

I zatrasnął wieko.

- Jezu - szepnął, wznosząc oczy do nieba - jesteśmy jak ten głupi pies, który męczy się, latając wkoło za swoim ogonem, gdy tymczasem wali się dom. Biada, kiedy głowa staje się wrogiem ogona.



Don Gildo

O dziewiątej niebo, które do tej pory zachowywało się dwuznacznie i niepokojąco, nagle się wypogodziło i słońce zdecydowanie ukazało swoje piękne oblicze.

To wydarzenie, niespotykane w czasie tej okropnej wiosny, napełniło radością don Camilla, który już od godziny kopał w ogródku.

Ale szczęście don Camilla nie trwało zbyt długo, bo na horyzoncie pojawiła się matka dzwonnika.

- Proszę księdza - powiedziała. - Przyjechał wikary.

Don Camillo przygotowany był na ten cios, więc przyjął to z pozorną obojętnością.

- Dobrze, przyprowadźcie go - odparł, nie przerywając kopania.

Stara kobieta popatrzyła na niego niepewnie.

- Proszę księdza - burknęła - już go przyprowadziłam do jadalni.

- Ponieważ jednak nie ma mnie teraz w jadalni, tylko jestem tutaj, to tu go przyprowadźcie.

Kobieta oddaliła się, a w chwilę później młody kapłan wszedł do ogrodu i stanął przed don Camillem.

- Dzień dobry, proszę księdza.

Don Camillo przestał kopać, odwrócił się i podszedł do młodego księdza, a ten się przedstawił:

- Jestem don Gildo.

- Bardzo mi miło - odpowiedział don Camillo, łapiąc w swoje łapsko jego rękę i ściskając ją niczym boa dusiciel.

Wikaremu zrobiło się nieswojo i zbladł, ale że przeszedł solidną edukację sportową, udało mu się uśmiechnąć:

- Mam list od pana sekretarza Jego Ekscelencji - wyjaśnił, podając dużą kopertę.

- Proszę wybaczyć - powiedział don Camillo, otwierając kopertę i wyciągając kartkę z wiadomością od pana sekretarza Jego Ekscelencji.

Przeczytawszy pismo, zwrócił się do wikarego:

- Mówiłem panu sekretarzowi, żeby się nie trudził, bo jako biedny starzec sam dałbym jeszcze radę dźwigać na swoich barkach parafię. Ale ponieważ pan sekretarz, interpretując dosłownie pragnienie Jego Ekscelencji Biskupa, chciał zdjąć ze mnie ciężar, więc nie pozostaje mi nic innego, jak tylko powitać księdza.

Młody ksiądz skłonił się uprzejmie:

Dziękuję, don Camillo. Proszę mną dowolnie dysponować. To bardzo miło z księdza strony. Zaraz z tego skorzystam.

Podszedł do drzewka wiśniowego, zdjął łopatę, która wisiała na gałęzi, i wetknął ją w rękę wikaremu.

We dwóch skończymy migiem - wyjaśnił.

Wikary spojrział na łopatę i podniósł wzrok na don Camilla:

Prawdę mówiąc - wybełkotał - nie miałem praktyki z tego typu narzędziami ...

- Proszę się nie przejmować, stanąć koło mnie i robić to, co ja.

Wikary zrobił się czerwony z oburzenia. To był młodzieniec o wrażliwych nerwach i pełen godności.

- Proszę księdza - sprzeciwił się wielce urażony – przyjechałem tutaj pielęgnować dusze, a nie warzywniki.

- Rozumie się - odrzekł spokojnie don Camillo. - Ale musi ksiądz pamiętać, że aby mieć sałatę, groszek i fasolkę dla urozmaicenia naszego skromnego jadłospisu, trzeba pielęgnować warzywnik.

Don Camillo wrócił do kopania. Wikary stał na ścieżce z łopatą w rękę.

- Więc nie chce ksiądz pomóc biednemu niedomagającemu starcowi - rzekł w pewnej chwili don Camillo, nie podnosząc głowy.

- To nie to, że nie chcę księdzu pomóc! - wyjaśnił gwałtownie. - Rzecz w tym, że przyjechałem tutaj, żeby pracować jako kapłan.

- Don Gildo, pierwszą cnotą dobrego kapłana jest pokora - powiedział don Camillo.

Wikary zacisnął zęby, stanął obok niego i zaczął machać łopatą - Don Gildo - zauważył łagodnie don Camillo - jeżeli powiedziałem coś denerwującego czy obraźliwego, to niech ksiądz raczej mnie źle potraktuje, a nie maltretuje ziemi, która niczemu nie jest winna.

Wikary zaczął kopać z mniejszą zaciekłością.

Trzeba było dwóch godzin, żeby warzywnik został doprowadzony do porządku. I kiedy don Camillo i wikary powrócili na plebanię ubłoceni do kolan, wybiła jedenasta.

- Mamy akurat troszeczkę czasu, żeby uporządkować jeszcze jeden drobiazdek - powiedział don Camillo, kierując się w stronę drzwi od szopy.

Były tam pieńki wiązu do pocięcia i póki nie wydzwoniło południe, wikary musiał pomagać don Camillo w piłowaniu.

Nałykał się przez te trzy godziny tyle złości, że miał jej pełny żołądek. Dlatego z

niechęcią siadł do stołu i ledwo spróbował zupy, odłożył łyżkę.

- Niech się ksiądz nie przejmuj, że nie ma apetytu - uspokajał go don Camillo. - To zmiana powietrza.

On sam jadł z wielkim smakiem i kiedy pochłonął dwie olbrzymie michy zupy okraszonej słoniną, nawiązał z powrotem kontakt słowny z wikarym.

- I jak tam - spytał - podoba się księdzu wieś?

Wikary wzruszył ramionami. - Ledwo ją widziałem.

- To taka sama wieś jak inne, drogi don Gildo. Z ludźmi dobrymi i złymi. Trudność w tym, żeby wiedzieć, którzy są naprawdę dobrzy, a którzy naprawdę źli. Jeśli spojrzymy od strony polityki, to powiem księdzu, że tutaj czerwoni mają wiele do powiedzenia. I co gorsza, rosną w siłę, zamiast słabnąć. Staramy się na wszelkie sposoby, ale jest coraz gorzej.

Wikary roześmiał się: - To kwestia metody.

Don Camillo spojrzał na niego z zaciekawieniem.

- Więc miałby ksiądz jakiś lepszy sposób od tego, który stosowano do tej pory.

- Nie robię porównań, proszę księdza, i nie mówię, że wynalazłem cudowny środek. Mówię po prostu, że należy spojrzeć na sprawę świeżym okiem. Albo lepiej: bez tradycyjnych kłapek na oczach, które przeszkadzają w zrozumieniu uwarunkowań społecznych. Dlaczego komuniści cieszą się takim poparciem wśród klas mniej zamożnych? Bo obiecują biednym: "Trzymajcie z nami, a będzie dobrze, bo odbierzemy bogatym ich mienie, żeby dać biednym. Księża obiecują wam raj w niebie. A my wam damy dobrobyt na ziemi".

Don Camillo rozłożył ręce.

- Rozumiem, don Gildo, ale z drugiej strony nie możemy stać się materialistami,

I wcale nie trzeba stawać się materialistami. Trzeba po prostu nie w sprawie wrażenia, że się chce bronić bogactwa uprzywilejowanych. Zamiast mówić wciąż o obowiązkach, należy zacząć mówić o prawach. Zgadza się co do tego, że jeśli każdy wypełniałby swoje powinności, to automatycznie zachowywane byłoby każde prawo. Ale jeżeli chce się, żeby bogacze przestrzegali swoich obowiązków, konieczne jest przyznanie praw biednym. I tak postępując dochodzi się do pozbawienia komunizmu jego znaczenia.

Don Camillo pokiwał poważnie głową.

Bardzo słusznie, Należałoby zacząć konkurować z komunistami, a jeśli zasłaby potrzeba, naruszyć tak zwaną praworządność.

- Dokładnie tak. Praworządność, kiedy służy do obrony przywilejów niegodziwców, jest przeciwko sprawiedliwości, a więc jest przeciwna duchowi Boskiego prawa.

Don Camillo rozłożył ręce.

- Drogi don Gildo, widzi ksiądz, śledzę rozumowanie księdza, ale nie mogę nadażyć. Nie jestem już tak sprawny umysłowo jak kiedyś. Musi mi ksiądz wybaczyć.

A wikary był młody i niesłuchanie sprawny umysłowo, więc zasypał biednego don

Camilla lawiną pięknych słówek, wyrażających oszałamiające myśli.

A poza tym miał konkretną misję do spełnienia i na koniec powiedział krótko i wężłowato:

- Drogi księże, my wiemy doskonale, gdzie mamy zajść i tam zajdziemy. Ksiądz dokonał wspaniałych rzeczy w tej trudnej wsi i dzisiaj należy się księdzu pomoc. I to nie tylko wtedy, kiedy musi ksiądz skopać warzywnik czy narąbać drew.

Don Camillo był upokorzony.

- Proszę mi wybaczyć. Nie doceniłem księdza kultury i wykształcenia.

Wikary bezdyskusyjnie wygrał batalię. Tego samego wieczoru nawiązał pierwsze kontakty i przygotował grunt pod przyszłą działalność.

Don Camillo, zorientowawszy się po trzech dniach, jak się rzeczy mają, rzekł do wikarego:

- Przybył ksiądz w odpowiednim momencie. Nie czuję się dobrze i potrzebuję zupełnego odpoczynku. Jeśli nie sprawi to księdzu kłopotu i nie okaże się zbyt wielkim obciążeniem, to będzie ksiądz musiał całkowicie mnie zastąpić. Ta pora roku strasznie daje mi się we znaki. Potrzebuję słońca i mniej wilgoci, a tymczasem tu pada od miesięcy.

Właśnie tego trzeba było wikaremu; z entuzjazmem odparł, że don Camillo nie musi sobie robić żadnych wyrzutów. On ze wszystkim da sobie radę.

I don Camillo wycofał się.

Ale niezbyt daleko. Na pierwsze piętro, do dwóch dużych pokoi, których okna wychodziły na warzywnik i boisko.

Stara matka dzwonnika przynosiła mu jedzenie, a on żył tam w odosobnieniu.

W pokoiku obok sypialni ustawił polowy ołtarzyk i każdego ranka odprawiał mszę całkiem sam. Ale Bóg był blisko niego.

Przyniósł sobie na górę pudło książek i spędzał czas na czytaniu.

Po dwóch tygodniach kobieta, która przedtem nie odzywała się słowem, zakomunikowała mu bez ogródek:

- Don Camillo, jak tylko poczuje się ksiądz na siłach, proszę zejść na dół. Wikary narobił masę głupstw.

- Głupstw? Przecież wygląda na takiego spokojnego.

- Spokojnego! To nie ksiądz, ale zagorzały "przemawiacz".

Mnóstwo ludzi przestało przychodzić do kościoła.

- Nie martwcie się, to jest nowa metoda i ludzie muszą się przyzwyczaić. Z czasem wszystko się ułoży.

Ale jakoś nowa metoda nikomu nie przypadła do gustu i któregoś ranka matka

dzwonnika w krótkich słowach podsumowała sytuację:

- Proszę księdza, wie ksiądz, co wczoraj powiedział Peppone?

Powiedział, że jeżeli don Gildowi uda się kompletnie opróżnić kościół, to go zatrudni w sekcji jako kapelana.

Kilka dni później ta sama matka dzwonnika zreferowała don Camillovi, co odrzekł Filotti, zapytany dlaczego nie chodzi już na mszy: "Bardziej mi odpowiada iść posłuchać Pepponea w Domu Ludowym, niż don Gilda w kościele; Peppone dużo mniej mi wymyśla".

Don Camillo wytrzymał, póki mógł. Ale kiedy minęło czterdzieści dni, stracił zimną krew, klęknął przed krucyfiksem i powiedział:

Jeżu, schyliłem pokornie czoło przed wolą przełożonych. Wycofałem się, żeby zostawić don Gildowi pełną swobodę działania. Panie Jeżu, Ty wiesz, co ja wycierpiałem przez cały ten czas. Wybacz mi, ale dzisiaj schodzę na dół, biorę don Gilda za kołnierz i wysyłam poleconym do miasta!

Była ósma rano.

Don Camillo postanowił zejść na dół w doskonałym stanie i dlatego zdecydował się ogolić. Otwierając okiennice zobaczył, że jest piękny słoneczny dzionek.

Stał tak w oknie, rozkoszując się ciepłym słońcem i ciszą. Ale kilka minut później usłyszał wrzaski.

Schował się i zobaczył chłopców z "Gagliardy" wpadających na boisko.

Byli już przebrani i zaczęli trening.

Don Camillo zapomniał o goleniu i stał, podziwiając swoich chłopców, którzy byli jacyś oklapnięci, jak nigdy dotąd, i nie potrafili skłecić żadnej składnej akcji.

"Jeżeli tak będą grać przeciw drużynie Pepponea, to poniosą sromotną klęskę" - pomyślał zatroskany.

Dokładnie w tym momencie wpadł na boisko don Gildo, wrzaskiem przerwał grę i zgromadziwszy wokół siebie chłopców, mówił do nich z ożywieniem.

"Teraz to i drużynę piłkarską chce mi rozwalić!" - jęknął don Camillo. "Jeżeli stąd nie zniknie, to zejść i go rozszarpie!"

Ale wikary nie okazywał najmniejszej chęci, żeby zejść z boiska.

A nawet w pewnym momencie zajął pozycję środkowego napastnika i kiedy dostał piłkę zaczął taki drybling, że aż dech zapierało.

A wtedy don Camillo stracił panowanie nad sobą i nie tyle zszedł, co sfrunął na dół.

Kiedy dotarł na boisko, złapał don Gilda w locie i zaciągnął na plebanie.

- A teraz - rozkazał mu - niech ksiądz ściąga sutannę, wkłada koszulkę i buty i dalej prowadzi trening.

- Ale ja - bełkotał wikary - mógłbym?

- Niech ksiądz gra w długich spodniach, ze sztucznymi wąsami, w masce, ale niech

ksiądz gra. Musi mi ksiądz przygotować drużynę.

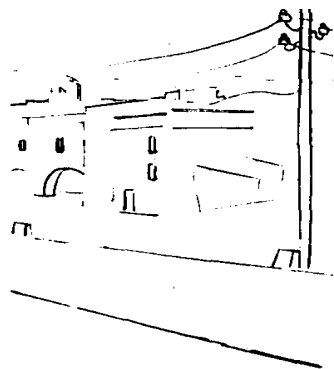
- Ale moja misja tutaj ...

- To jest księdza misja. Ksiądz sprawi, że drużyna zwycięży i zadamy przez to śmiertelny cios czerwonym.

"Gagliarda" rozgromiła "Dynamo", zdruzgotała i starła w proch. I gdy Peppone i współnicy byli załamani, inni skakali z radości.

Wieczorem don Camillo wydał specjalną kolację na cześć wikarego.

- Niech ksiądz - powiedział na koniec - zostawi teraz w spokoju uwarunkowania społeczne, a zajmie się wyłącznie drużyną piłkarską. I o nic innego proszę się nie martwić. O zagrożeniu komunistycznym to już ja pomyślę.



Napowietrzni rozbitkowie

Tego roku na odpust w połowie maja znów przyjechało wesołe miasteczko, ale tym razem rozłożyło się poza placem z powodów o charakterze lokalno-politycznym, bo w okolicy panowało spore zamieszanie, a program ustalony przez działaczy zawierał długą listę ważnych wieców.

Właściciele wesołego miasteczka musieli zadowolić się małą łączką, której używano na świński targ. Niezbyt szczęśliwe miejsce, nieporęczne, leżące na skraju drogi prowadzącej do Molinetto.

Ale za to wesołe miasteczko przywiozło tego roku dwie absolutne nowości: gigantyczny tor wyścigowy i samolotową karuzelę.

Karuzela samolotowa to wielka machina ze stalowych rur złączonych niczym szkielet parasola. Na końcu każdej rury przyczepiony był mały samolot i kiedy karuzela zaczynała się kręcić, ten kto siedział w środku w samolocie, mógł za pomocą dźwigienki opuszczać się albo podnosić wedle upodobania.

Łąka, na której lunapark ustawił swoje namioty, znajdowała się jakieś trzysta metrów za plebanią i don Camillo każdego wieczoru, kiedy szedł do sypialni na pierwszym piętrze i podchodził do okna, żeby zamknąć okiennice, widział z oddali karuzelę wirującą na całego i stał tak i pół godziny podziwiając widowisko.

Nie ma nic niegodnego czy grzesznego we wsiadaniu na zwykłą czy samolotową karuzelę, ale mimo wszystko ksiądz nie może sobie pozwolić na tę małą rozrywkę, ponieważ ludzie, mając oczy, widzą, lecz nie mając rozumu w łepetynach, śmieją się na widok księdza śmigającego na karuzeli.

Don Camillo doskonale o tym wiedział i wielce mu było żal ze zrozumiałych względów.

Wielki tor wyścigowy i karuzela samolotowa robiły oczywiście świetny interes. Tak dobry, że co wieczór o tej porze, kiedy barakowozy z atrakcjami zamykały się z braku klientów, tor wyścigowy i karuzela nadal spokojnie działały.

A nawet kiedy na torze wyścigowym gasły światła, to karuzela kręciła się w najlepsze jeszcze przez pewien czas.

Don Camillo był uważnym obserwatorem i nie przeoczył tego faktu. Tak więc któregoś wieczoru, kiedy zobaczył, że tor wyścigowy już się zamyka, zszedł na dół i, przemierzywszy krokiem spokojnym i obojętnym pole lucerny ciągnące się za plebanią, dotarł do żywopłotu biegnącego wzdłuż drogi do Molinetto i stanął na czatach.

Po drugiej stronie drogi był teren wesołego miasteczka; barakowozy wygasły już światła i spały pogrążone w mroku, gdy tymczasem parasol karuzeli wciąż jeszcze wirował w środku małej wysepki światła.

Plan don Camilla był bardzo prosty: jak tylko ostatnia grupa maniaków zejdzie na ziemię i pójdzie spać, on wyjdzie zza żywopłotu, dobiegnie do obsługującego karuzelę i poprosi, żeby go przewiózł.

Nie czekał zbyt długo; karuzela zatrzymała się, młodzi ludzie z ostatniej tury zeskoczyli z samolotów, dosiedli motorowerów hałasując rozplynęli się w mroku nocy.

A wtedy don Camillo przeskoczył rów i zdecydowanym krokiem ruszył na cel.

Właściciel karuzeli wszedł do kasy i sprawdzał utarg. Kiedy zobaczył przed sobą coś tak wielkiego i czarnego, to aż podskoczył.

- Nigdy pan nie widział księdza? - spytał don Camillo.

- Widziałem. I to niejednego, ale nigdy po północy. Czym mogę służyć?

Don Camillo wskazał na plebanię.

- Ja tam śpię i nie ma pan pojęcia, jak mi przeszkadza ta wasza przeklęta muzyka.

- Przykro mi, proszę księdza - odrzekł właściciel rozkładając ręce. - Ale z drugiej strony karuzela, jeśli się nie kręci przy muzyce, staje się śmiertelnie nudna. Kiedy robi się późno, staram się ściszać najbardziej jak mogę, ale o tej porze nawet najcichsza muzyka wydaje się hałaśliwa.

- Zgadza się - odparł don Camillo. - Ale skoro każdego wieczoru tak bardzo mi dokuczacie, powinniście poczuć się w obowiązku wyświadczyć mi grzeczność od czasu do czasu.

- Bardzo chętnie, proszę księdza. Jestem do księdza dyspozycji.

- Świetnie, więc przewieźcie mnie na tej waszej karuzeli. Tylko szybko, pospieszcie się.

Właściciel miał szczerze zatroskaną minę.

- Proszę księdza, musi mieć ksiądz odrobinę cierpliwości i parę minut zaczekać. Ma przyjść towarzystwo, które zamówiło parę jazd. O już są.

Don Camillo odwrócił się, żeby czmychnąć, ale było już za późno: - towarzystwo stało za jego plecami, a na czele całej bandy stał Peppone.

- O, nasz ukochany mości prałat! - zawołał Peppone. - Czyżby tłumaczył ksiądz właścicielowi tego wózka, że również i karuzela samolotowa jest śmiertelnym grzechem?

- Tłumaczyłem jedynie, że muzyka z jego karuzeli przeszkadza spać porządnym ludziom.

- No, no - zachichotał Peppone - a ja myślałem, że to księdzu przeszkadza.

Chudy, Szary, Długi, Ostry i Piorun, podobnie jak pozostali z bandy, nie zwracali uwagi na don Camilla i poszli rozochoceni usadowić się w samolocikach.

- A pan, panie wójcie, co też pan tu porabia? - spytał don Camillo. - Przyszedł pan, żeby rozerwać swoich urwisów?

- Szefie, pospiesz się - zawołał Chudy.

- Niech pan idzie, panie wójcie - powiedział z uśmiechem don Camillo. - Dzieci wołają. Milutko będzie zobaczyć takiego grubego wójta latającego samolocikiem!

Peppone spojrzał na niego nienawistnie.

- Ale jeszcze bardziej milutko zobaczyć takiego grubego księdza.

- Tylko że podczas gdy ja zobaczę fruującego wójta, to wy nie zobaczycie fruującego księdza.

- Więc niech się ksiądz cieszy! - ryknął Peppone, idąc w stronę karuzeli. - A jutro niech ksiądz napisze skandalizujący artykuł do swojej gazetki ściennej.

Peppone poszedł wcisnąć się do samolociku, a właściciel zbliżył się do dźwigni, znajdującej się przy kasie.

- Niech się ksiądz cieszy! - powtórzył Peppone. - I opowie swoim dzieciom Maryi, że urzędnicy administracji komunistycznej trwonią pieniądze podatników na nocnych hulankach!

Maszyna ruszyła, a z głośnika popłynęła cicha melodia wesołego marsza.

- Gazu! - wrzasnął Peppone przelatując nad kasą. - Niech sobie wielebny zasypia przy kołysance.

- Siedź cicho, potępieńcu - krzyknął ktoś za jego plecami. Peppone odwrócił się, a za nim, w samolociku, tkwił don Camillo.

Karuzela kręciła się na pełnych obrotach i przez parę minut sprawiało to wszystkim wyraźną przyjemność.

Później, głównie z powodu wilgotnego i zimnego wieczornego powietrza, don Camillo poczuł się trochę gorzej.

- Powiedz mu, żeby nieco zwolnił! - wrzasnął do Pepponea.

Peppone nacisnął dźwignię i ramię opuściło się.

Kiedy samolocik przelatywał nad kasą, chciał krzyknąć, ale nie zdołał.

No i co? - wrzasnął don Camillo.

Peppone odwrócił się i Bóg jeden wie, co tam wybełkotał, pokazując na kasę.

Don Camillo obniżył się i mijając budkę zobaczył to, co przed chwilą ujrzał Peppone.

A mianowicie trzech młodzików z chustkami na twarzy sięgającymi aż do oczu i z pistoletami w rękach.

Właściciel stał twarzą do ściany z podniesionymi rękami, a ci trzej wpychali mu lufy pistoletów pod żebra. Czwarty zamaskowany młodzian grzebał w kasetce i przekładał banknoty do torby. Ładował je garściami.

A tymczasem karuzela kręciła się na całego przy dźwiękach muzyki.

Młodzieńcy po opróżnieniu kasetki nie byli do końca zadowoleni, więc dwóch z nich zaprowadziło właściciela do barakowozu, żeby zgarnąć resztę łupu.

Wyszli chwilę później, poszturchując ofiarę.

- Na próżno nalegacie - protestował mężczyzna. - Resztę pieniędzy zdeponowałem w banku. Poszukajcie w portfelu, a znajdziecie kwit.

Znaleźli go i podarli z wściekłości. A karuzela wciąż wirowała.

- Zatrzymajcie, wy przekłęci! - wrzasnął Chudy, przelatując obok młodzianów.

Jeden z nich odwrócił się wygrażając pistoletem i wszyscy mężczyźni z latającej eskadry pociągnęli desperacko za dźwigienki i wszystkie ramiona karuzeli powędrowały do góry.

Karuzela wyglądała teraz dokładnie jak parasol wywrócony na drugą stronę przez wiatr.

Tamci byli wściekli z powodu mizernego łupu, ale szef bandy miał wystarczająco dużo pomysłów.

- Oskubiemy w locie tych siedmiu słowików - powiedział. Spojrzał do góry i krzyknął:

- Wyciągajcie całą forszę, jaką macie w kieszeniach, bo inaczej zaraz mózg wam wypłynie uszami!

- Wypchaj się! - odpowiedział mu głos Peppona.

Szef bandy dał rozkaz swojemu zastępcy, żeby podszedł do kasy, złapał dźwignię regulatora prędkości i przesunął ją o dwa ząbki.

Karuzela przyspieszyła.

Latająca eskadra zaczęła wrzeszczeć z góry, ale wiceszef bandy pokręcił gałką wzmacniacza i muzyka bez trudu zagłuszyła wrzaski.

Po pół tuzinie obrotów szef dał znak i zastępca zmniejszył szybkość do poprzedniej. A nawet do jeszcze mniejszej.

- Każdy niech włoży forszę do chusteczki, zawiąże ją i jak będzie mijał kasę, niech rzuci zawiniątko. Daję trzydzieści sekund.

Kiedy minęło pół minuty, szef wydał komendę: - Zaczynamy od tego w czarnym, rzucaj!

Don Camillo, ten w czarnym, pierwszy zrzucił swoje zawiniątko w kierunku kasy. Reszta poszła za jego przykładem.

Szef zebrał zawiniątka, rozwiązał je, sprawdził zawartość.

- Mało! - wrzasnął. - Rzucić portfele z resztą albo zwiększyć prędkość, daję pięć sekund .. , Poczawszy od tego na czarno, rzucaj.

Do stóp szefa bandy spadło siedem portfeli, które opróżniono i rzucono w kął budki.

Szef bandy zwrócił się do właściciela:

- Zatrzymasz karuzelę dopiero piętnaście minut po naszym odjeździe. Nie próbuj nas

wykiwać, bo cię znamy i może ci się przytrafić, że jakiejś pięknej nocy podlejemy ci benzyną karawanę i cię podsmażymy.

Cała czwórka pobiegła do samochodu, który stał na drodze, i pędem odjechała.

Zatrzymaj, draniu! - wrzeszczeli do właściciela ci z latającej eskadry. Ale nieszczęśnik był tak przerażony, że zatrzymał dopiero po piętnastu minutach.

Karuzela stanęła i parasol powoli się zamknął.

Tych siedmiu z eskadry musiało odsiedzieć nieruchomo dwadzieścia minut w swoich samolocikach, zanim nabrali wystarczająco sił, by stanąć na nogi.

W reszcie znaleźli się wszyscy, łącznie z właścicielem, w środku pomieszczenia z kasą. Zabrali puste portfele.

Do tej chwili nikt nie odezwał się ani słowem.

Pierwszy zaczął Peppone.

Złapał właściciela za kłapy marynarki.

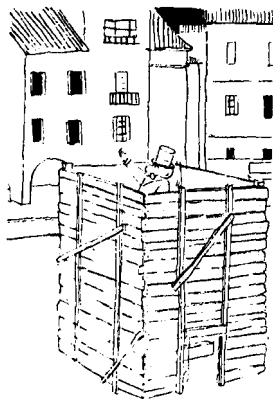
- Jeśli piśniesz słówko o tym, co się stało dziś wieczór, to nie tylko łeb ci rozwałę, ale też nie dam ci zarobić ani tutaj, ani w żadnej gminie, którą kontrolujemy.

- Ani ja w żadnej, którą my kontrolujemy - dorzucił don Camillo.

Potem wszyscy poszli drogą wśród pól i rozstali się na tyłach plebanii.

- W sumie, panie wójcie, spędziliśmy miły wieczór - powiedział don Camillo.

Odpowiedzią był ryk, który szerokim echem rozszedł się w aksamicie nocy.



Nauka i życie

Notariusz przybywał z daleka i był człowiekiem małomównym.

Kiedy zobaczył, że Peppone waha się i chce odejść, uciął krótko: - Panie wójcie - powiedział - tutaj chodzi zwyczajnie o to, żeby odpowiedzieć "tak" albo "nie". Ja nie jestem mediatorem, tylko wykonawcą testamentu.

- Jeżeli chodzi o folwark, to od razu mogę powiedzieć, że bierzemy - stwierdził Peppone.
- Jeśli zaś chodzi o pomnik, to muszę najpierw wysłuchać opinii Rady Gminnej i mieszkańców.

Notariusz schował do torby swoje papierzyska.

Macie dwa tygodnie na podjęcie decyzji - zakończył.

Weźcie pod uwagę, że nie istnieje możliwość zmian ani kompromisów; albo wszystko, albo nic. Taka jest dokładnie wola zmarłego.

My nie ulegamy naciskom ani żywych, ani umarłych! wykrzyknął dumnie Peppone.

Ponieważ jednak sprawa była raczej nagląca, Peppone po przedyskutowaniu jej na osobnym posiedzeniu ze swoimi z bandy, musiał ją przedstawić Radzie.

- W Turynie, gdzie mieszkał od trzydziestu lat, umarł nasz krajana, Luigi Lollini, który napisał w testamencie, że byłby skłonny przekazać przytułkowi dla starców folwark Piopazza, o ile my oddamy mu w wieczyste użytkowanie środek placu pod pomnik jego ojca. Wydaje mi się, że można mu od razu odpowiedzieć, że o ile przytułek potrzebuje wsparcia, o tyle nasz plac to nie cmentarz.

Piletti, jedyny radny z opozycji, poderwał się oburzony.

- Panie wójcie, ten, którego nazywa pan ojcem naszego krajana Luigiego Lollini, to Anselmo Lollini, znany na całym świecie jako najwyższej klasy uczoney. A jeżeli nie jest pan przekonany, to niech się pan dowie.

- Nie muszę się niczego dowiadywać - odparł Peppone.

- Wiem, kim był Anselmo Lollini i wiem również, że nie zrobił nic takiego, co by mu dawało prawo do posiadania pomnika na głównym placu. Plac jest świątynią ludu pracującego i nie można pozwolić, aby znajdowały się na nim posągi fałszywych bóstw.

- No właśnie! - zawołała entuzjastycznie większość. Ale opozycja nie dała się

zastraszyć.

- Anselmo Lollini nie był komediantem politycznym, tylko uczonym - krzyknął Piłctti. - Jego nazwisko i jego zasługi wymieniane są we wszystkich najważniejszych dziełach entomologicznych.

Peppone potrząsnął głową uśmiechając się.

- Entomologia to nie nauka, tylko zabawa dla paniczyków.

- Niech pan nie bluźni, panie wójcie! - wrzasnęła opozycja.

- Fakt, że pan nie wie, co to entomologia, nie upoważnia pana, żeby nią pogardzać.

Ale Peppone był na to przygotowany i odpowiedział z miejsca: - Niech reakcja nie sili się na żarty na podłożu kulturalnym co do naszej trzeciej podstawowej. Bo nasza trzecia podstawowa, mimo że nie studiowała entomologii, jest w stanie odpowiedzieć reakcji, że dzisiaj lud pracujący gwizdże na tych, co uganiają się za motylami. Dzisiaj przedstawiciele prawdziwej nauki i prawdziwej kultury uganiają się za problemami społecznymi.

Opozycji nie udało się nic na to odpowiedzieć i musiała wracać do domu z kwitkiem.

Ale Peppone nie miał złudzeń.

Entomologia nie cieszy się zbyt wielką popularnością i zawsze można dyskutować na temat faktycznego znaczenia entomologa i większej czy mniejszej konieczności wystawiania mu pomnika w miejscu publicznym.

Ale nie ma co dyskutować nad faktycznym znaczeniem ziemi i nad większą czy mniejszą potrzebą zrezygnowania z czterdziestohektarowego, doskonale utrzymanego folwarku, jakim było gospodarstwo w Pioppazzy. Tego rodzaju gospodarstwo przedstawiało sobą kapitał minimum siedemdziesięciomilionowy i groźba pozbawienia przytułku dla starców stałego dochodu ze stu dwudziestu włók ziemi pierwszej klasy oznaczało coś, co wszyscy byli w stanie doskonale zrozumieć.

Tym bardziej, że gmina nie musiałaby wydać na pomnik ani lira.

Wspaniała statua z brązu na wspaniałym marmurowym postumencie, dzieło słynnego rzeźbiarza, była już gotowa. I jeśli gmina przystałaby na propozycję, wykonawcy testamentu zmarłego Luigi Lolliniego zajęliby się również postawieniem pomnika na środku placu.

Pierwszy szturm reakcji był zuchwały. Został bowiem utworzony naprędce "Komitet ku czci Anseima Lolliniego" pod honorowym przewodnictwem jakiejś grubej ryby z miasta.

Oczywiście przed zamknięciem listy członków i przekazaniem tekstu odezwy drukarzowi ci z Komitetu uznali za konieczne wysłanie do wójta wiarogodnego przedstawiciela.

Wiarogodny przedstawiciel kazał się przyjąć przez wójta i powiedział:

Z inicjatywy ludzi dobrej woli został utworzony Komitet ku czci wielkiego entomologa, naszego krajana, Anselmo Lolliniego (1830 - 1918), Komitet, do którego weszły wybitne

osobistości. Jesteśmy pewni, że pan wójt, zagorzały obrońca zasług naszych ziomków, stanie z nami w szeregu.

- Nigdy! - odparł z nienawiścią Peppone.

Wiarogodny przedstawiciel Komitetu był mocno zmieszany nieoczekiwaną odpowiedzią wójta.

- Nie potrafię dokładnie pojąć sensu pańskiej wypowiedzi - wybełkotał. - Albo pan się źle wyraził, albo ja dobrze nie zrozumiałem.

- Wyraziłem się bardzo dobrze i jeszcze lepiej zostałem zrozumiany, proszę księdza - odrzekł Peppone. - Nie biorę udziału w klerykalnych spiskach.

Don Camillo uśmiechnął się.

- Uczczenie słynnego krajana, to nie jest klerykalny spisek, panie wójcie. Jeśli jednak moja obecność w Komitecie ma go pozbawić cennego uczestnictwa pierwszego obywatela, to jestem skłonny wycofać się.

- Niech się ksiądz nie martwi! - wykrzyknął wojowniczo Peppone. - W odpowiednim momencie sami księdza usuniemy.

- Przyszłość leży w rękach Boga, a nie w rękach jakiegoś tam wójta - odparł don Camillo.

- Natomiast w rękach wójta leży powodzenie szlachetnej inicjatywy Komitetu, który ja reprezentuję.

Peppone nie mógł tego dłużej znieść i puściły mu zawory bezpieczeństwa.

- Wbijcie sobie dobrze do głowy, że jeżeli macie odwagę stawiać na placu pomnik tego łowcy karaluchów, to ja nie tylko każę go ściągnąć i wrzucić do rzeki, ale złożę na was wszystkich skargę za bezprawne zajęcie gruntów publicznych. Plac należy do ludu i nie może służyć klerykalnej reakcji dla jej spekulacji politycznych.

Don Camillo nie miał już ochoty na żarty.

W szafie obok biurka Peppona były dwie półki zapchane szeregiem grubych tomów. Don Camillo wziął do ręki tom, na którego grzbiecie wytłoczona była litera L, przekartkował szybko i kiedy znalazł to, co go interesowało, rozłożył otwartą księgę przed Peppanem i powiedział:

- Proszę, czytaj tutaj: Lollini Anselmo ... Peppone zatrasnął ze złością wielką księgę.

- Czytałem - krzyknął. - Znam już na pamięć tę bajeczkę waszym przeklętym Lollinim.

- Zasługi ojczyzny są chwałą wszystkich obywateli i tworzą duchowy spadek całego społeczeństwa. Jeżeli nie będziesz umiał pojąć tych podstawowych rzeczy, to złoż dymisję jako wójt i jako obywatel.

- Złożę dymisję jako wójt, kiedy ksiądz złożysz dymisję jako ksiądz. Jeżeli Anselmo Lollini jest spadkiem nas wszystkich, to my cedujemy chętnie na was naszą część. Jeżeli wam się podoba wystawić mu pomnik, to go sobie postawcie na placu przykościelnym.

Don Camillo spojrział na Peppona z niekłamanym zdumieniem. - To jest argumentacja

szaleńca - powiedział w końcu. - Niech będzie, że entomologowie mogą ci się wydawać mniej lub bardziej sympatyczni. Ale żebyś z czystego uporu miał pozbawić przytułek dla starców zapisu na siedemdziesiąt milionów, to tego już nie mogę pojąć.

Peppone walnął wściekle pięścią w biurko.

- Proszę księdza! - wrzasnął. - Znamy się już jakiś czas i doskonale się rozumiemy.

Don Camillo wzruszył ramionami.

-- Panie wójcie, odeszliśmy od sedna sprawy. Wróćmy do tematu: przyszedłem tu pana zapytać, czy zamierza pan, czy też nie, przyłączyć się do Komitetu dla uczczenia Anselma Lolliniego.

Nie! - odparł z wściekłością Peppone.

Don Camillo wrócił na plebanie, żeby zdać sprawę Komitetowi, który nań oczekiwał.

No i co? - spytał z niepokojem Piletti. Nie zgadza się - wyjaśnił don Camillo.

Wrzask radości podniósł się ze zgromadzenia.

Tym razem wykiwaliśmy ich! - wykrzyknął szalenie podniecony Piletti. - Wielka sprawa o przerażającej wymowie: "Aby nie oddać czci słynnemu uczoneму krajanowi, którego jedyną winą było to, że należał do burżuazji, a nie do proletariatu, władza komunistyczna odrzuca zapis o wartości siedemdziesięciu milionów na rzecz przytułku dla starców!" Mamy wspaniały argument. Przeciwno Pepponowi będzie również cała reszta bandy, oprócz czterech czy pięciu przeklętych ze sztabu głównego.

Komitet natychmiast opracował plan działania.

- Przede wszystkim - wyjaśnił Piletti - ogłosi się manifest Komitetu ku czci Lolliniego z nazwiskami tych wszystkich, którzy nie poparli inicjatywy. Fakt, że brak tam nazwiska wójta, upoważni mnie do zażądania publicznych wyjaśnień od Rady Gminnej. Mając odpowiedź Rady, zadziałamy natychmiast i zrobimy z tego przeraźliwy skandal, który zmusi czerwonych do odwołania tego, co powiedzieli, albo do złożenia dymisji. Tym razem nic uda im się uratować przez wmieszanie sprawy do polityki.

Zgromadzenie pracowało intensywnie aż do późnego wieczora i wreszcie, kiedy odezwa Komitetu była już całkowicie gotowa, zaufany człowiek został posłany do drukarza Barchiniego z poleceniem natychmiastowego przekazania oryginału do składu.

Piletti i don Camillo zostali na plebanii czuwając.

Około północy nadeszła szcztotka odezwy; don Camillo założył okulary i zaczął powoli czytać na głos, a Piletti ze wzrokiem utkwionym w oryginał uważnie śledził tekst.

Barchini pracował przytomnie i don Camillo bardzo szybko mógł oddać poprawioną szcztokę chłopakowi z drukarni, drzemiącemu na kanapce w sieni.

- Powiedz Barchiniemu niech migiem drukuje - rozkazał Piletti chłopakowi. - Ekipa rozlepiaczy zjawi się po odezwę jutro o szóstej rano.

Piletti i inni z komitetu wyszli o ósmej rano, żeby nacieszyć się widowiskiem; chłopaki od rozlepiania pracowali wyśmienicie, ale mimo to koło wpół do dziewiątej don Camillo dostrzegł Pilettiego i resztę, wyraźnie poruszonych, jak zdążali na plebanię.

Piletti bez słowa pokazał don Camillowi kopię odezwy i pierwszą rzeczą, która rzuciła mu się w oczy było nazwisko wójta pośród pierwszych na liście członków wchodzących w skład Komitetu.

Don Camillo spojrzał zdezorientowany na Pilettiego, a ten, zatroskany rozłożył ręce.

- No właśnie, proszę księdza - powiedział. - Byłem już u Barchiniego, żeby sprawdzić szczotkę i oryginał; obie zniknęły. Barchini po złożeniu odezwy poszedł do łóżka. Nie jest w stanie sobie przypomnieć, czy nazwisko wójta tam było, czy też nie.

- Jeśli o to chodzi, to my widzieliśmy, że na szczotce nazwiska nie było! - wykrzyknął don Camillo.

- Nie ma co się spierać - stwierdził Piletti. - Interesujący nas fakt jest jeden: nazwisko wójta zostało wydrukowane na odezwie. Nie możemy Barchiniego i jego współpracowników poddać torturom, żeby się dowiedzieć, jak wytłumaczyć to zjawisko.

Ci z Komitetu opuścili plebanię wielce zasmuceni, a don Camillo poszedł do kościoła wyżalić się przed Ukrzyżowanym Chrystusem z głównego ołtarza.

- Jezu - powiedział - według mnie Peppone to sobie przemyślał i stanął na czatach. Kiedy zobaczył, że chłopak wraca do drukarni ze szczotką, zatrzymał go, dopisał swoje nazwisko, grożąc przy tym, że mu łeb rozwali, jeśli tylko piśnie słówko i na dodatek nie sprawi, żeby zniknęły i szczotka, i oryginał. Bo jak ja sprawdzałem szczotkę, to na liście nie było nazwiska Peppone.

- Jesteś tego pewien, don Camillo? - spytał Chrystus.

- Prawdę mówiąc, wczoraj wieczorem byłem wielce zmęczony i chciało mi się spać - przyznał szczerze don Camillo. - W takim stanie można coś przeoczyć. Mimo wszystko dobrze się stało; Lollini zostanie uhonorowany, a przytułek dla starców, zamiast ponieść wielką stratę, odniesie wielką korzyść. Nie licząc zresztą różnych innych korzyści, jakie będzie miała z tego wieś.

Pomnik Anselma Lolliniego, wybitnego entomologa, żyjącego od 1830 do 1918 roku, został uroczyście odsłonięty pewnej kwietniowej niedzieli.

Prawdę mówiąc było to wspaniałe dzieło rzeźbiarskie i surowemu panu z brązu, umieszczonemu na szczycie marmurowego cokołu, nie brak było pewnego uroku.

- Teraz, jak już stoi pomnik - zauważył pod koniec uroczystości don Camillo, zwracając się do Peppone - widać, że plac był taki pusty, jakby czegoś brakowało. Był nie kompletny. Nie wydaje się panu, panie wójcie?

- Nie wiem - odrzekł Peppone. - Zobaczy się. Minęły dni tygodnie i nadszedł czerwcowy odpust.

A dokładniej nadeszła wigilia odpustu i tego sobotniego wieczora, po długim przyglądaniu się Anselmowi Lolliniemu w brązie, królującemu z wysokości swego piedestału na mrocznym i opustoszałym placu, don Camillo poszedł do łóżka jakoś wyjątkowo zadowolony.

Następnego ranka wstał w doskonałym humorze i po odprawieniu uroczystej mszy nie mógł oprzeć się pokusie spacerowania się odrobinę po placu.

Zrobił dwa kroki i stanął jak wryty, jakby nagle przemienił się w księdza ze zbrojonego betonu.

Tak jak to bywało w poprzednich latach, w dniu odpustu na placu stała wielka tancbuda, na którą mówią tam festyn.

I jak się można było dowiedzieć z afiszy, również i tym razem, tak jak poprzednio, "ludowa zabawa taneczna" została zorganizowana przez młodzieżowe bojówki Peppone.

Wielka tancbuda rozłożyła dostojnie swój namiot na placu, na którego środku jeszcze do wczorajszego wieczoru, dominował niezachwianie wybitny entomolog Anselmo Lollini.

Don Camillo otrząsnął się ze zdumienia i pierwsze, na co natknął się jego wzrok, to były oczy Peppone.

- Oszaleliście? - zawołał oburzony. - Żeby zdjąć pomnik i ustawić na jego miejscu waszą przeklętą tancbudę występku, to poza wszystkim niedotrzymanie umowy zawartej ze spadkobiercami Lolliniego!

- A to niby dlaczego, proszę księdza? - odparł Peppone.

- Umowy są święte i nienaruszalne, a ponieważ nie mogliśmy odesłać pana Lolliniego, zaprosiliśmy go do zabawy.

Don Camillo poszedł zajrzeć przez szparę i między dwoma głównymi słupami podtrzymującymi płachtę namiotu, dokładnie na samym środku estrady, stał godnie ustawiony na swoim marmurowym postumencie entomolog z brązu.

- Dzisiaj signor Lollini na pewno się rozerwie! - wykrzyknął Peppone. - Dobra muzyka i dobre towarzystwo!

Don Camillo wycofał się przejęty grozą.

- Cały świat będzie się śmiał z takiej błazenady! - zawołał.

- Najważniejsze, żeby nie śmiał się ten osobnik, który pod pretekstem wystawienia pomnika na placu liczył na to, że uda mu się przeszkodzić nam w zorganizowaniu wiejskiej zabawy.

I faktycznie, don Camillo ani trochę się nie śmiał.